

The background of the cover is a detailed illustration of a woman with long, wavy brown hair, wearing a white high-collared dress with a dark lace necklace. She is looking slightly to the left. The setting appears to be an interior with wooden paneling and a window in the background. The overall color palette is muted, with a mix of browns, greys, and a touch of red.

Agnieszka Hałas

W mocy wichru

cz. II

RW2010

AGNIESZKA HAŁAS

TEATR WĘŻY

tom 3

W MOCY WICHRU

część druga

Rozdział 22: Szukając tego, co zabrał czas

Wiatr, który dął przez cały dzień, teraz przycichł, a fale się wygładziły. Anavri zanurkowała i wynurzyła się bliżej płycizny. Słońce już zaszło; niebo i ocean barwiła rdzawozłota luna, wyżej przechodząca w przymgloną czerwień, a potem w fiolet. Rozbłyskiwały pierwsze gwiazdy.

Brune szedł brzegiem plaży z butami w rękę, brodząc w wodzie sięgającej niewiele powyżej kostek. Patrzył w jej stronę, jak się zdawało, z niejaką zazdrością. Dziewczyna stłumiła wyrzuty sumienia. To nie jej wina, że nie umiał porzucić ostrożności nawet na pół godziny. On też lubił pływać, ale znajdowali się w obcym miejscu i uważał za stosowne być przez cały czas w pełnej gotowości bojowej.

Jaki poziom paranoi trzeba osiągnąć, żeby bać się kąpieli w morzu? Pytanie było retoryczne i nie zamierzała go zadawać, żeby nie psuć humoru ani jemu, ani sobie.

Wróciła na brzeg, roześmiana, odgarniając z twarzy mokre włosy. Poczowała, że spojrzenie Krzyczącego prześlizgnęło się po jej ciele oblepionym cienką tkaniną, teraz półprzezroczystą od wody, ale nie wywołało tego ciepłego dreszczu radości co zazwyczaj. Choć od konfrontacji z demonicznym błaznem minęły dwa tygodnie, jej nauczyciel nadal wyglądał fatalnie. Cerę miał ziemistą, oczy podkrążone, a prawy policzek w strupach – rany nie chciały się zasklepić. Anavri wiedziała, że oparzenie po dotknięciu Faraela na szczęście już się zagoiło, pozostawiając tylko czerwonawy ślad. Z ksiąg знаła upiorne historie o tym, co może z ludzkim ciałem zrobić magia Otchłani – o niegojących się latami wrzodach, wżerających się w kości, straszniejszych niż trąd.

Wspomnienie walki w jaskini nadal przyprawiało ją o ciarki. Chwilami łapała się na tym, że będąc blisko Krzyczącego, wyteża zmysły maga, szukając śladów cudzej obecności. Nie umiała wyrzucić z pamięci tamtego momentu, kiedy Brune chłonał moc demona.

Pospiesznie przebrała się w suche rzeczy. Zawahała się z mokrą koszulą w rękę, po czym skupiła się, przymykając oczy. Rozległ się syk, a z płótna buchnęły kłęby pary. Po kilku chwilach materiał był suchy, choć sztywny od soli.

– Wiem, nie wypada używać magii do takich rzeczy – mruknęła, widząc pełne dezaprobaty spojrzenie Krzyczącego. Zwinęła ciepłą jeszcze koszulę i upchnęła do torby, po czym rozczesała i związała włosy.

– Wracajmy do wioski – powiedział. – Chłopiec od Kash-Olga mówił, żeby przyjść po zmroku.

Nie przybyli tu dla rozrywki, mieli zadanie do wykonania.

Szli bez pośpiechu, ciesząc się pięknem wieczoru. Zorza stopniowo przygasła. Niebo

migotało gwiazdami, układającymi się w konstelacje inne niż na północy i zachodzie. W zaroślach grały cykady.

Anavri najpierw wyczuła zapach dymu i pieczonej ryby, potem w mroku przed nimi zamigotały ogniska – zbliżali się do wioski. Byli tu już za dnia. Osada niczym nie różniła się od innych rybackich wioszek na wyspach: drewniane chatynki na palach kryte liśćmi palm, obrośnięte kwitnącym różowo pnączem *ilik*, suszące się sieci, wyciągnięte na brzeg łodzie z wydrążonych pni. Smagli, półnaczy ludzie żywili się tym, co dawało im morze, i byli szczęśliwi, nie mając prawie nic.

Wyspy Śpiewu przez trzy stulecia stanowiły kolonię Cesarstwa Nedgvaru, a potem, w latach tuż po drugiej wojnie chalkiryjskiej i śmierci starego cesarza, kiedy imperium na jakiś czas osłabło targane przez wewnętrzne konflikty i walki, zbuntowały się i odłączyły – ich namiestnik, posiadający na wyspie Ilhan swój pałac i nedgvarski dwór, obwołał się *ukun-balem*, królem archipelagu. Zaledwie kilkanaście lat później wyspiarskie państewko dostało się pod władzę rosnącej w siłę Alkary, która – dzięki układom z królestwem sylfów i portalom oceanicznym skracającym żeglugę – coraz bardziej niepodzielnie panowała na wschodnich morzach. Jednakże Alkaryjczycy nie zdetronizowali tamtejszego władcy; po prostu ustanowili gubernatora, któremu *ukun-bal* miał odtąd podlegać. Wyspiarze, przyzwyczajeni od stuleci do takiej czy innej władzy zwierzchniej, przyjmowali wszystkie te zmiany obojętnie – nie miały one większego wpływu na ich codzienne życie.

Zdawało się, że wichry historii przetaczają się nad archipelagiem, nie tykając go. Przed trzystu czy pięciuset laty tutejsze chatynki, sieci i palmy wyglądały tak samo, kwiaty *ilik* pachniały równie upajająco, a po zachodzie słońca panował taki sam spokój. Przed kapliczką bóstwa tlił się kaganek, obok stały miseczki z ofiarami – nieco ryżu, ryby i ciasta.

Krzyczący przyłożył dłoń do twarzy, kryjąc oszpecony policzek za iluzją, po czym skierował się w stronę chaty stojącej na uboczu, pod rozłożystym drzewem. Przed nią, wprost na piaszczystej ziemi, siedziało dwóch odmieńców. Jeden, zielonołuski, o głowie pokrytej dziwnymi kolcami, wydawał się drzeć; drugi, tęgi i brzydki niczym toporna gliniana figura, ogryzał kość. Omiótł ich spojrzeniem zmrużonych ślepi, lecz nic nie rzekł. Brune minął obu bez słowa, więc Anavri również udała, że ich nie widzi. Skupiła się, wyęzając zmysły maga, i wyczuła wewnątrz chaty obecność jeszcze jednego, dużo starszego odmieńca. Kash-Olg był wioskowym czarownikiem – na Wyspach Śpiewu przypisywano odmieńcom tajemne, półboskie moce.

W chacie śmierdziało dymem oraz ostrym, piżmowym potem. Pośrodku znajdował się ułożony z kamieni krąg, w którym płonęło niewielkie ognisko. Odmieniec siedział na posłaniu z przybrudzonych tkanych koców. Był błydy i olbrzymi, zwały jego cielska lśniły od oleju palmowego. Pod skórą, która wydawała się zupełnie pozbawiona pigmentu, rysowały się sine żyły. Głowę miał łysą, za to na klatce piersiowej gęstwinę rudawych kędziorów, a oblicze wstrętnie zdeformowane – z dziurą w miejscu nosa i rozstawionymi bardzo szeroko, wybałuszonymi oczami. Ze środka jego czoła sterczał krótki róg, a z potylicy drugi. Krzyczący skłonił się i wypowiedział po alkaryjsku uprzejme powitanie. Brzydał wyszczerzył w uśmiechu okropne zębiska o pomarańczowym szkliwie.

– Wy siadaje, alkari. – Przeniósł spojrzenie na Anavri, omiatając ją wzrokiem pełnym obłęsnego zainteresowania, ale kiedy z kamienną miną odwzajemniła jego spojrzenie, jakby się zreflektował i kontynuował: – Wy interes, tak? Kash-Olg mnóstwo handluje z alkari marynarz. Ma sto i jeden dobry zakłęcz dla statki, ma zioła od trzęsi-gorączka, ma kori-kori od złe oko... – Wskazał zwieszające się z żerdzi wisiorzki z muszli, kostek i piór.

– Dostojny Kash-Olg, dama, którą niegdyś dobrze znałeś, pragnie cię pozdrowić, wyrażając nadzieję, iż minione lata były pomyślne dla ciebie i twoich współplemieńców. – Brune wyjął z kieszeni oprawioną w złoto miniaturę z portretem Marshii i pokazał odmieńcowi. Ten przełknął ślinę; na moment wyraźnie go zatkało. Potem zaczął mówić, lecz urwał i tylko gestykulował bezsilnie.

– Mów po nedgvarsku – powiedział Krzyczący. – Moja uczennica będzie tłumaczyć.

Kash-Olg zerknął na dziewczynę z powątpiewaniem, ale wypowiedział kilka słów w brzękliwej, twardo brzmiącej mowie Cesarstwa.

– Sądziłem, że wielce światła pani Marilyce nie żyje – przetłumaczyła Anavri, którą uczono nedgvarskiego i alkaryjskiego od szóstego roku życia, a dzięki kilkumiesięcznemu pobytowi na Wyspach Śpiewu rozumiała okropny żargon, który pozostał wyspiarzom w spadku po stuleciach nedgvarskiej władzy, będący skrzyżowaniem mowy Cesarstwa i dziesięciu dialektów miejscowego języka. Pozwoliła sobie przełożyć słowa Kash-Olga tak, jakby wypowiadał je w czystym nedgvarskim.

– Wielce światła pani Marilyce pozdrawia swojego starego przyjaciela i przekazuje mu za naszym pośrednictwem skromny upominek.

Brune nacisnął ukrytą sprężynę w medalionie, a gdy wieczko odskoczyło, wyjął schowaną wewnątrz zwiniętą złotą blaszkę i wręczył stworowi. Był to talizman, którego niepozorny wygląd nie odzwierciedlał drzemiącej wewnątrz mocy. Kash-Olg najwyraźniej potrafił docenić jego wartość, bo zaczął wylewnie dziękować, wzbijając się na wyżyny tutejszej kwiecistej uprzejmości.

– Pani Marilyce, licząc, iż stary przyjaciel dobrze ją pamięta, pragnie go poprosić o drobną przysługę – kontynuował Krzyczący. Słowa te spowodowały uderzającą zmianę w zachowaniu odmieńca, który natychmiast spał się i nachmurzył, pełen nieufności.

Anavri, na wpół instynktownie badając otoczenie zmysłami maga, nagle uświadomiła sobie, dlaczego posłanie odmieńca posiada delikatną, ledwie wyczuwalną aurę życia – koce były zawszone. Wzdrygnęła się z obrzydzenia i omal nie przegapiła kolejnej wypowiedzi Kash-Olga.

– Szlachetny przybyszu, spełnię prośbę pani Marilyce, jeśli tylko leży to w mej mocy. – Wypowiadając te słowa, stwór zadrzał.

Brune wyjął z kieszeni sygnet zawinięty w kawałek jedwabnej tkaniny i rozwinął go.

– Pani Marilyce prosi, byś obejrzał ten pierścień, który do niedawna należał do demona, i rzekł nam, czy kryje on coś, czego oczy magów nie mogą zobaczyć, a w szczególności czy może stanowić zagrożenie.

Wiedzieli od Marshii, że Kash-Olg, od trzydziestu lat prowadzący spokojny żywot jako wiejski czarownik wśród wyspiarzy, ma w sobie krew salamander i że był kiedyś chowańcem potężnego srebrnego maga, nieprzejednanego tropiciela demonów. Znał się doskonale na podstępach i sztuczkach Otchłani.

Ani Marshia, ani Krzyczący, ani Zazel, ani Lorraine nie wyczuwali w sygnecie żadnego ukrytego niebezpieczeństwa: żadnej zamaskowanej kłątwy ani portalu, który uaktywniłby się tylko w określonym miejscu bądź czasie. Nie byli jednak skłonni do końca zaufać swojej wiedzy – a chcieli wykorzystać pierścień do wejścia w trans wróżebny, by dowiedzieć się więcej na temat mordercy w kostiumie błazna oraz jego mocodawcy. Marshia zadeklarowała, że opinia Kash-Olga będzie dla niej definitywna i rozstrzygająca sprawę.

Odmieniec ujął pierścień w dwa palce i zamknął oczy. Trwał tak przez dłuższą chwilę, po czym westchnął głęboko i spojrział na nich nieco błędnym wzrokiem.

– Nic – oznajmił.

– Jest bezpieczny?

– Jest bezpieczny – potwierdził Kash-Olg.

– Niezmiernie nas to cieszy. – Brune wyciągnął rękę, by odebrać od niego sygnet.

Gdy ich palce się zetknęły, odmieniec nagle zadrżał i gwałtownie się cofnął, wytrzeszczając ślepią. Anavri poczuła wzbierający w nim gniew, walczący o lepsze z falą zwierzęcego przerażenia, i jej samej zrobiło się zimno.

– Ty! – wybuchnął, przechodząc z powrotem na łamany alkaryjski. – Ty z Otchłań!

Krzyczący wstał szybko, unosząc dłonie w pojednawczym geście. Chyba chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył. Kash-Olg wsunął palce do ust i przenikliwie gwizdnął. Drzwi chaty otwarły się i stanęli w nich tamci dwaj, nachmurzeni, groźni.

Glupcy – pomyślała wzgardliwie Anavri. Krzyczący szepnął coś, połowa twarzy zadrgała mu brzydko. Trzej odmieńcy zastygli jak obrócenie w kamień, tylko ich przerażone oczy nadal żyły. Brune chwycił Anavri za rękę i zdematerializował ich oboje.

– O co mu chodziło? – odważyła się spytać dziewczyna, gdy zmaterializowali się na brzegu morza w bezpiecznej odległości od wioski, niedaleko miejsca, gdzie trwało jeszcze echo portalu, którym przybyli tu poprzedniego dnia.

– Nie mam pojęcia – mruknął Krzyczący. Schował sygnet w zanadrze i potarł twarz, która nadal krzywiła się w tiku. Obawy Anavri powróciły ze zdwojoną siłą.

– Wyczuł w tobie... tamtego?

– Nie ma takiej możliwości – uciął.

Dziewczyna pod wpływem impulsu wyczuła zmysły maga, próbując wniknąć w jego aurę, emocje, po raz kolejny sprawdzić...

Zmęczony. Zirytowany nieprzewidzianym incydem. Niezasklepienie rany na policzku bolały go, potęgując rozdrażnienie. Ale to był ponad wszelką wątpliwość Brune, jej Brune.

Musiał wyczuć, co zrobiła, lecz udał, że niczego nie zauważył.

– Będę potrzebował twojej pomocy, żeby z powrotem otworzyć portal – powiedział jakby nigdy nic.

– Wracamy do domu?

– Wracamy.

Składając Marshii relację z wyprawy, Krzyczący przemilczał to, jak zakończyła się rozmowa z odmieńcem. Anavri nie rzekła ani słowa, choć nie spodobało jej się, że nie wyjawiał całej prawdy.

Dowiedziawszy się, co powiedział Kash-Olg, Marshia wyraziła zgodę na przeprowadzenie eksperymentu z sygnetem. Pierwej jednak, jak oznajmiła, sama zamierzała dokładniej zbadać pierścień, mając już pewność, że nie czyha w nim żadne ukryte niebezpieczeństwo. Kazała Krzyczącemu wrócić za dwa dni, tym bardziej że przybycie portalem z dalekich wysp było męczącym wyczynem i oboje z Anavri potrzebowali odpoczynku. Żmija ciekawiło, co takiego planowała zrobić, lecz gdy spróbował ją o to spytać, odpowiedziała wymijająco i dość oschle.

No cóż, postaraj się tylko nie uszkodzić ani sygnetu, ani siebie. Miał to na końcu języka, lecz zmilczał. W myślach wyraził jedynie nadzieję, że żmijka wie, co robi.

Gdy zjawił się w umówionym dniu o wskazanej porze, Marshia czekała w pracowni, a wraz z nią Lorraine. Mistrzyni sprawiała wrażenie zmęczonej, panna Nevers zaś – zrezygnowanej, lecz fatalistycznie gotowej na wszystko. Na fotelu w kącie przysiadł Zazel, z miną wyjątkowo ponurą i pełną dezaprobaty. W komnacie jak zwykle panował półmrok, zasłony były zaciągnięte. Na okapie kominka paliła się pojedyncza świeca. Na stole oprócz karafki z

winem, buteleczki z księżycowym eliksirem i kieliszków Brune zauważył starą, zniszczoną księgę oraz trzy tajemnicze fiołki pełne oleistego płynu. Zawartość pierwszej była seledynowa, drugiej – czerwonawa i mętna, trzeciej zaś – żółtawa jak mocz. Zmarszczył brwi, z daleka wyczuwając, jak niezwykle miały aurę – nigdy jeszcze nie czuł podobnej wokół martwego przedmiotu. Ciepłą, rozwibrowaną i w jakiś sposób... ludzką.

– Sygnet należał w przeszłości do trzech osób – oznajmiła Marshia. Choć pod jej oczami ciemniały kręgi ze znużenia, wydawała się nadzwyczaj zadowolona z siebie. – Pozwoliłam sobie wydestylować z niego i wydzielić esencję aury każdej z nich.

Krzyczący chciał się odezwać, ale zamilkł, gdy w pełni dotarło do niego, co powiedziała. Po raz kolejny uświadomił sobie, jaka przepaść dzieli jego umiejętności od umiejętności Marshii Lavallo – która wszak dysponowała teraz jedynie ułamkiem swojej wcześniejszej mocy. On sam nie wiedziałby nie tylko, jak się zabrać za takie zadanie, ale nawet w jakiej księdze szukać instrukcji.

– Nie było to tak trudne, jak mogłoby się wydawać – dorzuciła z nutką chępliwości, jakby odgadując jego myśli. – Metalowy przedmiot, noszony przez lata wprost na ciele; aura nawarstwia się i utrwała. Brune, mamy tu Adriena de Vere, demona w stroju błazna oraz agenta demona, mordercę z Eume.

– Adriena de Vere? – powtórzył Krzyczący. Zdał sobie sprawę, że jego głos lekko drży.

– Tak. – Marshia podniosła fiołkę z seledynowym płynem. – Niestety jakość tego preparatu pozostawia wiele do życzenia. Upłynęło zbyt wiele lat, aura jest słaba i zanieczyszczona naleciałościami pozostałych dwóch. Ale ponieważ Adrien był potężnym magiem, coś niecoś się jeszcze ostało. Myślę, że do przywołania wizji wystarczy.

– Myślałem... – Brune odchrząknął, czując suchość w gardle. – Myślałem, że zamierzamy po prostu użyć sygnetu.

– Gdybyśmy użyli sygnetu, ujrzelibyśmy tylko morderstwa w Eume oraz śmierć agenta – odezwała się milcząca dotąd Lorraine. – Echo późniejszych zdarzeń nakłada się na wcześniejsze, maskuje je i zaciera.

– Tak jest – potwierdziła Marshia. – Dlatego oddestylowanie aur było jedyną rozsądną opcją. Agent demona nie jest nam teraz do niczego potrzebny. – Odstawiła fiołkę z żółtawą zawartością na bok. – Interesują nas Adrien i demon. Myślę, że najrozsądniej będzie sprawdzić, co ich łączy. Wykorzystując do przywołania wizji aury dwóch jaźni, powinniśmy być w stanie zobaczyć, w jakich okolicznościach skrzyżowały się ich ścieżki. – Spojrzała na Lorraine, która potaknęła.

Brune skinął głową, usiłując opanować mrozący lęk, wzbierający mdłościami w gardle i utrudniający trzeźwe myślenie. Świadomość, że nie ma sensu bać się rzeczy, które wydarzyły się dawno temu, wcale nie pomagała mu się uspokoić.

Marshia ustawiła na stole kadzielnicę i nasypała do niej białawych bryłek ze słoja. Ostrożnie kapnęła na nie po jednej kropli z dwóch pozostałych fiolek, po czym zamknęła kadzielnicę i wyszeptała kilka słów w mowie magów. Rozległ się syk i cichy trzask, a przez otwory w ozdobnej srebrnej przykrywce zaczął się sączyć dym. Rozlała wino do kieliszków i odmierzyła do każdego po łyżeczce księżycowego eliksiru.

Zazel, który dotąd obserwował wszystko w milczeniu, poruszył się. Przystąpił z nogi na nogę, wyraźnie niespokojny, zerknął z ukosa na Krzyczącego, odchrząknął.

– Zamierzasz wziąć udział w rytuale, pani?

– Muszę. Lorraine nie poradzi sobie sama.

– Pani, błagam! – Chowaniec wydawał się autentycznie poruszony. Spojrzał na Krzyczącego, wyraźnie oczekując poparcia, ale żmij milczał. – Narażasz swoje zdrowie! Nie wróciłaś jeszcze do pełni sił...

– Przeszkadzasz, Zazel. – Żmijka otworzyła księgę na stronie zaznaczonej zakładką.

– Wyrażam uzasadnioną troskę! – rozsierdził się stwór. – Pani, błagam, bądź rozsądna! Dopiero co odzyskałaś...

– Wynoś się! – Marshia straciła cierpliwość tak nagle, że Krzyczący aż drgnął, a potem pomyślał, że widać obawy chowańca wcale nie są bezpodstawne. Żmijka zdenerwowała się właśnie dlatego, że Zazel miał rację. – No już! Słuchać się siebie nie da!

Chowaniec otworzył usta, ale równie gwałtownie je zamknął. Z gniewną miną zeskoczył z fotela, rzucił ostatnie pełne wyrzutu spojrzenie Krzyczącemu i truchtem wybiegł z pracowni.

– Usiądźcie bliżej – poleciła Marshia. – Pijmy eliksir i bierzmy się za rękę. Szkoda czasu.

Obrażony Zazel zlął na dół, na werandę, gdzie siedziała Anavri, bawiąc się czarodziejskim światełkiem. Nie miała najmniejszej ochoty uczestniczyć już w żadnych transach, a ponieważ Krzyczący nie nalegał na jej obecność, korzystała z chwili wolnego czasu. Na widok chowańca zgasła czar i wstała.

– Zazel, chcesz się przejść?

Zazel, który zawsze wolał towarzystwo od braku towarzystwa, nie miał nic przeciwko. Wyszli na dwór.

– Słuchaj – odezwała się nieśmiało Anavri – może ty mi powiesz, co się tu u was stało?

W czasie, gdy ona i Krzyczący przebywali na Wyspach Śpiewu, w enklawie zaszła zmiana, o którą dziewczyna bała się pytać Marshię. Ogród zniknął. Na jego miejscu zostały tylko pagórki porośnięte rzadką, szarą trawą. Niebo straciło turkusowy odcień; było teraz zamglone, mleczone.

– Chochlik i undyna się wynieśli – wyjaśnił Zazel. – Uznali, że tutaj nie jest już bezpiecznie. Z osłonami nie jest dobrze, Anavri. – Zniżył głos. – Marshia wyprawiła część służby do materialnego świata i powzięła... kroki na wypadek, gdyby stało się najgorsze, to znaczy gdyby wytropili nas tutaj srebrni.

– Aż tak źle? – spytała równie cicho dziewczyna. Chowaniec uśmiechnął się blado.

– Źle, Anavri, ale może jeszcze nie tragicznie. Nawet bardzo słabo zabezpieczoną enklawę nie tak łatwo znaleźć. Musieliby wiedzieć, gdzie nas szukać, w którym dominium i kwadrancie, oraz wiedzieć, przynajmniej w przybliżeniu, którądy przebiega spojenie z materialnym światem. – Zawahał się, po czym posepnie dorzucił: – Lub też wiedzieć, gdzie znajduje się któryś z dwóch portali stałych. Ten do enklawy Krzyczącego mnie nie martwi, natomiast ten do jej rezydencji w Lossorze... – Westchnął ciężko. – Ale skądś musimy przecież brać jedzenie, drewno na opał i tak dalej. Marshia zaklina się, że ufa swojej służbie... Oczywiście, dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie. – Znów popatrzył w kierunku willi. – Gdyby to ode mnie zależało, wyprawiłbym Lorraine do materialnego świata, w bezpieczne miejsce, ale ona nie chce zostawić Marshii, a Marshia nie kwapi się jej do tego zmuszać.

– A astralne potwory?

– Biss na szczęście jest w dobrych relacjach z sylfami. Zaprzyjaźnił się z paroma i uprosił, by nas chroniły przed drapieżcami z astralu, dopóki Marshia nie wyzdrowieje... choć oczywiście trudno powiedzieć, czy za jakiś czas nie dojdą do wniosku, że to nigdy nie nastąpi. No i zapowiedziały z góry, że w razie kłopotów ze srebrnymi nie mamy co liczyć na ich pomoc. Królestwo powietrza chce zachowywać dobre stosunki z Elitą.

– Jak sądzisz – Anavri zawahała się, zniżyła głos – czy jest szansa, że Marshia kiedyś wróci do pełni sił?

– Nie wiem. – Zazel poważnie popatrzył na nią ciemnymi ślepiami. – Nie mam pojęcia, Anavri. Formalnie jest już zdrowa, a czy kiedyś odzyska dawną sprawność... – Westchnął.

Długą chwilę stali w milczeniu, patrząc na nieruchomą taflę stawu pośrodku szarawej, smutnej łąki. Choć nie było zimno, Anavri nagle wzdrygnęła się i roztarła ramiona.

Czuła chłód złego przecucia.

Na wpół instynktownie sięgnęła zmysłami maga w kierunku willi, próbując odnaleźć komnatę na piętrze, gdzie odbywał się eksperyment z sygnetem.

Gorycz księżycowego eliksiru w ustach stopniowo stawała się mniej wyczuwalna, w miarę jak odpływali w trans. Krzyczący w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że ciepła, drobna dłoń Lorraine i zimna, wypielęgnowana Marshii zniknęły – dryfował w pustce, pozbawiony ciała.

W ciemności żeglowały obrazy. Budynki, ludzie, chmury, miejsca, twarze.

Potem ich miejsce zajął jeden. Brune wzдрыgnął się na widok pogrążonej w mroku jaskini – wyglądała znajomo. Unosił się pod jej sklepieniem, niewidzialny. A potem dostrzegł postać skradającą się wśród skalnych odłamów.

Ubrany od stóp do głów na czarno, w pelerynie z odrzuconym na plecy kapturem, Adrien de Vere ze swą białą twarzą przypominał posępną zjawę. W głębi jego źrenic pełgały seledynowe błyski.

Nagle przystanął – może usłyszawszy coś niepokojącego – a powietrze wokół niego zadrgało, zdradzając, że uaktywnił czar tarczy.

Brune wstrzymał oddech, czując, że w jaskini materializuje się znajoma obecność, zwiastowana przez zgniły, kwaśny odór i złowrogą aurę Otchłani.

Spomiędzy skał wyłoniła się postać. Potężny mężczyzna, przedziwnie odziany – pół kubraka i jedną nogawicę miał zielone, a drugą połowę odzieży w czarne i czerwone pasy. Czerwony kaptur kończył się wielkim chwostem. Obrazu dopełniała biała porcelanowa maska.

– Jesteś daleko od domu, magu – zabrzmiał syk, przywodzący na myśl jamę pełną wijących się, nienazwanych paskudztw.

– Przyszedłem walczyć.

Brune stęzał wewnątrz – to był, zdawałoby się, jego własny głos. Schrypnięty, cichy, niebrzmiały bynajmniej jak głos bohatera.

Rechot, który odbił się echem od ścian i sklepienia, nie dobył się z jednego gardła.

– Powiedz raczej, że przyszedłeś, by się dobrowolnie oddać w nasze ręce. – Kobięcy głos, zwodniczo melodyjny, jak miód zaprawiony trucizną. Od ściany oderwał się cień, szybko nabierając ludzkich kształtów. Wysoka, nienaturalnie smukła kobieta potrząsnęła grzywą włosów, które przypominały ożywiony mrok, wiły się i przelewały. Ona także miała na sobie kolorową odzież, jakby wyszła z maskarady, gdzie występowała w przebraniu wschodniej księżniczki, a na twarzy maskę z zielonego aksamitu.

– Jesteście nadzwyczaj pewni siebie. – Kącik ust Adriena drgnął w uśmiechu.

– My? – Dama zaśmiała się dźwięcznie. Potem skinęła dłonią, a cienie pod ścianami uformowały się w kolejne dwie sylwetki. Pękate, nieforemne, w strojach uszytych z barwnych szmat, w drewnianych maskach z długimi nosami. Wstrętny odór zgęstniał. Dwie niezgrabne postacie wysunęły się do przodu, a Brune ujrzał, że zamiast rąk mają olbrzymie łapy ze szponami, zaś ich stopy są ptasie.

– Jeden przeciw czworgu? Naprawdę sądzisz, że ten żalosny czar tarczy wystarczy, by ci zapewnić ochronę? Tu, w naszej siedzibie?

Adrien spokojnie wyjął spod kurtki flet. Wypowiedział kilka obcych słów – w jakimś starożytnym, zapomnianym wariacie mowy magów – a potem zaczął grać.

Zabrzmiała dzika, nieprawdopodobna muzyka. Brzmiał w niej huk nawałnicy na morzu, wicher przyginający świerki w górach Alkary i śpiew sylfów na odległych rubieżach sfer. Dwa pomniejsze demony uczyniły krok naprzód, potem drugi... a potem zaczęły tańczyć, chwiejnie, niezdarnie jak kukielki poruszane sznurkami. Najpierw jedna, potem druga maska spadły, odsłaniając pokraccze, owłosione oblicza, wykrzywione w grymasie przerażenia – to melodia zmuszała ich do tańca.

Dama wrzasnęła przeraźliwie, odrzucając głowę do tyłu. Ona i jegomość w białej masce w jednej sekundzie przemienili się, przetransformowali w czarne monstra, ni to ptasie, ni owadzie, kolczaste, grzebieniaste, szponiaste i nastroszone. Runęli na maga z wizgiem i trzepotem, raz, drugi, trzeci, lecz nie mogli go dosięgnąć.

Muzyka zmieniła się, zabrzmiały w niej niższe tony – jakby pogrzebowy dzwon uderzał gdzieś daleko, a jego głos niósł się z wiatrem ponad wzgórzami – i oni również zaczęli tańczyć. Tańczyli, a ich pokraccze kształty kurczyły się, całe płaty czerni odrywały się od ich potwornych ciał i odpełzały w mrok, kryjąc się w skalnych szczelinach, byle dalej od maga i jego upiornej, niszczycielskiej melodii.

A Adrien de Vere grał. Grał, nie okazując zmęczenia. Pokaz czarnej sztuki na poziomie nieosiągalnym nawet dla Marshii.

Gdy przestał grać, cisza spadła jak topór. Cztery demony wiły się w męce i nieruchomiały jeden po drugim.

Adrien pochylił się nad jednym z pokonanych. Monstrum transformowało z powrotem w istotę ludzką, lecz było już najwyraźniej zbyt słabe, by przemienić się całkowicie – z rękawów dwukolorowego kubraka nadal wystawały czarne macki, podrygujące niemrawo. Stwór dyszał chrapliwie, co jakiś czas z bulgotem zachłystując się świecąca ektoplazmą, która wyciekała z jego ust, szybko parując. Adrien z uśmiechem zdjął z jego twarzy maskę i unioś ją, by się przyjrzeć, po czym przyczepił ją u pasa. Trofeum.

I wtedy pieczara rozmyła się, rozplynęła w ciemności.

– Poczekajcie – głos Lorraine, dobiegający jakby z bardzo daleka, z góry, zniekształcony, z głuchym pogłosem. – Będzie więcej... Uwaga!

Ciemność skłębiła się, zawirowała i przeistoczyła się w inne ponure, mroczne miejsce. Brune stęzał w przeczuciu czegoś strasznego, lecz nie walczył. Prowadzony wolą Lorraine, pozwolił, by wizja otoczyła go i wchłonęła.

Już nie myślał o tym, że śni. Był tam. Czuł.

Ciasna, pozbawiona okien cela śmierdzi wymiocinami, moczem i krwią.

Akolita w białej szacie, trzymając lampę pełną fosforyzującej mazi, staje nad leżącym na pryczy wychudzonym człowiekiem. Lewa ręka więźnia tkwi unieruchomiona w dziwnej żelaznej konstrukcji, nad którą w stojaku umieszczono szklaną banię z przezroczystym płynem. Wychodzące z niej cieniutkie rurki kończą się igłami wklutymi w żyły leżącego. Ten ma zamknięte oczy, oddycha z trudem; jego pokryta białymi plamami twarz jest ściągnięta, wyniszczona. Włosy ostrzyżono mu przy skórze, a szczeciniasty siwy zarost, tylko tu i ówdzie ciemny, nadaje teraz Adrienowi wygląd starca.

Akolita wymierza mu policzek.

– Spójrz na mnie, ścierwo.

Adrien z wysiłkiem rozkleja powieki, lecz jego oczy są mętne, niewidzące, w głębi źrenic już nie widać seledynowego poblasku.

Na szyi i grzbietach dłoni ma ślady po przypalaniu, a palce pokryte zakrzepłą krwią – wyrwano mu paznokcie – lecz nie pogruchotano mu kości, nie powyłamywano stawów, nie posłużono się rozpalonymi do czerwoności kleszczami ani wrzącą oliwą. Wbrew temu, co głoszą plotki, umiejętnie podsycane przez samą Elitę, w Domach Godnego Odejścia zadaje się ból na daleko subtelniejsze, bardziej eleganckie sposoby niżli w świeckich katowniach.

Cuchnie zatęchłym potem i płonie od gorączki. Ma za sobą wstępną, trwającą kilkanaście dni procedurę rozbudzania i rozjątrzenia czerni, która – nie znajdując ujścia – poczęła trawić jego ciało. Teraz do jego krwi sączy się mieszanka trucizn zabijających dar. W niektórych Domach stosuje się tę metodę zamiast szybszego, lecz trudniejszego i bardziej ryzykownego rytuału Zaathosa. Proces jest bolesny i trwa długo, zwłaszcza w przypadku tak silnego maga.

Akolita mierzy puls więźnia, sprawdza poziom cieczy w bani, podkręca kurek regulujący przepływ. Potem odwraca się.

– Panie de Lyche? Jeśli pragniecie coś rzec więźniowi, mogę...

– Nie trzeba – odpowiada znajomy głos. – Chciałem tylko sobie na niego popatrzeć.

Wychodzą obaj, zabierając lampę. Drzwi zatrząskują się, zgrzyta przekręcany klucz. Kroki oddalają się, cichną. W ciemności znów słychać tylko chrapliwy, umęczony oddech.

Wizja rozwiała się. Lorraine, bardzo blada, nalała sobie wina i napiła się. Krzyczący przetarł oczy, próbując ukryć, jak bardzo jest rozdygotany.

– Bardzo interesujące – powiedziała Marshia. Ona również, podobnie jak panna Nevers, zachowywała chłodny spokój badacza. – Nieoficjalna wizyta w Domu Godnego Odejścia? Ktoś tu musiał sobie zaskarbić doprawdy niezwykłą wdzięczność Elity.

– Denuncjacja? – spytał cicho Krzyczący, przypominając sobie nienawiść, z jaką Farael de Lyche wypowiadał się o Adrienie.

– Nie można tego wykluczyć. A pamiętasz pierwszą wizję?

– Te potwory w jaskini?

– Błazny – odezwała się spokojnie Lorraine. – Widzieliście, jak wyglądali?

– Bractwo Błaznów... – Marshia zamknęła oczy i rozmasowała powieki. – Psiakość, kiedyś już obla mi się o uszy ta nazwa... Bractwo Błaznów z Doliny... z Doliny... Na siedem pałaców Harana! Mam w swoich zbiorach *Traktat o Otchłani* Argala ar Toth. Sprawdzę to.

– Adrien rozprawił się z czterema członkami demonicznego bractwa – powiedział powoli Brune – a później piąty, ocalały, uknuł zemstę?

– Mogło tak być – potaknęła Marshia.

– Ale przecież powiada się o nim, że zaprzedał duszę Otchłani?

– Innej Dolinie? – Uśmiechnęła się z ironią. – Lub to też kłamstwo, braciszku. Zwykle, ordynarne kłamstwo. Po tylu latach niemal nie do odróżnienia od prawdy.

– Fiolki nie pokażą nam więcej?

– Fiolki pokażą wam tylko to, co ja będę w stanie wam pokazać – wmieszała się Lorraine. – To... trochę trudne do wyjaśnienia, ale widzę naraz fragmenty wielu obrazów, jakby kawałki roztrzaskanej mozaiki. Wyławiam jeden, który wydaje się obiecujący, i podążam jego tropem, a wtedy wy widzicie to, co się wyłania.

Krzyczący również nalał sobie wina i upił łyżeczek, żeby pozbyć się z ust goryczy eliksiru. Potem, tknięty nagłą myślą, spytał:

– Czy wśród tych wielu obrazów widziałaś też aresztowanie Adriana?

– Chyba widziałam... Przez chwilę. – Dziewczyna objęła się ramionami. – Ale nie umiałabym sprawić, żebyście wy też zobaczyli. Za dużo bólu i zamętu. On walczył... Zabił kilku mistrzów Elity, nim go pojмали.

Marshia splotła dłonie. Blask świecy pełgał w jej źrenicach purpurowymi odbłaskami.

– A morderstwa?

– Które?

– Te, które rzekomo popełniał Adrien. Za które go skazano. Widziałaś choć jedno?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Tak. – Lorraine powiedziała to cicho, ze smutkiem. – Widziałam dziesiątki obrazów z jego życia. On nie mordował kobiet, to kłamstwo. Został fałszywie skazany.

Marshia spojrzała na Krzyczącego, uśmiechając się cierpko.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?

Brune wrócił pamięcią do raportów straży miejskiej, które przeglądał w archiwum. Pokręcił głową. Kawalki układanki, choć nieliczne, pasowały do siebie w logiczny sposób. Morderstwa prostytutek w Ri Talma przed czterdziestu laty. Morderstwa popełniane w Eume przez agenta w błazeńskim stroju. I brak morderstw wśród obrazów, które dotyczyły Adriena.

Przestał obracać w palcach swoją gemmę i wsunął ją z powrotem do kieszeni.

– Spróbujmy jeszcze raz – powiedział. – Do trzech razy sztuka.

Marshia zmierzyła go badawczym wzrokiem.

– A dasz radę?

– Tak. – Przetarł twarz i wziął głęboki oddech. – Tak, nic mi nie jest.

Nie wyglądała na przekonaną, ale skinęła głową. Dosypała nieco bryłek do kadzielnicy i zatrasnęła przykrywkę, po czym ponownie wzięli się za ręce, zamykając oczy.

Słodkawy dym, wrażenie kołysania, senność...

Ciemność znów ożyła sunącymi powoli obrazami – ludzie, miejsca, twarze, budynki, chmury. Brune poczuł ciarki, gdy wśród tego chaosu uchwycił znajomą panoramę Ri Talma, a potem ozdobioną złoceniami salę, czarno odzianą postać grającą na flecie i zasłuchaną

publiczność.

– Uwaga – głos Lorraine wydawał się dopływać jak z wielkiej dali. – Mam.

Wszystko nagle przesłoniły abstrakcyjne wzory, czarne i białe.

Mozaiki.

Mury i posadzka w mrocznym korytarzu wyłożone są mozaikami – malutkie kamyczki układają się w znaki pisma magów, a te w formuły. Potężne zaklęcia, których echo wibruje w powietrzu, sprawiając, że włosy lekko się jeżą, a po plecach pełźnie chłód.

Dom Godnego Odejścia.

Fresk na sklepieniu przedstawia grupę magów w białych szatach, z rozwianymi włosami, otoczonych wieńcem ognia i chmur.

Na ustawionej pod ścianą ławie, pod okratowanym okienkiem, siedzi i czeka Farael de Lyche w lamowanej futrem pelerynie i eleganckim kapeluszu. Wygląda na znudzonego. W końcu skądś dobiega głębokie, przejmujące bicie dzwonu – trzy uderzenia – i umieszczone w niszy drzwi otwierają się. Młodzieniec w błękitnej szacie kłania się nisko, gestem zaprasza gościa do środka.

Dwa wąskie okna w gabinecie również są zakratowane. Półki uginają się pod ciężarem ksiąg i dokumentów, w kącie na stoliku stoi srebrne astrolabium. Mag w białej szacie podnosi się zza stołu, na którym leżą budzące niepokój akcesoria: ludzka czaszka ze zwitkami pergaminu zatkniętymi w oczodoły, dwie woskowe laleczki z powbijanymi igłami, zasuszone żaba skrępowana czerwoną nicią, ucięta zmumifikowana dłoń, przebita szpikulcem... De Lyche kłania się uprzejmie, acz nie uniżenie, po czym wymieniają powitalne grzeczności. Młodzieniec w błękitnej szacie, posłuszny krótkiemu poleceniu zwierzchnika, wychodzi, a po chwili wraca, niosąc kasetkę ze smoczjej kości, którą stawia na stole i otwiera. Wewnątrz, na aksamitnej wyściółce, spoczywa złoty sygnet z malachitowym okiem i dwoma wężami.

– Zgodnie z obietnicą, panie de Lyche. Drobną rekompensata za przysługę. – Mag uśmiecha się jakby z ironią i kładzie sygnet na wyciągniętej dłoni demona w ludzkiej postaci. Ten z nieruchomą twarzą kłania się lekko.

– Polecam się na przyszłość, szlachetni magowie.

Nagle rozległ się przeraźliwy huk; świat zadrżał, a potem osypał się jak rozbite szkło. Krzyczący, brutalnie przywrócony do rzeczywistości, rozejrzał się nieprzytomnie i napotkał tak samo zdezorientowane, przestraszone spojrzenie Lorraine.

Huknęło ponownie. *Ale to nie burza!* – uświadomił sobie, gdy poczuł, że aura enklawy faluje niczym wzburzone morze. Jej konstrukcja chwiała się w posadach.

– Osłony! – krzyknęła Marshia. – Musimy sprawdzić, co się dzieje!

Zanim zdążył odpowiedzieć, chwyciła go za rękę i zdematerializowała ich oboje. Chwilę później stali w terenie, który nieco przypominał otoczenie jego własnej enklawy, stworzonej prostszą techniką – u niego z materialnego świata przeniesiona została tylko chata, a nie willa wraz z przyległym obszarem, jak tutaj. Naokoło rozciągał się skalisty, pozbawiony roślinności płaskowyż, dalej przechodzący w linię poszarpanych górskich szczytów. Enklawa – która dla patrzących z zewnątrz powinna pozostawać niewidzialna, jak uświadomił sobie żmij – była wyrastającą z kamienistego podłoża błękitną, opalizującą kopułą, podobną do wielkiej bańki mydlanej, siejącej tęczowymi odblaskami. Od zewnątrz oplatała ją ledwo widoczna pajęczyna z fioletowego światła – jeden z czarów zabezpieczających. Teraz w tej pajęczynie coś się szamotało, rozciągając ją. Coś wielkiego, częściowo opancerzonego blachami, częściowo białego i bezwłosego... o kilku parach trzepoczących rozpaczliwie skrzydeł i kilku giętkich szyjach zakończonych bezokimi pyskami, kłapiącymi w powietrzu. Segmentowane metalowe odnóża wściekle ryły ziemię, wyrzucając w powietrze drobne i większe kamyki.

– To wysłannik srebrnych! – krzyknęła Marshia. – Bogowie, zniszczy enklawę!

Rozdział 23: Rytuał Cymmergusa

Jakby potwór morski złapał się w sieć! – pomyślał w panice Krzyczący, patrząc na istotę szamoczącą się w magicznej pułapce. Przez myśl przemknęło mu, że jeśli stworzenie zdążyło się telepatycznie skontaktować ze swymi panami, nie ma sensu walczyć, trzeba rzucać wszystko i natychmiast uciekać.

Lecz Marshia już kreśliła w powietrzu znaki. Zagryzła wargi, na czoło wystąpił jej pot. Otoczył ją świetlisty nimb energii, z każdą chwilą jaśniejszy. Uniosła rękę, nad którymi uformował się wirujący, osłepiająco biały dysk i miotnęła nim w intruza.

Świat zbiełał. Krzyczący w ostatniej chwili zdążył odwrócić głowę, osłaniając ją ramionami, i zacisnąć powieki. Rozległ się ogłuszający trzask, jakby piorun strzelił tuż obok, a potem upiorne, pełne bólu wycie. Gdy żmij otworzył oczy, ujrzał z przerażeniem, że stworzenie nadal się szamocze, rozpaczliwie próbując się uwolnić. Dwie jego głowy zwisały teraz bezwładnie, z paszcz spływał mleczny płyn, który w zetknięciu z gruntem syczał i dymił niby żrący kwas. Kilka fragmentów metalowego pancerza odpadło, odsłaniając połacie bladej skóry z czerwonymi plamami oparzeń. Mechaniczne odnóża nadal ryły ziemię, choć słabiej; jedno, złamane, sterczało pod dziwnym kątem. Jedno skrzydło usiłowało łopotać ze zdwojoną siłą, drugie oklapło niczym nadpalony łachman.

Marshia klęczała, dysząc ciężko. Z nosa płynęła jej krew, kapiąc na kamienie. Nim Krzyczący, nadal osłupiały, zdążył powiedzieć choć słowo, żmijka osunęła się na ziemię, tracąc przytomność.

Chwilę potem obok nich zmaterializowała się Anavri z oczami jarzącymi się sino. Brune chwycił ją za rękę, czerpiąc raczej instynktownie niż świadomie. Nie miał pojęcia, jakiego czaru użyła Marshia – sam znał tylko jedno zaklęcie, które miało szanse podziałać przeciwko wysłannikowi srebrnych. Piorun Borseliusa. Skupił się, przywołując z pamięci to, czego potrzebował

(spopielona równina, jęczący potępieńcy)

(loch, gorączka, rwący ból ran na twarzy)

by wzbudzić i podsycić w sobie czerń.

Wokół jego dłoni zaczęła formować się i rosnąć kula mroku. Nim jednak czar nabrał mocy, stwór targnął się, rozwarł największą ze swoich paszcz i rzygnął fontanną lepkiego mlecznego jadu.

Krzyczący, skupiony na szykowanym zaklęciu, zareagowałby o ułamek sekundy za późno – uratowała go Anavri, osłaniając tarczą jego, siebie i Marshię. Białe rozbryzgi spłynęły po przezroczystej sferycznej barierze. Stwór wydał świdrujący wizg, który przeszywał uszy

tysiącem igieł. Mleczna trucizna kapiała z jego kłów, a ślepie przypominały teraz dwa srebrne noże. Targnął się rozpaczliwym wysiłkiem – i kilka fioletowych pasm pękło. Enklawa zadygotała w posadach, a Brune uświadomił sobie, że jeszcze chwila i czarodziejska sieć pęknie.

Wsunął dłoń za pazuchę, zacisnął palce na gemmie Eresha, skupił się

(demon wrzeszczący bezsilnie wśród huczącego ognia)

i pozwolił, by na nowo wezbrała w nim czerń – niczym gorący, niszczycielski wir. Poczuł, że tik boleśnie wykrzywia mu twarz. Ułamkiem świadomości zarejestrował przerażone spojrzenie Anavri, a potem przestał myśleć. Była tylko wrząca w nim siła – i wróg.

Bezglósna eksplozja czerni. A potem cisza.

Zimno.

Zimno i świst wiatru.

Anavri przytomniała powoli. Gdy przypomniała sobie, gdzie jest i co się stało, usiadła z jękiem. Stopniowo dotarło do niej, że enklawa nadal stoi, jak stała. W powietrzu wirowały płatki śniegu, osiadając na kamienistym podłożu.

Tam, gdzie chwilę wcześniej szamotał się wysłannik srebrnych, widniał wyrwany eksplozją lej o zboczach upstrzonych mleczną, lśniąca mazią oraz fragmentami rozrzuconych mechanizmów – śrubki, kółka zębate, przewody, poskręcane kawałki blachy... Na dnie leża wilo się to, co pozostało z rozszarpanego ciała, które najwyraźniej bardzo niechętnie rozstawało się z życiem. Dziewczyna poczuła mdłości na ten widok i czym prędzej odwróciła wzrok.

Marshia leżała bez ruchu, twarzą ku niebu. Biss, który zjawił się nie wiedząc kiedy, siedział na niej, mocno przywierając mackami do szyi i piersi – wlewał w nią siłę życiową.

Brune niezdarnie zbierał się z ziemi. Ostrożnie dotknął krwawiących ran na policzku, zaklął z cicha.

– Żyjesz? – spytała Anavri.

– Zakładam, że tak – mruknął, klękając przy Marshii. Pospiesznie sprawdził jej puls. Anavri obserwowała to bezradnie, wiedząc, że nie jest w stanie w żaden sposób pomóc. Dygotała od dreszczy, było jej słabo i mdło.

Nagle spostrzegła, że kawałek dalej unoszą się w powietrzu trzy postacie – trzej skrzydlaci młodzieńcy w bogatym rynsztunku bojowym, w złożonych pancerzach i hełmach.

Wiatr rozwiewał pasma ich jasnych włosów, a twarze mieli szlachetne i piękne niczym na obrazku. Sylfy.

– Dobrze sobie radzisz w walce jak na tak młodą *ka-ira* – powiedział jeden, o skrzydłach w pięknym, nasyconym odcieniu ultramaryny. – Ale wasza enklawa potrzebuje lepszych zabezpieczeń.

– Co tu robicie, przyjaciele? – spytał Krzyczący.

– Obserwujemy – odrzekł drugi sylf. Skrzydła miał barwy porannej jutrzemki, a jego hełm ozdobiony był białym pióropuszem. – Patrzymy i wyciągamy wnioski.

– Zdaje się, że w starciach między srebrem a czernią macie obowiązek zachowywać neutralność, mam rację?

– Zgadza się – potwierdził ten pierwszy. – Nieformalnie nie przepadamy za srebrnymi, lecz nasza królowa pragnie pozostawać z nimi w dobrych stosunkach. – Z niechęcią popatrzył w stronę tego, co pozostało z wysłannika. – Jeśli srebrni tu przybędą, nie obronicie się, magu.

– Zdajemy sobie z tego sprawę – odparł Krzyczący, siląc się na spokój. – Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby wzmocnić te osłony.

I wytrzymały – dodał w myślach. Wiedział jednak, że sylfy mają rację. Nie potrzeba nawet srebrnych magów, wystarczy, że zostaną zaatakowani przez większą liczbę takich stworów jak ten, który dogorywał nieopodal, a będzie po enklawie. *I zapewne po nas.*

– Osłony jak osłony, magu. Podstawa dobrych zabezpieczeń to kamuflaż – odezwał się nieco przemądrzałym tonem trzeci sylf, szaroskrzydły, wyglądający najmłodziej i najdelikatniej. Krzyczący wzruszył ramionami.

– Wierz mi, zrobiliśmy tu, co mogliśmy.

– Czyli w praktyce niewiele, bo zarówno kamuflaż, jak i osłony tej enklawy zostały splecione w taki sposób, że nikt poza właścicielką nie jest w stanie dokonać w nie głębszej ingerencji, nieprawdaż?

Brune odmruknął wymijająco i znów przykląkł przy Marshii, udając, że sprawdza, czy nie odzyskała przytomności. Nawet jeśli sylfy były im nadspodziewanie życzliwe, nie miał najmniejszej chęci, by kontynuować rozmowę na drażliwy temat.

Dotknął policzka żmijki i przemówił do niej cicho. Jęknęła. Otworzyła oczy, ale zaraz je zamknęła, jakby światło ją raziło. Biss lekko się nadał, przywierając mocniej do jej klatki piersiowej, i zerknął na Krzyczącego z wyraźną pretensją, jakby dając do zrozumienia, że jego pani potrzebuje przede wszystkim chwili spokoju.

– Kiedy ich szpieg nie wróci – podjął najmłodszy z sylfów – srebrni wykorzystają czary

tropiące, aby sprawdzić, gdzie jest i co się z nim stało.

– Zaraz postaram się im to utrudnić. – Krzyżący wstał z klęczek i przywołał gestem Anavri. Podeszła posłusznie, choć widział, że krótkie starcie z białym monstrem wstrząsnęło nią bardziej aniżeli pojedynki w sferach i incydent w karczmie razem wzięte.

– Musimy spalić ciało tego... czegoś – powiedział. Z rezygnacją skinęła głową. Przyłożył jej ręce do skroni i zaczerpnął ostrożnie. Syknęła z bólu, przygryzając wargę.

– Nic mi nie będzie – mruknęła, gdy cofnął dłonie i popatrzył na nią z troską. – Czerp, jeśli potrzebujesz więcej.

– Tyle mi wystarczy – odrzekł. Ledwo trzymał się na nogach ze zmęczenia, ale nie chciał ryzykować, że Anavri pod wpływem czerpania straci przytomność.

Podszedłszy do krawędzi leja, stłumił dreszcz obrzydzenia, gdy ujrzał, co leży w dole. W kałuży perłowej, śliskiej substancji wiły się sinawe, długie ni to robaki, ni jelita... Mdły, słodkawy odór sprawił, że żołądek podjechał żmijowi do gardła. Brune z wysiłkiem przełknęła ślinę. Czuł na sobie wzrok sylfów. Najchętniej powiedziałby im, żeby się wynosiły do diaska.

Rozejrzał się za niedużym, ostro zakończonym kamieniem, a znalazłszy odpowiedni, nakreślił nim na ziemi kilka znaków i wyszeptał formułę. To, co pozostało ze skrzydlatego potwora, z traskiem i skwierczeniem zajęło się magicznym ogniem. Zaklęcie na szczęście niszczyło wilgotne substancje równie skutecznie jak suche.

W powietrze wzniosł się biały, cuchnący dym. Żmij zasłonił nos i usta tuniką. Cofnął się i z mściwą satysfakcją patrzył, jak czar pochłania szczątki istoty, a resztki perłowej mazi syczą i parują.

Sylfy zawisły nisko nad ziemią, poza zasięgiem dymu, i uważnie wszystko obserwowały.

– To nie wystarczy – odezwał się ten niebieskoskrzydły, gdy ogień już prawie się wypalił. – Gdy srebrni się zorientują, że ich szpieg zginął, nie dadzą za wygraną, póki nie zlokalizują miejsca, gdzie to się stało. Będą próbować do skutku.

Krzyżący przetarł dłonią twarz, ucisnął oczy. Czuł się coraz gorzej, wstrząsały nim dreszcze, a głowa pulsowała tęnym bólem.

– Zapewne – odrzekł, siląc się na spokój. – Jakież sugestie?

Skoro tacy z was specjaliści – chciał dodać, ale powstrzymał się, pamiętając, że tylko głupiec okazuje arogancję w rozmowie z mieszkańcami sfer.

Sylfy przez chwilę szeptały między sobą, po czym przemówił ten z pióropuszem na helmie.

– Ty też posiadasz enklawę, prawda?

– A co to ma do rzeczy?

– To, że możesz skopiować jej zabezpieczenia tutaj. Opis rytuału znajdziesz w *Kompendium magii ochronnej Cymmergusa*.

– Znam ten rytuał – wtrąciła słabym głosem Marshia, siadając. – Mam tę księgę.

Jej ton wskazywał, że chce jak najszybciej położyć kres rozmowie.

– Dziękujemy za radę – powiedział niepewnie Krzyczący. Marshii wyraźnie się nie podobało, że powietrzne duchy wtrącają się w jej sprawy. Wcale go to nie dziwiło.

Pojawił się czwarty sylf, dosiadający skrzydlatej poczwary wyglądającej jak skrzyżowanie gryfa z gigantycznym pasikonikiem. Krzyknął do pozostałych w obcym, śpiewnym języku, po czym wszyscy czterej ulecieli, znikając w szarości chmur. Brune dopiero teraz uświadomił sobie, że w czasie gdy rozmawiał z powietrznymi rycerzami, zrobiło się wyraźnie zimniej i zerwał się porywisty wiatr, szarpiąc rzadką trawę.

– Wracajmy za osłony – powiedział trzeźwo Zazel, wychylając się zza najbliższego głazu jak diabełek z pudełka. Utykając na siedmiu łapach, zbliżył się do Marshii. – Dasz radę wstać, pani?

Biss wzbil się w powietrze, falując mackami. Krzyczący podał zmijce dłoń i pomógł jej się podnieść. Stała chwiejnie, wspierając się na jego ramieniu.

– Spaliłeś to obrzydlistwo? – spytała, patrząc na wciąż jeszcze dymiącą plamę wypalonej ziemi.

– Tak.

– To dobrze. Mam nadzieję... – Zakaszła sucho, przyciskając dłoń do klatki piersiowej. – Mam nadzieję, że nie było za późno.

Brune napotkał przestraszone spojrzenie Anavri. Bardzo chciał powiedzieć dziewczynie coś dodającego otuchy, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Wszystko zależało od tego, czy gdzieś tam w dole, w materialnym świecie, nieznanym im z imienia srebrny mag zdążył rzucić czar tropiący, zanim ciało wysłannika spłonęło.

Pół godziny później wszyscy siedzieli w salonie. Marshia, wciąż jeszcze śmiertelnie

blada, otulona przyniesionym przez służącą futrzanym pledem, sączyła wzmacniający kordiał. Brune wyglądał niewiele lepiej od niej, ale upierał się, że nic mu nie jest. Zmył z twarzy krew, zażył lucyferię na ból głowy, a teraz oboje z Anavri pili herbatę z miodem. Dziewczyna czuła się chyba najlepiej ze wszystkich, ale dopiero teraz, gdy zagrożenie już minęło, mroziła ją myśl o tym, co mogło się stać. Że tak niewiele brakowało, by ziszczył się jej najgorszy koszmar. Srebrni.

– Gdyby zdążył ich zaalarmować, albo gdyby zdążyli stwierdzić, gdzie zginął, już dawno by tu byli – stwierdziła cierpko Marshia, odstawiając czarkę. – Sądzę, że tylko węszył i uaktywnił zabezpieczenia, zanim zdążył się zorientować, czyja to enklawa.

– Trzeba się zastanowić, co zrobić z osłonami – odezwał się Zazel, który siedział z filiżanką w rogu sofy. Ciastek nie dostał, ale był tak rozrzęsiony i pełen zgrozy, że tym razem chyba nawet on nie myślał o jedzeniu.

– Tu nie ma nad czym się zastanawiać – stwierdził Brune. – Zaryzykuję tego Cymmergusa, o którym mówiły sylfy.

Marshia westchnęła.

– To niebezpieczny rytuał, Brune. Znam go. Wymaga niezachwianej koncentracji i olbrzymiej ilości mocy. Obawiam się, że nie jesteś wystarczająco silny. – Powiedziała to nie z charakterystyczną dla siebie nutką złośliwości, tylko z rezygnacją stwierdziła fakt.

– Pozwól mi rzucić okiem na księgę, sam ocenię.

– Och, w porządku, skoro się upierasz. – Skinęła na pannę Nevers. – Lorraine, przynieś tu *Kompendium magii ochronnej*.

Gdy dziewczyna wróciła z opasłym woluminem, Brune, marszcząc brwi, zagłębił się w lekturze wskazanego fragmentu. Po chwili zatrzasnął księgę.

– Dam sobie radę – powtórzył. Marshia wyprostowała się, wyraźnie ożywiona – może kordiał zaczynał działać, a może po prostu irytacja dodała jej sił.

– Zdradź mi, jeśli łaska, z jakiego źródła zamierzasz zaczerpnąć tyle energii życiowej?

– Mam swoje sposoby.

– Czerpanie od żył nie wystarczy. Nie wchłoniesz jednorazowo tyle mocy.

– Wiem.

– A jeśli coś pójdzie źle, ryzykujesz uszkodzenie osłon u siebie, albo wręcz naruszenie konstrukcji twojej enklawy. Cymmergus wymaga rozplecenia węzłów i zdjęcia formuły stabilizującej, to nie są żarty.

– Wiem. – Brune dolał sobie herbaty, tym razem nie dodając do niej miodu. – Starsza siostra, patrzmy trzeźwo na sytuację. Jedyna alternatywa, jaka ci pozostaje, to opuszczenie tego domu i przeniesienie się do materialnego świata, bo nie sądzę, żebyś miała chęć zamieszkać u mnie. Jak mawia jeden mój znajomy z Podziemi, albo rybki, albo...

Zazel kaszlnął. Marshia zacisnęła usta, ale wolno skinęła głową.

Stara biblioteka w Tay wznosiła się na wyspie pośrodku rzeki, co wyjaśniało, czemu władze miasta jeszcze nie rozwiązały problemu, jaki sobą stwarzała.

Przed kilku laty jej górne piętra strawił pożar. Ocalałe zbiory przeniesiono do nowego gmachu, zaś ruina, dotąd nierozzebrana, straszyla osmalonymi dziurami po oknach i zwęglonymi, sterczącymi belkami. Nie ucierpiała jedynie najniższa kondygnacja, gdzie teraz gnieździł się bezdomni, którzy faktycznie zawłaszczyli dla siebie całą wysepkę. Tym to sposobem pośrodku dzielnicy uniwersyteckiej wyrósł wrzód, który w praktyce nie przeszkadzał mieszkańcom aż tak, aby chciano podjąć radykalne kroki. Męty przestrzegały niepisanej umowy ze strażą miejską i za dnia starały się nie leżeć postronnym w oczy. Dopiero nocą na wysepce rozpalano ogniska, a ochryple śmiechy niosły się nad wodą.

Margines, jak wszędzie, pilnował swojego terytorium – na moście zupełnie jawnie siedział typ, wprost reprezentacyjnie odstręczający, który zatrzymywał każdego obcego, pytając, do kogo ma interes. Ponieważ Anavri nie miała ochoty mu się opowiadać, po prostu zdematerializowała się z bulwaru i zmaterializowała w krzakach na wyspie. Tu nawet jako jasnowłosy chłopak mogła się spodziewać zacepek, więc otuliła się czarem niewidzialności.

Cicho jak cień ruszyła ku budynkowi, omijając ogniska i grzejące się przy nich nieapetyczne towarzystwo. Wypatrzyła boczne wejście, którego nikt nie pilnował, a drogę w zawilgoconych, śmierdzących pleśnią i moczem korytarzach odnalazła dzięki zmysłom maga, kierując się tam, gdzie wyczuwała znajomą obecność.

W obszernej piwnicy, której sklepienie wspierało się na filarach, cienie tańczyły po pokrytych zaciekami murach. Na środku, wokół zapalonej świecy zatkniętej w garnuszku, siedziało sześciu obdartych mężczyzn, podając sobie z rąk do rąk butelkę. Czterech grało w kości, dwaj tylko się przyglądali. Pod ścianą na posłaniach ze szmat spali inni; dolatywało stamtąd pijackie chrapanie. Młoda, rozczochrana kobieta karmiła piersią dziecko. Skądś dobiegł chichocik i odgłos klepnięcia; w mroku między filarami na chwilę zamajaczyły dwie sylwetki, zajęte sobą.

Anavri, nadal niewidzialna, podeszła do pijących. Wiedziała, że Brune jest wśród nich, rozpoznawała go z daleka po aurze.

Zacisnęła zęby. Bolało ją serce, kiedy widziała go w tym przebraniu i żartującego z tymi

ludźmi, jakby czuł się wśród nich na swoim miejscu.

Stała w pewnej odległości i czekała. Była pewna, że Krzyżący także wyczuł jej obecność, ale nie podnosił głowy; słuchał uważnie tego, co mamrotał garbus z bielmem na oku. Pozostali klócili się o wynik ostatniego rzutu. W końcu Brune powiedział coś, na co kompani zareagowali rechotem, i wstał. Ruszył chwiejnie do wyjścia, a Anavri za nim, nadal niewidzialna.

Gdy wyszli na korytarz, jej nauczyciel przestał udawać pijanego.

– Tędy – szepnął, ujmując ją za rękę. Anavri stłumiła wstręt, bo nie zdjął jeszcze iluzji. Pozwoliła się poprowadzić w głąb piwnic. Nagle woń stęchlizny znikła, zrobiło się zimniej, dolatujące z oddali dźwięki ucichły i dziewczyna zrozumiała, że właśnie przeszli przez zakamuflowany portal, utrwalony tak, by nie zanikał po jednokrotnym użyciu.

Rzeczywistość zafalowała i nad ich głowami zaśnił księżyc. Stali nad rzeką, która nie płynęła przez żadne ze znanych Anavri miast. Na obu brzegach wznosiły się drewniane domy, czy raczej rudery.

– Gdzie jesteśmy?

– W Gyarze nad Morzem Tęsknot, w dzielnicy biedoty. – Brune czujnie się rozejrzył, lecz byli sami. – Chodź, nie stójmy tu.

– Zdejmij tę przeklętą iluzję – warknęła.

– Nie tutaj. Ty też się jeszcze nie dekamoufluj. Tędy.

Poprowadził ją błotnistą uliczką, gdzie szczury obwąchiwały walające się odpadki. Anavri zacisnęła zęby. Znów zozydził się tak przekonująco, że mogłaby przysiąc, iż wcale nie ma do czynienia z iluzją. Łachmany, włosy w strąkach, w miejscu blizn wstrętne mokry liszaj. Oraz to, czego nienawdziła najbardziej – smród. Odór bezdomności: wódki, śmietników i wżartego w skórę brudu.

Ogarnął ją gniew. Nie pierwszy raz miała wrażenie, że Krzyżący świetnie się bawi, udając degenerata, podczas gdy dla niej nie było w tym nic, ale to nic śmiesznego.

– Mdli mnie, kiedy na ciebie patrzę – warknęła.

– Mogłabyś przestać to widzieć, gdybyś się skupiła – powiedział zmęczonym tonem. – Anavri, co ci mówiłem o strachu?

Zacisnęła zęby, opanowując się z wysiłkiem, żeby nie wykrzyknąć mu w twarz tego, co był w stanie wyczytać z jej głowy bez specjalnego trudu. Gdyby mu zależało.

Tak, na wszystkie demony, mam problem ze strachem! Ze strachem o ciebie! Że pewnego

dnia osuniesz się z powrotem w bagno i już tam zostaniesz!

– I jak? Udało się? – spytała chłodno.

– Powiem ci w domu. – Rozejrzył się czujnie. – Tam w bibliotece płątała się taka jedna szuja, co prawie na pewno donosi srebrnym. Mam nadzieję, że mnie nie rozpoznał.

– A mógł?

– Wszystko jest możliwe. – Schylił się i przecisnął przez dziurę w płocie, wchodząc na zachwaszczone podwórze. Anavri chcąc nie chcąc podążyła za nim. Zaledwie znaleźli się pod osłoną chaszczy, jej nauczyciel ujął ją za rękę i zdematerializowali się.

Gdy otwarła oczy, stali na brzegu jeziora w enklawie. Tu było jeszcze jasno, na niebie powoli przygasały barwy zachodu. Brune powrócił do własnej postaci. Z westchnieniem przysiadł na najbliższym głazie, wyjął z kieszeni coś zawiniętego w ciemną tkaninę i rozmotął ją.

– Zobacz – powiedział. Anavri przykucnęła i wzdrygnęła się, czując czarne ciepło emanujące z przedmiotów, które wyglądały jak zwykłe, zaśnieżone monety. Stłumiła instynktowne pragnienie dotknięcia ich, bo nagle przypomniała sobie zwłoki zakatowanej żmijki, które widziała w Kang. Z monet biła ta sama aura, choć słabsza: paląca, odzywająca się mrowieniem na skórze, osadzająca się na języku posmakiem rdzy.

Cierpienie. Cierpienie i śmierć.

– Skąd one są? – spytała powoli, niepewna, czy chce znać odpowiedź.

– W zeszłym tygodniu srebrni aresztowali typka, który handlował różnymi rzeczami. Talizmanami i nie tylko. W podziemiach biblioteki miał swoją skrytkę, w której zostało parę drobiazgów. – Brune podrzucił jeden z miedziaków i złapał zręcznie. – Słyszałaś lub czytałaś o czarnych monetach?

– Nie...

– Więzi się ofiarę, najczęściej dziecko, zmusza do połknięcia kilku monet, a potem torturuje na śmierć. Gdy ofiara umrze, rozcina jej się brzuch i wydobywa monety. Są nasycone taką dawką czerni...

Urwał, widząc jej minę.

– Proszę, powiedz, że to tylko kolejny twój kretyński żart – powiedziała wolno Anavri, a kiedy pokręcił głową, zerwała się i pobiegła w kierunku granicy enklawy.

– Anavri! – krzyknął. Nie zatrzymała się. Chwilę później powietrze zafalowało i dziewczyna zniknęła, przekroczywszy niewidzialną barierę.

Brune zaklął, schował monety do kieszeni i pobiegł za nią. Przeczuwał, że gdy tylko Anavri opuściła enklawę, zdematerializowała się, i rzeczywiście – po chwili wyczuł w powietrzu gasnące już echo czaru.

Szlag. Podążenie za kimś, kto się zdematerializował, było możliwe tylko w ciągu kilku minut od użycia czaru, i wymagało niebagatelnych umiejętności. On ich nie posiadał – mógł co najwyżej powiedzieć, w której księdze znajduje się instrukcja. Ale nadal miał przy sobie spinkę Anavri, którą zapomniał dziewczynie oddać. Na szczęście.

Zacisnął przedmiot w rękę i sekundę później zmaterializował się na porośniętej niebieską trawą łące, nad potokiem. Anavri siedziała na kamieniu, skulona, obejmując się ramionami. Podniosła zalaną łzami twarz, żeby spiorunować go wzrokiem.

– Wcześniej nie mówiłeś mi takich rzeczy, żebym się przyzwyczaiła do daru, oswoiła, tak? Ty skurwielu... okłamywałeś mnie przez tyle tygodni... – Zgarbiła się jeszcze bardziej. – To kiedy zaczniesz mnie uczyć, jak się torturuje dzieci?

– Anavri... – Zawahał się. Rozumiał swój błąd, ale nie wiedział, jak się zabrać do wyjaśnień.

Dziewczyna wyjęła chustkę i wytarła nos. Brune, klnąc w duchu własną głupotę, przykucnął przy niej.

– To mało przyjemna strona Sztuki, wiem – powiedział cicho. – Ale wychodzę z założenia, że jeśli ktoś już nie żyje, to i tak mu nie pomogę. Potrzebuję tej mocy, Anavri. Nie zamówiłbym tych cholernych monet, ale skoro już były do wzięcia, to je zabrałem. Rozumiesz?

– Mógłbyś po prostu zapłacić żył.

– To nie to samo. Żyła to żyła, ale kiedy są potrzebne krew albo cierpienie... to nie da się ich zastąpić czymś innym.

Anavri znowu siąknęła nosem, kaszlnęła, by zamaskować szloch. Krzyczący wyciągnął do niej rękę.

– Chodź, wracajmy.

– Wróć, kiedy będę chciała. Zostaw mnie.

– Anavri...

– Zostaw mnie. – Nie podniosła głosu, ale jej źrenice błysnęły sino.

Krzyczący zrezygnował z dalszej dyskusji. Była młodą zmijką, a nie dzieckiem. Sięgnąwszy umysłem w przestrzeń, upewnił się tylko, że w okolicy nie ma niczego, co mogłoby

stanowić dla niej zagrożenie, po czym zdematerializował się, wracając do enklawy. Tam zajął się przygotowaniami do rytuału z księgi Cymmergusa – musiał naszykować odpowiednie mieszanki olejków i nauczyć się na pamięć formuł.

Anavri wróciła po dwóch czy trzech godzinach. Bez słowa poszła zrobić sobie kolację. Nie zwracał uwagi na to, czym się zajęła później, ale kiedy wszedł na chwilę do sypialni po zostawione tam czyste arkusze papieru, zauważył, że dziewczyna już się położyła. Nie była na tyle wściekła, żeby spać w kuchni, albo może nie chciała zbyt dobitnie demonstrować, jak bardzo jest na niego obrażona.

Nic nie powiedziała, więc on też milczał.

Późnym wieczorem wreszcie skończył przygotowania i poszedł się wykąpać w jeziorze, by splukać z siebie zapach pracowni oraz niemiłe wspomnienie starej biblioteki i jej mieszkańców.

Przez chwilę biegał po łące tylko po to, żeby się rozgrzać. Dosyć regularnie fechtował się ze znajomymi zabijakami i zawsze słyszał, że mógłby być sprawniejszy, że za mało się rusza. Nie miał tyle zacięcia ani czasu, by to zmienić, mimo świadomości, że w walce bez magii też powinien sobie radzić możliwie jak najlepiej. Stłumił wyrzuty sumienia w związku z tym. Rozebrał się i wszedł do wody, z trudem chwytając oddech z powodu zimna. Uśmiechnął się, patrząc w czarne niebo. Wróciło do niego mgliste wspomnienie z Hain-Rague, jedno z tych odzyskanych, kiedy jako chłopiec pływał w wartkiej górskiej rzece razem z rówieśnikami, synami dzierżawców.

A potem ujrzał inny obraz. Czy raczej poczuł wszystkimi zmysłami, tak wyraziście, jakby na moment przeskoczył w inną rzeczywistość.

Zimno i zapach morza.

Wchodzę coraz głębiej, zanurzając się w lodowatych falach. Rozpaczliwie pragnę oczyszczenia – dosłownie i w przenośni. Otarcia na nadgarstkach i kostkach – pamiątki od kajdan – pieką i szczypią od słonej wody.

Nad wyspą wstaje świt.

Był słaby – wiedział, że od niedawnej gorączki – i w żalonym stanie. Chudy jak szkielet, pozlepiane włosy, broda. Próbował się wyszorować piaskiem, zmyć z siebie tygodnie tułaczki... i Otchłań.

Czuł słaby, mdlący zapach ropy i zgnilizny wydzielany przez rany na policzku – wciąż jeszcze rwące bólem, do niedawna otoczone plamami martwicy. Zakażenie, którego normalny człowiek by nie przeżył.

A za sobą, na brzegu, wyczuwał obecność. Nawet nie odwracając się, wiedział, że tam są. Dwie sylwetki w szarych szatach.

Demony.

Zdawał sobie sprawę, że to fragment większej historii, która rozegrała się, gdy tkwił w szponach szaleństwa, i której nie chciał sobie przypominać. Odepchnął wizję siłą woli, oddychając ciężko, i wyszedł z wody. Odechciało mu się pływania.

Ubierając się, znów doznał irytującego wrażenia, że ktoś lub coś go śledzi. Przywołał moc, oczy mu zapłonęły. Zmysłami maga szybko omiótł najbliższe otoczenie. Nic.

Po chwili wrażenie cudzej obecności zniknęło, a Brune zaklął pod nosem, tłumiąc strach, że dzieje się najgorsze – że szaleństwo wraca.

Nawet o tym nie myśl. Jesteś czarnym magiem, trzymaj się w karbach, do cholery.

Wrócił do chaty i wszedł do sypialni – cichutko, żeby nie obudzić dziewczyny, ale Anavri nie spała. Usiadła.

– I jak? Wszystko przygotowane?

– Powiedzmy – mruknął. Ze znużeniem przetarł oczy. – Sprawdziłem układ gwiazd, oczywiście jest niekorzystny. W cholerę z tym. Lisenius i Zehud wierzyli w astrologię, ja nie.

– A co mówią twoje karty? Sprawdzaleś?

– Pokazują śmierć. – Uśmiechnął się cierpko, zdejmując buty. – Jak przed każdym niebezpiecznym przedsięwzięciem. Pamiętasz, co mówiła Marshia o wizjach Lorraine? Że patrząc w przyszłość, zawsze widzi się wszystkie możliwe ścieżki.

Anavri zmierzyła go wzrokiem. Zawahała się.

– Sądzisz, że jest szansa, że się uda?

– A jak ci się zdaje? – prychnął. Położył się i przykrył kocem. Dziewczyna nie zadawała dalszych pytań. Czuł jej chłodny dystans, niechęć – i coś mówiło mu, że prędko się to nie zmieni.

No cóż, miał poważniejsze zmartwienia. Znów wrócił myślami do wspomnienia, które go nawiedziło w wodzie.

Demony na brzegu. Dwie sylwetki w szarych, obszarpanych szatach... Stwór o głowie sępa i młoda kobieta.

Dreńczyło go wrażenie, że dar usiłuje mu coś powiedzieć, lecz nie wiedział co.

Długo trwało, nim zasnął, ale tej nocy nie śniło mu się nic.

Aby przeprowadzić operację z osłonami, należało wspiąć się na tyle wysoko na któryś z okalających jezioro szczytów, aby móc stamtąd objąć wzrokiem całą enklawę. Odkąd Krzyczący zamieszkał w tym miejscu, zdążył gruntownie spenetrować okolicę, w tym wejść na własnych nogach wszędzie, gdzie dało się wdrapać bez liny – stąd też wiedział, że najlepszym wyborem będzie zbocze najbliższej góry, najeżone głazami, lecz bez przepaści.

Wyruszyli nazajutrz. Teleportacja nie wchodziła w grę, wymagałaby poświęcenia zbyt dużej ilości mocy, podczas gdy liczyła się każda jej odrobina. Dlatego w chłodzie poranka powędrowali najpierw skrajem łagodnie wznoszącej się niebieskawej łąki, nad którą śmigały ważki, a potem zakosami po kamienistym stoku. Widoczne w dole jezioro stopniowo stawało się coraz mniejsze.

Po mniej więcej godzinie marszu usiedli, by odpocząć i napić się wody. Anavri zdjęła słomkowy kapelusz, żeby otrzeć spocone czoło. Wiatr rozwiewał jej jasne włosy.

– Tam – powiedział żmij, wskazując położoną kawalek wyżej przełęcz, w odpowiedzi na pytanie, którego dziewczyna nie zadała. Wzruszyła ramionami, udając, że całkowicie pochłania ją wpatrywanie się w motyla, który nadleciał z gracją, zatoczył krąg nad ich głowami i przysiadł na pobliskim głazie.

Był szary jak popiół, bez jednej barwnej plamki. Krzyczący na ten widok poczuł dreszcz, zakręciło mu się w głowie. Zamknął oczy. Gdy ponownie spojrział w stronę motyla, ujrzał tylko pusty głaz. Złowił badawcze spojrzenie Anavri i opanował się, zaciskając zęby.

– Idziemy – powiedział. Wstała posłusznie.

Wyżej teren stał się trudniejszy; szli wolno, mozolnie wybierając drogę pomiędzy rozsianymi wokół mniejszymi i większymi odłamami skalnymi. W końcu stanęli na przełęczy. Chmury wisiały nisko, niektóre z okolicznych szczytów niknęły za ich zasłoną. Było chłodno. Wiatr przybrał na sile, dał krótkimi, gwałtownymi podmuchami.

– Jesteśmy wystarczająco wysoko – stwierdził Krzyczący, spoglądając w dół. Z góry widać było niebieską plamę jeziora, ale nie enklawę, której osłony funkcjonowały tak, jak należy. – Teraz poproszę cię o czerpanie.

Anavri wzruszyła ramionami i posłusznie schyliła głowę. Zacerpnął oszczędnie, uważając, żeby nie sprawić jej bólu. Ostрым kamykiem nakreślił na ziemi krąg i kilka znaków, po czym skropił je kolejno zawartością trzech przyniesionych fiolek. Zapachniało mirrą, piołunem i zabią paprocią. Na koniec wyjął nasyczone czernią monety i ułożył je przed sobą.

– Co mam robić? – spytała dziewczyna.

– Nic. Usiądź z boku i czekaj. – Uśmiechnął się blado. – Gdybym stracił przytomność, ocuć mnie.

Nie brzmiało to optymistycznie, ale Anavri skinęła głową i zajęła miejsce na głazie nieopodal. Po namyśle przesiadła się w miejsce bardziej osłonięte od wiatru, żałując, że nie zabrała płaszcza.

Brune ukląkł w kręgu, zamknął oczy i zastygł na chwilę. Potem zaczął szeptać frazy w języku magów, z których nie rozumiała prawie nic. Trwało to długo, na pewno ponad kwadrans. Anavri skuliła się, wsuwając dłonie w rękawy. Na szczęście po jakimś czasie wiatr przycichł i już tak nie ziębił.

Czekała.

W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że ułożone na ziemi monety straciły swą czarną aurę – nie umiała powiedzieć, kiedy do tego doszło. Jeszcze chwilę wcześniej wyczuwała je darem tak wyraźnie, jakby się żarzyły, a teraz były po prostu kawałkami zimnego, martwego metalu. To był pierwszy znak, że coś się dzieje.

Brune zamilkł i dłuższy czas trwał bez ruchu. Potem bez słów zaczął kreślić dłońmi znaki w powietrzu. Jego twarz stężała, kilka razy gwałtownie chwycił oddech. Dziewczyna obserwowała go z fascynacją i niepokojem. Czuli, że prądy Zmroczy gdzieś tam wysoko w górze zmieniają się, że zmianie ulega aura wokół miejsca, gdzie siedzieli. Powietrze stało się jakby nieuchwytnie cieplejsze, potem pojawił się w nim słaby ślad zapachu kwiatów. Anavri z drżeniem uświadomiła sobie, skąd go zna – to była woń uwielbianych przez Marshię jaśminowych perfum, która zawsze unosiła się w komnatach willi nad stawem.

Brune znowu szeptał formuły. Potem, nie wstając z klęczek, przywołał ją gestem.

– Użycz mi sił – zażądał ochrypłym szeptem.

Posłusznie skłoniła głowę, a zaraz potem chwyciła oddech i zagryzła usta, żeby nie jęknąć – czerpał tak gwałtownie jak nigdy wcześniej. Ból prześwidrował jej czaszkę od czoła do potylicy, przed oczami zawirowały czarne płatki. Osunęła się w omdlenie.

Kiedy się ocknęła, uderzył ją panujący półmrok. Zapadał zmierzch... a naokoło gęstniała mgła. Szara, wilgotna i lepka.

Anavri usiadła ostrożnie i z przerażeniem zobaczyła, że Krzyczący także leży bez ruchu na ziemi.

Prędko przyklęka obok niego, szukając pulsu na szyi. Znalazła; jego serce biło normalnym rytmem, oddychał. *Zasnął* – uświadomiła sobie z ulgą. Zasnął z wyczerpania.

Potrząsnęła go za ramię, najpierw lekko, potem mocniej. Bez efektu. Zamamrotał

niewyraźnie, nawet rozchylił na moment oczy, ale od razu je zamknął i ponownie zapadł w sen. Anavri czuła zmysłami maga, jak potwornie jest zmęczony.

Przez chwilę zastanawiała się, co zrobić, i doszła do wniosku, że nie mogą nocować w tym miejscu – kto wie, co mogłoby ich zwęszyć, po astralnych rubieżach błąkały się najrozmaitsze paskudztwa, od dusiołków po jadowite grollice – ale pozwoli mu pospać jeszcze przez chwilę. Tak długo, dopóki nie uda się jej rozproszyć tego mleka, które wisiało wokół.

Przywołała moc i zamknęła oczy, posyłając swą świadomość w górę – tak jak podczas przywoływania wiatru – próbując prześledzić kierunek prądów powietrza i grubość pokrywy chmur. Szybko dała się porwać znajomej radości, jaką niesło zanurzenie w żywiole, który był jej najbliższy, najbardziej przyjazny. Już nie stała na kamienistym gruncie, tylko śmigała przez chłodne powietrze, lżejsza i zwinniejsza od jaskółki. Wniknąć we mgłę, stać się mgłą, być mgłą i szeptać do mgły, rozkazywać mgle...

Sama nie wiedziała, kiedy ani jak to się stało, ale gdy otworzyła oczy, opary rzedyły, odpływały, choć nie rozproszyły się do końca.

Potem, ku jej uldze, Brune się poruszył. Uniósł powieki i jęknął, przyciskając dłoń do czoła.

– Żyjesz? – spytała Anavri.

Pokręcił tylko głową, mamrocząc przekleństwo.

Podawała mu rękę. Dźwignął się i usiadł niezdarnie, potem spróbował wstać, ale zatoczył się i upadłby, gdyby dziewczyna go nie podtrzymała. A potem... ku jej przerażeniu zaczął coś cicho nucić, melodię bez słów.

Potrząsnęła go za ramiona, wtedy zamilkł. Popatrzył na nią zdezorientowanym, szklistym wzrokiem, który sprawił, że poczuła w brzuchu chłód.

– Jasna cholera! Co ci jest?

Nie odpowiedział. Zapatrzył się w przestrzeń, szepcząc pod nosem. Anavri stłumiła ogarniający ją paniczny strach. Od razu pomyślała, że gdy Brune leżał nieprzytomny, coś go opętało, jakiś wrogiby z astralu. Ale wystarczyło użyć zmysłów maga, by się przekonać, że nie. Był tylko oszołomiony wyczerpaniem – trochę tak, jakby odpływał w malignę bez gorączki.

– Musimy zejść z powrotem – powiedziała, siląc się na spokój. – Dasz radę?

– Musimy... zejść z powrotem – powtórzył cicho, niepewnie. Anavri przestraszyła się, że może powtarza jej słowa bezmyślnie, nie rozumiejąc, ale stłumiła lęk i spokojnie poleciła:

– Weź mnie za rękę.

Zejsście nie należało do przyjemnych. Schodzili powoli, krok za krokiem. Brune szedł chwiejnie, jak lunatyk, a dziewczyna wiedziała, że gdyby się potknął, przewróciłiby się oboje.

Zapadła noc. Dzięki zmijowemu wzrokowi Anavri nadal rozróżniała kontury skał, ale przywołała czarodziejskie światelko, żeby móc łatwiej odszukać drogę.

Potem zaczęło się dziać coś złego.

Ciemność zgęstniała. Zafalowała, jakby ożywając. Dziewczyna, coraz bardziej spięta, oddychała szybko i płytko. Miała wrażenie, że tuż poza kręgiem światła wyczuwa niematerialną obecność obcych istot, zimną i wrogą. Przybywało ich z każdą chwilą, jakby zlatywały się niczym ptactwo. Potem zdała sobie sprawę, że otaczający ich mrok zaczyna kształtować się w sylwetki – niewyraźne kształty w powiewających, obszarpanych strojach utkanych z cienia. Bezszelstnie podpływały coraz bliżej.

Przywołała moc, zastanawiając się rozpaczliwie, czy piorun Sulpisa zadziała przeciwko ożywionej ciemności. Lecz zanim zdążyła to sprawdzić, zobaczyła, że Brune prostuje się i daje krok do przodu. Oprzytomniał. W samą porę.

– Precz! – krzyknął ochryple, unosząc ręce. Źrenice zabłyśły mu żółto. Cienie pierzchły, roztapiając się wśród nocy.

– Co to było? – spytała drżącym głosem Anavri.

– Nie mam pojęcia. Chodź.

Ruszył przodem, narzucając takie tempo, że miała problem z nadążeniem; jego buty lepiej się nadawały do chodzenia po skałach. Nie odezwał się już ani słowem, ignorując jej pytania, póki nie dotarli do enklawy. Anavri z ulgą wyczuła zmysłami maga, że osłony są nienaruszone. Gdy wreszcie zeszli z ostatniego pagórka i przed nimi ukazało się jezioro – plama głębszej ciemności w mroku – stwierdziła:

– Mam tylko nadzieję, że enklawa Marshii jeszcze stoi.

– Nie było ryzyka, że ją uszkodzę – mruknął Brune. – Tak głupi jeszcze nie jestem. Co najwyżej wzmocnienie osłon mogło się nie powieść.

Anavri wyczuła, że jest zły na siebie. No cóż, bez wątpienia przeliczył się z siłami.

Marshia cię ostrzegala – pomyślała. Ale na twoim miejscu pewnie postąpiłaby tak samo.

W pierwszej kolejności poszli do pracowni. Długą chwilę trwał, nim w zwierciadle pojawiło się coś innego niż płynące kolorowe linie i migoty, ale w końcu tafla ukazała Marshię, stojącą w swoim laboratorium.

– Udało się – uprzedziła ich pytanie. – Brune, jestem twoją dłużniczką. – Zmierzyła go

uważnym spojrzeniem. – Wszystko w porządku?

– Tak – mruknął. Marshia nie wyglądała na przekonaną, ale nie zadawała dalszych pytań. Krzyczący wygasił zwierciadło i zdjął z półki buteleczkę zawierającą ekstrakt z lucyferii.

– Zjesz coś?

Anavri niechętnie skinęła głową. Po całym dniu na świeżym powietrzu była głodna jak wilk.

Kiedy usiedli do spóźnionej kolacji, w powietrzu zawisło zakłopotanie. Wracając myślami do kwestii czarnych monet, dziewczyna z goryczą musiała przyznać w duchu, że życie prędzej czy później zweryfikuje wszystkie jej zasady. Albo będzie pragmatyczna, albo martwa. Nie zamierzała jednak przeproszać za swój wybuch.

Potem dotarło do niej, że zmij przeprosin ani nie oczekuje, ani się ich nie spodziewa. Był niczym ogłuszony – jakby przeżył głęboki szok i jeszcze się z niego nie otrząsnął. Usiadł za stołem i patrzył w przestrzeń. Kiedy w czajniku zagotowała się woda, ocknął się. Zalał zioła dla siebie i dziewczyny, odczekał, aż napar dobrze naciągnie, zażył z herbatą solidną dawkę lucyferii i dopiero wtedy ukroił sobie chleba. Jadł wolno, niechętnie, wyraźnie z rozsądku. Anavri chciała spytać, co się stało tam na przełęczy, ale nie miała odwagi.

Dopiwszy herbatę, bez słowa poszła się położyć. Po zrywie, jakim było rozproszenie mgły, czuła się zaskakująco zmęczona i sen wkrótce otulił ją jak ciężki futrzany pled.

Rano po obudzeniu odkryła, że Krzyczącego nie ma w enklawie. Nie raczył zostawić informacji, dokąd się wybiera. W kuchni na stole leżała jedynie karteczka o treści: *Drugi rozdział Liseniusa, przepytam cię jutro.*

Wieczorem Anavri już prawie spała, kiedy Brune wreszcie wrócił. Półprzytomnie sięgnęła ku niemu zmysłami maga. Był zmęczony, ale cały i zdrow, co uspokoiło ją na tyle, że postanowiła nie wstawać. Przez mgłę półsnu słyszała, jak dokładał do pieca, a później krzątał się po kuchni, stukając naczyniami.

Zbudziła się na dobre dopiero jakiś czas później, gdy przyszedł i położył się obok. Wyczuła zapach świeżo wypalonego opium.

– Znowu? – spytała karcąco.

– Co?

– Dobrze wiesz co.

Brune wzruszył ramionami.

– Pogadamy, jak pożyjesz jeszcze kilka lat, młodsza siostrzyczko.

Anavri przełknęła ciętą odpowiedź, którą miała na końcu języka.

– Gdzie byłeś? – zmieniła temat.

– W interesach.

Miał na sobie domowe ubranie i lekko pachniał mydłem – zmysły maga nie potrafiły jej powiedzieć, skąd wrócił. Pewnie znowu z jakiegoś paskudnego miejsca. Odepchnęła tę myśl.

– Anavri – dodał – nie podziękowałam ci jeszcze za to, co zrobiłaś wczoraj na przełęczy. Dziękuję.

Odwróciła się do niego i wsparła na łokciu.

– Miło, że sobie przypomniałeś. – Nie mogła się powstrzymać od drobnej złośliwości. – Nie ma za co.

Zwichrzył dłonią jej włosy, potem ją przytulił. Anavri zamknęła oczy, odchylając głowę do tyłu. Nagle dotarło do niej, jak bardzo stęskniła się za jego dotykiem.

Ich usta spotkały się delikatnie. Brune pocałował ją w szyję; potem, nie pytając o zdanie, rozsznurował jej koszulę. Oddychał nieco szybciej. Anavri zdała sobie sprawę, że czuje w jego aurze znajome, słodkie pragnienie, udzielające się również jej.

– Zawsze sądziłam, że opium w tym przeszkadza – nie darowała sobie.

Prychnął.

– Nie aż tak.

Wzruszywszy ramionami, bez protestu wyswobodziła się z ubrania. Pozwoliła, by ją tulił, chłonęła jego ciepło i sama stopniowo odprężyła się na tyle, żeby przestać myśleć. Był bardziej czuły niż zwykle i wiedziała, że to w pewnym sensie przeprosiny. Za monety i za to, co stało się na przełęczy.

Nie miała już śmiałości dopytywać się, czy opium naprawdę nie zaszkodzi w tych okolicznościach. Rychło przekonała się, że nie zaszkodziło. Nie w wyczuwalnym dla niej stopniu.

Kwestia dawki – usłyszała trochę później rozbawioną odpowiedź Krzyczącego.

Nakryła dłonią blizny na jego policzku. Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że prawie nie czuje drzemiącej w nich czerni – może dlatego, że oboje byli teraz odprężeni, senni i szczęśliwi.

Nagle zamarła, bo zdała sobie sprawę, że odbiera jego uczucia wyraźniej niż kiedykolwiek. Coś więcej niż zachwyty jej ciałem i wilczą więź dwojga wyrzutek. Jednak coś więcej.

I ta świadomość, paradoksalnie, przyprawiła ją o chłodny strach.

Rozdział 24: Cień szaleństwa

Nad enklawą zapadał zmierzch. Na trawie nad jeziorem rozsiadł się spasiony, włochaty, rogaty dusiołek z gołym zadem i pisał fałszywie na wierzbowej fujarce. Gdy usłyszał kroki, zastrygł uszami i rozejrzał się ciekawie. Wytrzeszczył ślepie i mlasnął łakomie, czując zapach grzybów, a dopiero potem dostrzegł postać w czarnym odzieniu, o świecących źrenicach.

Żmij szepnął coś i powietrze wokół stwora zaiskrzyło się magicznymi wyładowaniami. Dusiołek zaklął plugawie, wywinął koziołka i znikł, pozostawiając po sobie tylko piżmowy smrodek.

– I nawzajem – mruknął za nim Brune. Spędził kilka godzin w prozaicznym ziemskim lesie, w siąpiącym deszczu, szukając muchomorów, które stanowiły główny składnik odurzającej mikstury, jaką zamówił u niego znajomy Marshii, felczer Denigis. W jakim celu, w to już żmij nie wnikał, nie za to mu płacono. Zmarznięty i zmęczony, marzył tylko o tym, żeby ściągnąć mokrą wierzchnią odzież i buty, ogrzać się przy piecu, wypić gorącą herbatę i iść spać.

Nagle przystanął. Nad jeziorem i łączką snuła się mgła. W zapadającym zmierzchu jej pasma przywodziły na myśl sylwetki w zwiewnych szatach.

Brune wziął głębszy oddech. Wróciły do niego obrazy, które ujrzał tam na przełęczy, zanim stracił przytomność.

W mrocznej, wysoko sklepionej sali tlą się pochodnie dające dziwne blade światło, podobne do księżycowego, lecz rozedrgane, co chwila przygasające. Ledwo trzymam się na nogach i ledwo widzę; ból rozdziera mi twarz, kąsa jadowitymi zębami, lecz aura tego miejsca, gorąca od zapiekłego, nagromadzonego przez wieki cierpienia setek tysięcy dusz, dodaje mi sił.

Dziesiątki młodych kobiet w szarych strojach, zwiewnych jak mgła, obserwują mnie lodowatymi niebieskimi oczami.

– Nie umarłeś – szepcze zakuty w zbroję demon, a jego ślepie płoną sino w szczelinie helmu. – Przyprowadzono cię do mnie, flecisto. No cóż, widocznie tak miało być. Nie dostałem należnej mi duszy twego ojca, więc wezmę sobie twoją. Sprawiedliwości stanie się zadość.

Powiew wiatru niosącego drobniutkie krople mżawki przywrócił Krzyczącemu przytomność, choć nie do końca. Zawieszony pomiędzy rzeczywistością a wizją, żmij w rozpaczliwym odruchu wbił zęby w nadgarstek, a gdy to nie pomogło, płaską dłonią trzasnął się w twarz.

Opanuj się! To mara, złudzenie! Walcz z tym!

Ból pomógł; obrazy zniknęły, mgła znowu była tylko mgłą. Brune podniósł lubiankę z grzybami i pokonał ostatnich kilka kroków dzielących go od chaty, oddychając ciężko jak po

wyczerpującym biegu.

Anavri siedziała przy stole w kuchni, ale na szczęście czytała księgę i nie spostrzegła, jaki jest roztrzęsiony. Usiadł przy piecu, otworzył drzwiczki i wpatrzył się w ogień, którego blask i błogosławione ciepło pomogły mu oprzytomnieć do reszty. Po jakimś czasie ochłonął na tyle, żeby nastawić wodę na herbatę, a kiedy dziewczyna wsunęła zakładkę między strony w księdze i spytała, po co mu łubianka muchomorów, zdobył się nawet na to, żeby odpowiedzieć jakby nigdy nic:

– Na paszteciki.

Żył głęboką nadzieję, że incydent był jednorazowy – że to pokłosie wyczerpującego rytuału na przełęcz. Ale, jak się okazało, prawdziwe atrakcje dopiero miały się zacząć.

Nazajutrz Brune musiał się wybrać do Gyary – członkowie tamtejszego cechu grabarzy zaopatrywali go, nielegalnie rzecz jasna, w tak apetyczne składniki eliksirów, jak zęby i paznokcie zmarłych. Wracając z podłej karczmy położonej przy cmentarnym murze, która była miejscem spotkania, w pewnej chwili przystanął zdziwiony. Po drugiej stronie ulicy zabijano deskami drzwi jednego z domów, a stojący na drabinie miejski pacholek malował na zamkniętych okiennicach biały znak. Na chodniku rozmawiało dwóch dostojnie wyglądających mężczyzn, z których jeden, w długiej szacie i staromodnym birecie, był przypuszczalnie lekarzem (w Gyarze medycy nie nosili, jak nad Zatoką Snów, czarnych szat z dwoma białymi pasami u dołu). W pewnej odległości zebrała się grupka gapiów.

– Zaraza – objaśnił ponuro jeden z patrzących, barczysty typ w brudnej roboczej odzieży.
– Dwoje ich tam już pomarło, a reszta choruje. – Splunął i skrzyżował palce od uroku.

– Oby się to kurewstwo, uchowajcie bogowie, nie rozniosło – dorzucił krępy młodzieniec w zakrwawionym fartuchu i z zakasanyimi rękawami, pewnie czeladnik rzeźnicki, który wyszedł z pobliskiego sklepu.

Brune oddalił się spieszenie, bynajmniej nie dlatego, że obawiał się zarazy. Zaczynało mu się kręcić w głowie, miał wrażenie, że między nim a światem tężeje mętna szyba. Aż za dobrze znał to uczucie.

Przygryzając dłoń, żeby opóźnić bólem odpłynięcie w wizję, rozejrzał się gorączkowo.
Byle nie upaść, nie ściągnąć na siebie uwagi.

Zdażył usiąść na murku oddzielającym podwórze zaniedbanej kamienicy od niezabudowanej, zachwaszczonej działki. Chwilę później już stał na bezludnej ulicy, zasnutej dymem z tłących się stert suchych liści i śmieci. Jak okiem sięgnąć, okiennice były pozamykane; na niektórych widniały wymalowane białe znaki, ostrzegające, że ktoś w tym domu choruje lub zmarł. Na rogu dwa psy obwąchiwały leżącą bezwładnie w rynsztoku postać – Deuven z tej odległości nie mógł poznać, czy to pijak, czy trup.

Ale w tych domach, których właściciele nie wyjechali z miasta ani nie leżeli chorzy,

życie toczyło się mniej lub bardziej normalnym trybem. Jak w starym drewnianym domku, przed którym teraz stał. Zza uchylonych drzwi sączył się zapach świeżo upieczonego ciasta, a z głębi, z kuchni dobiegały głucho uderzenia; służąca tłukła mięso na bitki czy kotlety. Brune-Deuven odruchowo dotknął policzka i wyczuł gładką skórę, bez żadnej rany. Zatem to działo się jeszcze przed śmiercią Faivrin.

Niziutka staruszka w schludnej sukni i czepku rozmawiała z nim, co chwila przytykając do nosa ozdobny flakonik ze srebra; medycy twierdzili, że dym, perfumy i wonne olejki chronią przed morowym powietrzem. Wiedział – pamiętał – że to krawcowa, u której (twarz Krzyczącego skurczyła się w tiku – nadal nie umiał sobie przypomnieć jej imienia!) jego ukochana wynajmuje pokój.

– Tak, panienska żyje, dzięki bogom. Pomaga w szpitalu przy chorych, sypia teraz tam, bo jej po nocy strach wracać przez miasto. Widziałam ją wczoraj rano, przyszła sprawdzić, czy wszystko u nas w porządku.

Potem mętna szyba stopniała, a Brune oklapł, oddychając ciężko. Trzęsącą się ręką sięgnął do kieszeni po woreczek i lufkę. Musiał zapalić opium. Teraz, już, natychmiast. Nie obchodziło go, że znajduje się w obcym, potencjalnie niebezpiecznym miejscu. Musiał się uspokoić, żeby móc wrócić do enklawy.

Gdyby incydent w górach był jednorazowy, Anavri może by go zbagatelizowała. Ale w kolejnych dniach stało się jasne, że z Krzyczącym dzieje się coś złego. A problem można było podsumować jednym jedynym słowem: opium.

Z dnia na dzień ewidentnie przekroczył niewidzialną granicę dzielącą okazjonalne palenie makowego świństwa od nałogu. Palił je teraz czasem po kilka razy dziennie, a jadł coraz mniej. Chudł niemal w oczach – jego twarz w przeciągu jednego tygodnia stała się ściągnięta, wyniszczona. Niby przez większość czasu był przytomny – przygaszony, o wolniejszych niż zwykle ruchach, ale nieodurzony na tyle, by ktoś z zewnątrz mógł to dostrzec. Z pozoru funkcjonował normalnie – prowadził z nią lekcje, warzył eliksiry i znikał, by dostarczyć je klientom. Jednak Anavri, która dobrze poznała go trzeźwego, widziała, że różnica jest porażająca. Przestał się uśmiechać. Przestał żartować. Czasem nie reagował, gdy do niego mówiła, tylko patrzył przed siebie szklanym wzrokiem. Mroziło ją to, lecz nie miała odwagi nic powiedzieć. Był od niej starszy, bez porównania bardziej doświadczony. Co mogła zrobić, na litość?

Co gorsza, opium nie tłumaczyło wszystkiego. Nie wyjaśniało, czemu – mimo otepiałego działania narkotyku – aurę miał pełną napięcia i lęku. Czemu chwilami zachowywał się tak, jakby czuł się śledzony: oglądał się przez ramię, sprawdzał puste pomieszczenia w chacie, jakby nie ufał zmysłom maga. Czemu niekiedy szeptał do siebie, patrząc w przestrzeń.

Potem którejś nocy Anavri ocknęła się, słysząc podejrzany szmer.

Brune siedział na krawędzi siennika i tasował karty. Twarz miał martwą. Coś kazało dziewczynie odwrócić się do ściany, udawać, że niczego nie widziała.

Szsz-szsz. Szsz-szsz. Odgłos tasowanych kart jeszcze długo wbijał się w jej świadomość, nie pozwalając zasnąć.

Na tym etapie byłaby już skłonna podejrzewać, że coś go opętało – gdyby nie to, że przecież była zmiękła i wiedziała, że zmysły maga jej nie zwodzą. Cokolwiek go nękało, na pewno nie pochodziło z zewnątrz. I było to, szczerze mówiąc, marne pocieszenie.

Nazajutrz rano, kiedy weszła do kuchni i zobaczyła, że Krzyczący siedzi przy stole z lufką w ręku, nie wytrzymała.

– Co ty wyprawiasz? Boli cię coś? Jesteś chory?

Popatrzył na nią zamglonym wzrokiem.

– Jeśli zapach ci przeszkadza, wyjdź.

– Nie wyjdę. Chcę wiedzieć, po co się odurzasz!

– Źle się czuję, Anavri. Nie tobie jednej dar płata niemiłe figle.

Jawnie przyznał się do słabości – powinna wziąć to za dobrą monetę, ale intuicyjnie czuła, że nie powiedział całej prawdy. Miała ochotę trzasnąć go w twarz, żeby się opamiętał.

– Gdyby teraz pojawiło się niebezpieczeństwo, byłbyś w stanie obronić enklawę?

Brune wystukał popiół z lufki i schował ją do kieszeni.

– Dziewczyno – westchnął – trochę więcej zaufania. Pałę opium dłużej niż ty jesteś *ka-ira* i jeszcze żyję, jak widzisz.

Poszedł do pracowni, zaczął rozstawiać retorty na stole i na tym rozmowa się zakończyła. Ale Anavri nie zamierzała dać za wygraną.

Rozważała zwrócenie się do Marshii, ale na razie powstrzymywała ją świadomość, że w pierwszej kolejności powinna być lojalna wobec nauczyciela, którego bądź co bądź sama sobie wybrała.

Krzyczący do popołudnia pracował w oparach siarki, potem zaś, nie wiedząc kiedy, zniknął – oczywiście nie wspominając ani słowem, dokąd się wybiera i kiedy wróci.

Praczką, starszą kobietą, mieszkającą w ubogim domku nad rzeką, wokół którego na sznurach suszyło się mnóstwo bielizny i prześcieradeł. Na podwórku chudy, może dziesięcioletni chłopiec w połataną odzież obierał jarzyny, jednocześnie pilnując prania. W tej drugiej czynności wspierał go wielki żółty pies, który na widok Anavri zjeżył się i zaczął warczeć. Chłopak skarcił go surowo i przytrzymał za obrożę.

Anavri знаła od Krzyczącego historię tej rodziny. Córka praczki zmarła, rodząc trzecie dziecko, zięć pracował jako furman i, jak to furman, pił, przepijając większość zarobku. Dziećmi zajmowała się babka.

W izbie było gęsto od pary. Stojąca przy balii staruszka zaledwie zerknęła na przebraną za chłopca Anavri, na uprzejme powitanie odpowiedziała mruknięciem. Otrzymane pieniądze schowała do stojącego na półce dzbanka z obtłuczonym uchem, po czym odgoniła kłapsem płaczące się pod nogami najmłodsze, dopiero uczące się chodzić wnuczę. Nie dziwiła jej prośba, żeby koszule wrzucić od razu do szaflika z mydlinami, bo większość klientów prosiła o to samo. Nawet prości ludzie wiedzieli, że jeśli odzież noszona wprost na ciele dostanie się w niewłaściwe ręce, można jej użyć na przykład do tego, żeby zesłać na właściciela chorobę.

Wyszędłszy stamtąd, Anavri ruszyła w górę błotnistej uliczki, obszczekiwana przez kundle, które węszyły wokół stert śmieci. Starala się zanadto nie rozglądać. Dzielnice biedoty zawsze napełniały ją smutkiem.

– Hej, chłopcze... – usłyszała nagle ochryply głos. – Miedziaka na chleb...

Obejrzała się i zeszywniała.

Pod murem pobliskiego domu siedział wychudzony ciemnowłosa mężczyzna w łachmanach. Niestary, choć zaropiałe oczy i zapadnięte, bezzębne usta dodawały mu lat. Wyciągnął w jej stronę trzęsącą się dłoń.

– Na chleb... – powtórzył.

Dzięki darowi Anavri bez trudu wyczuła w jego aurze charakterystyczne, senne spowolnienie wywołane narkotykiem.

Poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Opanowała się z wysiłkiem. Rzuciła mężczyźnie monetę i spiesznie odeszła.

Wróciwszy do enklawy, ruszyła szukać Krzyczącego. Wiedziała, gdzie go znajdzie; melancholijne dźwięki fletu niosły się z wiatrem.

Żmij siedział na kamieniu nad jeziorem i grał coś trudnego z rozłożonych na trawie nut.

Lekki wiatr rozwiewał mu włosy. W wodzie odbijały się kolory nieba – w enklawie była pora zachodu słońca. Dziewczyna wiedziała z doświadczenia, że kiedy Krzyczący gra, nie należy mu przerywać, więc cierpliwie odczekała, aż wybrzmi ostatnia fraza powolnej, smutnej melodii.

– Hej – odezwała się, kiedy skończył.

Odwrócił się powoli i popatrzył na nią niewidzącym, szklanym wzrokiem. Zmroziło ją.

– Brune?...

Pokręcił głową, jakby budząc się ze snu.

– Ach, to ty. – Uśmiechnął się jakby z przymusem. Kącik ust drgnął mu w tiku. – Wróciłaś tak szybko?

– Szybko? Już prawie wieczór.

– Co ty powiesz? – Popatrzył ze zdziwieniem na czerwieniejące niebo i pokręcił głową. – Zupełnie straciłem poczucie czasu.

Wyjął z kieszeni szmatkę oraz cienki metalowy pręcik i zaczął wycierać wnętrze fletu ze skroplonej wilgoci. Anavri kątem oka dostrzegła poruszenie w kosodrzewinie i odwróciła się szybko. Zdążyła dostrzec, jak dwie mgliste sylwetki o rozwianych włosach ulatują wraz z podmuchem wiatru.

– Burzowe córki – powiedziała. – Widziałeś?

– Czasem zjawiają się, żeby posłuchać – odparł ze wzruszeniem ramion, jakby była to najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Schował flet do futerału i zebrał z trawy arkusze nut. – Chodź. Masz ochotę coś zjeść?

Potaknęła, przełykając ślinę. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że od śniadania minęło zdecydowanie zbyt dużo czasu. Cóż, tu nie dysponowali towarzystwem Zazela, który nie tylko korzystał z każdej okazji, żeby skosztować coś smacznego, ale również pilnował, aby wszyscy wokół jedli o regularnych porach.

– Jest zimna pieczona baranina – poinformował Brune, po czym przestał się odzywać i zatonął w rozmyślaniach. Dziewczyna zrezygnowała z prób zagadywania go. Stłumiła chęć, żeby kąśliwie spytać, czy przy okazji wizyty w materialnym świecie uzupełnił też zapas makowej trucizny.

Wrócili do chaty. Pieczeń okazała się smaczna, z ziołami; były też świeży chleb, masło i marynowane oliwki, ale Anavri mimo głodu przełykała z trudem. Nie umiała przestać myśleć o zebrzącym nieszczęśniku z Gyary.

Mimochodem zauważyła, że w kuchni panuje ład, a zapas poukładanych obok pieca

szczap, których rano zaczynało już brakować, znów urósł. Ogień trzaskał w palenisku, pochłaniając świeżo dołożone drewno. Byłoby miło i przytulnie, gdyby nie...

Gdyby nie narastający w niej strach, że to wszystko jest równie nietrwale jak bańka mydlana.

Krzyczący jadł w milczeniu, a potem wsparł głowę na rękach, wyraźnie błędząc myślami gdzieś daleko. Ale był trzeźwy i wydawał się spokojny, jakby zyskał chwilę wytchnienia od tego czegoś, co go dręczyło w ostatnim czasie. Anavri w końcu odważyła się wypowiedzieć na głos pytanie, którego dotąd nie potrafiła mu zadać.

– Brune, powiedz mi, ale tak szczerze, co ci jest?

Przetarł twarz i spojrzał na nią jak obudzony ze snu.

– To znaczy?

– Wiesz, o czym mówię.

Pokręcił głową.

– Nie zrozumiałabyś.

– Czemu?

Nieoczekiwanie pocałował ją w czoło. Wyczuwała w jego aurze smutek i coś jeszcze – coś chłodnego, twardego, co kojarzyło się jej z zamkniętymi na kłódkę drzwiami. Bariera. Zadał o to, by nie mogła niczego wyczytać z jego myśli, nawet przypadkiem.

– Nie zrozumiałabyś, siostrzyczko – powtórzył. – Nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

Wstał i poszedł do sypialni, więc Anavri również. Po cichu liczyła jeszcze na przyjemne zakończenie wieczoru. Kiedy Krzyczący sięgnął po woreczek z brunatnymi grudkami, miała ochotę odwrócić się na pięcie, wybiec na dwór i się rozplakać.

– Nie pal dziś tego świństwa – powiedziała. – Proszę.

Ignorując ją, przywołał płomyk, żeby ogrzać lufkę. Anavri usiadła na sienniku. Z zaciśniętymi zębami patrzyła, jak Brune wdycha słodkawy dym, a jego spojrzenie powoli staje się zamglone, otępiałe.

– Co byś zrobił, gdybym poprosiła, żebyś mnie poczęstował? – spytała zaczepnie.

Wzruszył ramionami.

– Odmówiłbym.

– Widzisz, a sam co robisz?...

– Kiedy nie potrzebuję, nie palę – mruknął. Anavri patrzyła na niego z rezygnacją. Wiedziała, że Brune za nic w świecie nie przyzna, że ma problem z opium, a co dopiero, że jest chory.

I co ja powinnam z tym zrobić, do cholery? Powiedzieć Marshii? Co to da? Zwłaszcza teraz...

Krzyczący odłożył lufkę z pozostałościami niedopalonej działki. Przesunął dłonią po policzku dziewczyny, objął ją. Jego ubranie i włosy przesiąkły przekłętym kadzidlany aromatem.

Mimo to Anavri nie znalazła dość silnej woli, żeby się odsunąć.

Przytuliła twarz do jego twarzy, nie zwracając uwagi na tygodniowy zarost. Przypomniała sobie, jak pewna była jeszcze niedawno, że wszystko jest dobrze, że w pewnym sensie los nawet się do niej uśmiechnął. A teraz chłodny, rzeczowy głos szeptał jej, że jeśli Brune jakimś cudem się nie otrząśnie i nie zacznie walczyć z nałogiem, wkrótce trzeba będzie się zastanowić, co dalej.

Gdyby pił, nie zastanawiałabyś się, prawda?

Żmij puścił ją i wyciągnął się na posłaniu. Jego oddech wkrótce stał się spokojny, miarowy – opium i zmęczenie zrobiły swoje.

Anavri odczekała jeszcze chwilę, by mieć pewność, że go nie obudzi, potem ostrożnie wstała. Zabrała swój koc i przeszła do kuchni. Czowała, że zaczyna ją dławić niemy, niewysłowiony ból.

Dotarło do niej to, co kiedyś w gniewie rzuciła Marshia o byciu *ka-ira* – że albo giniesz młodo, i tak jest może łatwiej, albo patrzysz przez całe życie, jak ludzie umierają wokół ciebie. I że na końcu każdej ścieżki zawsze pozostanie sama.

Skulona na ławie przy stygnącym piecu, płakała cicho, aż zabrakło jej łez.

Śniła, że spaceruje z Fabieniem nad brzegiem szarego morza, pod pochmurnym niebem, a w górze, skwirząc, krąży mewy. Brat miał na sobie czarne ubranie i śnieżnobiałą koszulę z koronkowymi mankietami, twarz sinoblada, a oczy ciemne i puste – bez białek, bez tęczy, bez niebieskawego błysku w źrenicach. Wiedziała, że jest martwy, ale cieszyła się, że znów go widzi, choćby przez chwilę.

– Pamiętaj, siostrzyczko, nigdy nie zostaniesz sama. Ja będę z tobą już zawsze – powiedział w pewnej chwili, uśmiechając się w sposób, który wzbudził w Anavri niepokój.

Potem pogładził ją po policzku chłodną dłonią, a ona zbudziła się, dygocząc, zmarznięta mimo grubego wełnianego koca.

Gdy przypomniała sobie poprzedni wieczór, do oczu znów napłynęły jej łzy. Pomyślała gorzko, że dałaby wszystko, by móc wrócić do domu – do willi w Shan Vaola albo do wiejskiej posiadłości nad morzem... Wiedziała jednak, że to nie wchodzi w grę. Srebrni czuwali, nie mogła ściągać zagrożenia na ojca. Zresztą nie wiedziała nawet, czy przebywa teraz w Shan Vaola, czy dokądś wyjechał.

Wyjrawszy przez okno, przygryzła wargę, widząc, że wszystko tonie w mleku. Odkąd Brune zaczął chodzić od rana do wieczora, coś dziwnego działo się z pogodą w enklawie – z gór coraz częściej schodziły mgły i wisiały nad jeziorem przez większość dnia.

Drgnęła, kiedy drzwi się otworzyły i Krzyżący wszedł do kuchni, przecierając oczy. Włosy miał zmierzwiłone, a spojrzenie nieprzytomne. Nie patrząc na dziewczynę, bez słowa jął układać drwa w piecu. Podłożył garść połamanych drobniejszych gałązek oraz brzoźowej kory i wyszeptanym słowem sprawił, że podpałka zajęła się ogniem. Przymknął drzwiczki, za którymi płomienie coraz bardziej łakomie lizały drewno, otrzepał ręce, usiadł przy stole i tępo zapatrzył się przed siebie.

Anavri z daleka wyczuła otaczającą go mgielkę słodkawego zapachu i poczuła, że jej smutek przemienia się w zimną wściekłość.

– Palileś? Znowu?

– Daj mi spokój – powiedział bezbarwnym tonem. Przetarł twarz, pokręcił głową, po czym wstał i wziął puste wiadro, żeby przynieść wody.

Anavri biła się z myślami. Instynkt podpowiadał jej, żeby zrobić awanturę, potrząsnąć nim, sprawić, żeby się wreszcie opamiętał. Jednak cierpka intuicja zmijki szeptała, że co jak co, ale tupanie nóżką tu nie pomoże. Dlatego reszta poranka upłynęła w napiętym, lodowatym milczeniu – przynajmniej z punktu widzenia dziewczyny, bo otumaniony narkotykiem Brune był znieczulony na niuanse.

Śniadanie zjadła sama – on, oczywiście, nie przełknął ani kęsa, napił się tylko herbaty. Kiedy Anavri usiadła później na ławie z księgą i usiłowała się uczyć, na chwilę zajrzał do kuchni, mówiąc:

– Mam sprawy do załatwienia. Wrócę wieczorem.

Fakt, że – jeśli pominąć mętne, szkliste spojrzenie – ubrany schludnie, w świeżej koszuli i z porządnie związanymi włosami, wyglądał teraz normalnie, jeszcze rozjątrzył w niej

wściekłość. Udawał zdrowego tak przekonująco, że oszukiwał nawet samego siebie.

Do wieczora emocje Anavri zdążyły przygasnąć, przemienić się w rezygnację. Brune znowu wrócił późno. Cały i zdrowy. Nie zagadywała do niego, nie miała siły. Odnotowała jedynie, że tym razem położył się spać, nie sięgając po narkotyki.

Nie dziś, to jutro – pomyślała ponuro.

Nazajutrz rano ocknęła się na pustym sienniku. Kiedy poszła do kuchni, Brune siedział przy stole, ubrany tak, jakby było mu zimno – w kurtce narzuconej na tunikę. Nie napalił w piecu, ale drzwiczki stały otworem, a obok leżało drewno, jakby zabrał się do rozpalania i coś mu przerwało. Włosy miał mokre po kąpieli w jeziorze, a spojrzeniem, jakżeby inaczej, błędził w nicości. W Anavri znowu wezbrała bezsilna kobieca wściekłość.

– Słuchaj no...

Nawet się nie obejrzał. Szeptał coś, patrząc w przestrzeń, zupełnie jak Lorraine, gdy spadały na nią wizje.

Anavri zacisnęła pięści, czując, że coś w niej pęka. Choć nie była tego świadoma, w jej źrenicach zapęgały sine ogniki. *Dość tego. Mam dość, Brune. Nie wiem, co ci zrobię, ale przysięgam, że...*

I w tejże sekundzie coś sobie uświadomiła. Wbrew temu, co pomyślała w pierwszej chwili, Brune wcale nie był pod wpływem opium. Tego ranka jeszcze nie wypalił ani odrobiny. Nie zażył też żadnego innego specyfiku. Zmysły maga nie mogły kłamać w tej kwestii. Był trzeźwy. I szeptał do siebie, rozmawiając z powietrzem.

Kiedy Anavri to sobie uzmysłowiła, spłynęło na nią chłodne olśnienie. Zamarła, nareszcie łącząc fakty w całość. Dotąd składała wszystkie dziwne zachowania Krzyczącego na karb opium, ale teraz przecież nie był pod wpływem narkotyku – czuła to zmysłami maga! – a mimo to...

Dopiero teraz dotarło do niej, że opium może wcale nie być przyczyną problemu, tylko rozpaczliwą – i z góry skazaną na niepowodzenie – próbą radzenia sobie z nim.

Pobiegła do pracowni. Na podłodze stał częściowo rozmontowany zestaw do destylacji oraz wiadro z mydlinami, w którym moczyły się brudne szklane naczynia. Zaczęła przepatrywać półki w poszukiwaniu grymuaru Loebiusa. Znajdował się tam rozdział o zagrożeniach związanych z czernią, który tylko raz przejrzała; nie czytała go w całości, bo traktował o rzeczach, nad którymi wołała się nie zastanawiać.

Znalazłszy księgę, przerzucała strony, dopóki nie odszukała właściwego fragmentu. Przeczytawszy go, długą chwilę siedziała bez ruchu.

Wszystko pasowało. Przyzwyczajona ufać Krzyżącemu i traktować go jak autorytet, zignorowała kielkujące objawy choroby, o której wiedziała niewiele, ale dość, by panicznie się jej bać. Szaleństwo czarnych magów, choroba głosów.

Ta wiedza paradoksalnie ją uspokoiła. Znając wroga, łatwiej z nim walczyć. Anavri jeszcze przez chwilę zbierała myśli, przygotowując się mentalnie do tego, co musiała zrobić, a potem wróciła do kuchni. Krzyżący nadal siedział bez ruchu, gapiąc się w przestrzeń. Stała przy nim.

– Brune?...

Tym razem się ocknął. Zamrugnął i powoli odwrócił się do niej.

– Tak?

– Posłuchaj mnie, tylko się nie złość – ciągnęła, zmuszając się, żeby mówić cicho i spokojnie. – Wiem, na co jesteś chory.

– Nie jestem chory! – zachnął się, przytomniejąc w mgnieniu oka.

– Jesteś. Potrzebujesz pomocy. Proszę cię, powiedz o wszystkim Marshii. Ona będzie wiedziała, jak...

– Nie jestem chory! – powtórzył z gniewem. – Psiakrew, nic nie rozumiesz!

Przetarł dłońmi twarz i wziął głęboki oddech.

– Anavri, jeśli chcesz, wróć do Marshii. Ale proszę, nie mów jej, że coś jest nie tak. Powiedz, że cię odesłałem na kilka dni, że pracuję.

– Nie. – Ujęła go za ramiona, zmuszając, żeby popatrzył jej w oczy. – Nie ma mowy. Nie zostawię cię tu w takim stanie.

Strząsnął jej rękę.

– Niby w jakim? O co ci chodzi, psiakrew!?! Wyglądam jak ktoś, kto sobie nie radzi? – Wstał. Anavri patrzyła na niego ze smutkiem. Na końcu języka miała odpowiedź: „Tak, Brune, wyglądasz”. Przez ostatni tydzień czy dwa wychudł tak, że przypominał szkielet. Oczy miał zaczerwienione i podkrążone, twarz ziemistą, dłonie mu dygotały.

– Jeśli chcesz, wróć do Marshii – powtórzył. – Ale proszę, nie mów jej.

– Potrzebujesz pomocy! – krzyknęła. – Niech to w końcu do ciebie dotrze! Nie dość, że

jesteś uzależniony od przeklętego opium, to jeszcze zacznasz wariować od daru!

Roześmiał się zimno.

– Anavri, widziałaś kiedyś kogoś, kto naprawdę ma problem z opium? Albo z lucyferią, wódką czy czymkolwiek innym? – Wziął ze stołu sakiewkę i potrząsnął nią. – Proszę, należność za lisi olejek naszykowany dla cechu złotników w Ponte Auria! Zrobione i oddane na czas!

– Tak, widziałam, jaki wczoraj byłeś przytomny, kiedy się wybierałeś do materialnego świata. Uważaj, bo jak uśniesz na ulicy, to jeszcze znów cię jacyś śmieciarze przygarną – wypaliła, nim zdążyła pomyśleć.

Żrenice Krzyczącego zapłonęły. Zważył sakiewkę w dłoni, po czym z całej siły cisnął nią o ścianę. Monety z brzękiem posypały się na podłogę. Bez słowa wyszedł z kuchni, po drodze rąbnawszy jeszcze pięścią we framugę. Drzwiami nie trzasnął, bo były podparte kawałkiem drewna, żeby nie zamykał ich przeciąg.

Anavri wypuściła wstrzymywany oddech. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nieświadomie postawiła tarczę. Rozproszyła czar, zastanawiając się, czy Brune mógłby do tego stopnia stracić panowanie nad sobą, żeby ją zaatakować. Czy powinna się go teraz bać.

Tylko tego mi brakowało. Zbierało się jej na płacz.

Rozdygotany i wściekły, Krzyczący wszedł do pracowni i uaktywnił portal w zwierciadle. Naprawdę ostatnie, na co miał teraz ochotę, to tłumaczenie kolejnej osobie, że nie jest chory na to, co wszyscy próbują mu wmawiać, i nie potrzebuje leków wytłumiających dar.

Nie słyszę głosów! Nie mam dziwaczkich urojeń! Jestem w stanie jasno myśleć i wysławić się do rzeczy!

A potem tknęła go chłodna, trzeźwiąca myśl.

Nieważne, jak nazwiesz chorobę. Ważne, jakie są jej skutki.

Wkroczył w portal, nie podając zwierciadłu celu podróży, zdając się na dar. Gdy otworzył oczy, ujrzał, że stoi na brzegu leniwie płynącej, brudnej rzeki, a po obu jej stronach wznoszą się ubogie drewniane domostwa. Gyara. Miejsce równie dobre jak każde inne.

Naciągnął kaptur dla ochrony przed siąpiącym deszczem i szedł przed siebie brzegiem wody, póki nie ochłonął do reszty. Dotarło do niego, że jeśli on sam jest przerażony, to trudno, żeby Anavri się nie bała, nawet jeśli bała się nie tego, co trzeba.

Sam przed sobą musiał to przyznać: było coraz gorzej. Mroził go strach, że lada dzień zatraci kontakt z rzeczywistością, odpłynie już na stałe za tę mętną szybę, która coraz częściej odcinała go od świata. Znowu będzie poruszającą się niemrawo kukłą, pozbawioną zdolności myślenia, niepotrafiącą sklecić zdania.

Pamiętał, jak odzyskał świadomość w podziemiach Shan Vaola, wśród odmieńców, którzy go przygarnęli zagłodzonego i w łachmanach – nigdy się nie dowiedział, po ilu tygodniach czy miesiącach błakania się. Pamiętał, z jaką zgrozą i obrzydzeniem odkrywał, dokąd trafił, jak dokumentnie się stoczył. Sam wiedział najlepiej, jak bardzo boi się powtórki; że kiedyś znów ocknie się w jakimś obcym mieście, samotny, bez niczego, z szarą plamą zamiast wspomnień. Albo się nie ocknie, tylko resztę życia spędzi, błakając się po gościńcach, brudny, zawszony, obdarty i otępiały.

I opium w tym wszystkim było naprawdę najmniejszym problemem. Palił je, bo po nim czuł się spokojniejszy i – paradoksalnie – bardziej przytomny. Bo pomagało zapanować nad gonitwą myśli, nad lękami, bo pozwalało pracować i pomagało zasnąć. Gdy przestanie go potrzebować, odchoruje kilka dni złego samopoczucia i tyle. Ćwiczył to już.

Wiedział, że potrzebuje pomocy, ale nie miał pojęcia, jak ją uzyskać. Teoretycznie istniały dwie czy trzy osoby, do których mógł się zwrócić o radę, ale przewidywał, co usłyszy – leki. Leki wytłumiające dar. A to nie było żadne rozwiązanie.

– To nie jest żadne rozwiązanie! – powiedział na głos i aż się wzdrygnął, a potem rozejrzał z niepokojem, ale w zasięgu wzroku nikogo nie było. Znajdował się akurat obok poczerniałego ze starości pomostu, do którego uwiązano dwie łódki. Rzeka z cichym chlupotem lizła pale. Zdał sobie sprawę, że odruchowo sięga darem w przestrzeń, poszukując śladów obcej obecności, tego chłodnego, niemile znajomego poczucia, że ktoś go śledzi.

Wzdrygnął się i czym prędzej zawrócił. Wspiął się po błotnistej skarpie i ruszył wydeptaną w pokrzywach ścieżką w stronę ulicy. Chciał do ludzi – to dziwne, ale wśród nich czuł się bezpieczniej.

Prawie potknął się o chrapiącego wśród chwastów typa w łachmanach, obok którego leżała pusta butelka. To mu przypomniało, gdzie przebywa, i sam spowił się iluzją, przybierając postać brudnego żebraka. Nie był w nastroju na konfrontację z miejscowymi, łakomiącymi się na jego porządne ubranie albo buty. A potem pomyślał, że w zasadzie, skoro już tu się znalazł, to równie dobrze może uzupełnić zapas makowej trucizny – w Gyarze miał jej sprawdzone, tanie źródło.

Odnalazł na wpół zrujnowaną kamieniczkę, gdzie w suterenie mieściła się palarnia opium, i dokonał na zapleczu transakcji z właścicielem – sędziwym, zasuszonym jak mumia Nedgvarczykiem. Jak było do przewidzenia, unosząca się w przybytku słodkawa woń dymu obudziła w żmiju znajome, dojmujące pragnienie, lecz je stłumił.

Nie tutaj, na litość. I na ulicy też nie. Odrobina samokontroli, na to cię jeszcze chyba stać.

Pospiesznie opuścił palarnię, starając się nie patrzeć na wychudzone, niechlujne postacie, które kulily się na pryzkach, pociągając z fajek. Dotykając schowanego pod kurtką skórzanego woreczka, pomyślał ironicznie, że opium o zachodzie słońca w enklawie to nie najgorszy plan na wieczór, zwłaszcza że Anavri jest na niego wściekła.

Ale los chciał inaczej.

Wracając, Krzyczący w pewnej chwili ujrzał snujący się błękitnawy dym i poczuł gryzącą woń palonego papieru. Rozglądając się w poszukiwaniu jej źródła, stanął jak wryty. Jego wzrok padł na murowaną kapliczkę, gdzie stał posązek bóstwa w długich szatach, z obliczem zniszczonym przez deszcze i mrozy – może Araya, może Leleya, może Sabel. U stóp figury leżał zwiędły bukiet oraz karteczki z wypisanymi modlitwami, których całą garść, zgodnie ze starym obyczajem, złożono w żelaznym koszyczku i podpalono. Jedne tliły się jeszcze, z innych pozostał jedynie siwy popiół, rozwiewany przez wiatr.

Popiół...

Brune zdążył tylko poczuć chłodne ukłucie strachu, nim od rzeczywistości znów odgrodziła go mętna szyba.

Popiół pokrywający dłonie, palce... osypujący się szarawymi płatkami...

Na moment oparł się o drewnianą ścianę najbliższego domu, oddychając ciężko. Potem ruszył dalej – teraz chwiejnym, niepewnym krokiem, lekko się zataczając. Iluzja się nie rozwiązała, więc dwóch zbirowatych typów, którzy wyłonili się zza rogu, minęło go bez drugiego spojrzenia. Ot – pijany bezdomny włóczęga, jeden z wielu.

Żmij w ogóle ich nie zauważył.

Nogi uginały się pod nim, więc usiadł na bocznych schodach jakiegoś budynku, pod poskrzypującym na wietrze szyldem golibrody, obejmując się ramionami. Ręce mu dygotały.

– Pamiętam – wyszeptał do siebie, a w oczach zabłyśły mu łzy.

Pamiętał.

Nie mógł sobie tylko przypomnieć jej imienia.

Była adoptowaną córką nieżyjącego już alchemika. Zarabiała na życie, kopiując stare pergaminy i księgi pisane ideogramami, których nie można powielić techniką drukarską.

Pamiętał jej niebieskie oczy, skromne czarne suknie, drobne dłonie poplamione atramentem. Jej głos, kiedy bez zająknięcia czytała fragmenty starożytnych traktatów medycznych, kronik i przypowieści o bogach.

Nie mógł sobie przypomnieć jej imienia ani tego, kiedy ją poznał – może na studiach, może później... Miał niejasne wrażenie, że nie pochodziła z Ri Talma i że w jego wspomnieniach brakuje kluczowych elementów, bez których to, co teraz widzi, to ledwie kilka odłamków ze strzaskanego witrażu. Narratyw, z którego wycięto główny wątek, pozostawiając pojedyncze wyrwane z kontekstu epizody.

Pamiętał za to czystą lnianą pościel na jej łóżku, zapach brzoskwiń i kwiatu pomarańczy – perfum, które dla niej sporządził. A także noc w pierwszym tygodniu po wybuchu zarazy, kiedy obcięła warkocz i spaliła go w kominku, wypowiadając formuły w języku, który nie był mową magów. Czar ochronny, tak jak krąg soli z trzema świecami; na tyle prosty, by mogła go użyć nawet fałszywa magini – bo daru nie posiadała, tego był prawie pewien.

Ale nie obawiała się jego źrenic.

I pamiętał okoliczności, w jakich zmarła.

Przyszedł do niej bezpośrednio po pogrzebie Faivrin, do izby, którą wynajmowała na przedmieściu, tak jak przychodził wcześniej już nieraz. Właścicielka domu potrzebowała pieniędzy z czynszu i nie interesowało jej, z kim spotyka się milcząca, nosząca żałobę lokatorka – tak długo, dopóki był to jeden dyskretnie się zachowujący mężczyzna, a nie co noc inny.

Szczęśliwie dzięki darowi rana na policzku, która u zwykłego człowieka niechybnie zaogniłaby się, powodując gorączkę, może nawet zagrażając życiu, Deuvenowi nie doskwierała aż tak bardzo. Odpowiednio dobrane zakłęcie zastąpiło szwy. Oko mu zapuchło, a mówiąc, z trudem poruszał ustami, ale makowa żywica tłumiała ból.

Nie wiedział, czy zastanie dziewczynę – wiedział, że poprzednie dni spędziła w szpitalu, pomagając przy chorych, jak wiele innych ochotniczek, które nie posiadały rodzin. Został. Leżącą na łóżku w ubraniu, ledwie żywą, płonąca od gorączki i z oczami powleczoneymi mleczną, lśniąca błoną. Łamanym głosem bredziła coś o demonie, który sprowadził zarazę na miasto, o walce, o tym, że został pokonany... Gospodyni, która bała się nawet wejść do pokoju, wyjąkała jedynie, że poprzedniego wieczoru panienka była jeszcze zdrowa. To znaczyło, że jest bardzo źle; gdy choroba rozwijała się tak błyskawicznie, ślepica zabijała zwykle w ciągu dwóch dni, najdalej trzech.

Deuven podjął jedyną decyzję, jaka wchodziła w grę – został, żeby zaopiekować się chorą. Wciąż jeszcze jak ogłuszony po śmierci Faivrin, oszołomiony opium, które palił od czasu jej pogrzebu, żeby móc jakoś funkcjonować – nie myśleć, nie rozpamiętywać, nie czuć – działał teraz z pozoru trzeźwo, spokojny i opanowany. Skupił się na tym, żeby ulżyć umierającej. Nie miał yadhmarskiej kory – zapasy w miejskich aptekach skończyły się już dawno – więc żeby obniżyć gorączkę, musiał poprzestać na najprostszych środkach. Zimne okłady na czoło, szyję i dekolt, pojenie chłodną wodą.

Rychło pojął, że przegra tę walkę i że przegra ją już wkrótce. Stan dziewczyny pogarszał się z godziny na godzinę. Oddychała z coraz większym trudem, chrapliwie. Co jakiś czas dopadał ją suchy, uporczywy kaszel, po którym długo nie mogła złapać tchu.

Potem majaki powróciły. Bredziła o szarej krainie, o wietrze, który sypie w oczy popiołem. Po jakimś czasie uspokoiła się; wydawało się, że zasnęła. Deuven wiedział dostatecznie dużo na temat ślepiczy, by się nie łudzić, że to oznaka polepszenia.

Położył się obok chorej, objął ją delikatnie. Nic innego nie mógł zrobić. Zamknął oczy. Był tak piekielnie zmęczony.

Choć później miał tego nie pamiętać, śnił o mgłę. Otulała cały świat, zimna i nieprzyjazna. Wędrował przez mgłę, nawołując, lecz nie odpowiadało mu nawet echo.

Gdy się ocknął, w pierwszej chwili poczuł się zdezorientowany. Nie mógł zrozumieć, czemu czuje coś sypkiego pod palcami i na twarzy. Potem stopniowo dotarła do niego okropna świadomość, że dziewczyna nie oddycha. Otworzył oczy.

Trzymał w ramionach coś przypominającego niekształtną kukłę, ulepioną z popiołów... Krzyknął zduszonym głosem i puścił to, a wtedy rozkruszyło się do szczętu, rozsypało w proch.

Brune ukrył twarz w dłoniach i płakał bezgłośnie, bez szlochu, tylko ramiona mu drżały.

Anavri nie oczekiwała, że żmij po kłótni szybko wróci. Gdy nie pojawił się wieczorem, z irytacją pomyślała jedynie, że widocznie obraził się bardziej, niż sądziła. Ale rano, gdy się zbudziła, w chacie nadal było pusto. A kiedy poszła do kuchni i nie znalazła tam żadnych śladów nocnej bytności właściciela, naprawdę się zaniepokoiła.

Poszła do pracowni i po dłuższym zastanawianiu się nad formułami nakłoniła zwierciadło, aby pokazało ostatni cel podróży. W tafli ukazały się podle wyglądające drewniane domy nad rzeką o leniwym nurcie. Gyara.

Myśl logicznie, dziewczyno. Jeśli wybrał się tam odurzony opium, teoretycznie mogło go spotkać wszystko – od napaści rzezimieszków poczynając, a skończywszy na wpadnięciu w ręce srebrnych magów. Ale jeżeli stało się najgorsze, to i tak nie można mu już pomóc. A jeśli po prostu po raz kolejny zatracił kontakt z rzeczywistością, wszedł w ten dziwny, podobny do transu stan, który nie dawał się wytłumaczyć samym tylko działaniem narkotyku, może jeszcze

nie jest za późno.

Pomyślawszy nad tym chwilę, Anavri uspokoiła się. Szybko skompletowała ekwipunek. Szarfa z symbolami, ukryta pod tuniką. Sztylet, iluzja na twarz.

Jeśli się okaże, że od wczoraj palisz opium w jakiejś speluncie, straciwszy rachubę czasu, przysięgam, że obedrę cię ze skóry.

Z bijącym sercem stanęła przed zwierciadłem, wyszeptała formułę uaktywniającą portal, po czym wkroczyła w wirujący chaos kolorów.

Gdy świat wokół niej ponownie ułożył się w materialne kształty, ujrzała, że znajduje się na przedmieściu Gyary. Naokoło wznosiły się ponure domy czynszowe o śmierzących podwórkach, a ulicę pokrywało grząskie, obrzydliwe błoto. Dwie świny ryły w stercie odpadków.

Anavri przymknęła oczy, uspokajając bijące serce. Przebadala otoczenie zmysłami maga, stopniowo sięgając coraz dalej, cofając się z obrzydzeniem, ilekroć wewnątrz obskurnych domostw natrafiała na jaźnie mieszkańców. Biedota i szumowiny, pijacy, prostytutki... Nagle drgnęła.

Brune znajdował się gdzieś w pobliżu, bliżej niż się spodziewała. Żywy i zdrow – przynajmniej fizycznie. Skupiła się, próbując określić kierunek.

Tam.

Ruszyła przed siebie z przymkniętymi oczami, całkowicie skupiona na śledzeniu ulotnego tropu, odbierając rzeczywistość jako srebrzysto-czarny wzór aur. Pozwoliła, by jej stopy instynktownie wybierały drogę; dar na szczęście w takich sytuacjach przejmował prowadzenie i nie płatał brzydkich figli, nie musiała się obawiać, że za chwilę się potknie i wyląduje na czworakach w zmieszonym z nieczystościami błocku.

Skręciwszy za róg, otwarła oczy i stanęła jak wryta.

Krzyczący siedział bez ruchu w załomie muru pod daszkiem, przygarbiony, ze zwieszoną głową. Był zamaskowany iluzją nadającą mu pozory żebraka, ale czar trzymał się tak słabo, że prysł, gdy tylko Anavri uklękła obok. Brune, choć musiał wyczuć jej obecność, nie poruszył się. Mokra od deszczu włosy zasłaniały mu twarz.

– Co z tobą? – spytała gwałtownie dziewczyna.

Popatrzył na nią błędnym, wystraszonym wzrokiem. Na jego policzkach lśniły smugi łez. Patrząc w jego przerażone oczy – jak u sarny osaczonej przez myśliwych – Anavri zmartwiała. Była w zasadzie pewna, że to nie opium doprowadziło go do takiego stanu.

– Alesso – wyszeptał ochryple żmij. – Przecież ty nie żyjesz...

Bogowie, stało się – pomyślała ze spokojem, który ją samą zaskoczył. *Postradał zmysły.*

– Chodź – poleciła, ujmując go za ramię. Wstał posłusznie. Łzy nadal płynęły mu po twarzy.

Upewniła się na wszelki wypadek, że są w zaułku sami, po czym zdematerializowała się razem z nim – wprost do enklawy. Wiedziała, że mżący deszcz szybko zatrze ślad czaru, a chciała przede wszystkim jak najszybciej odstawić Krzyczącego w bezpieczne miejsce.

Bez protestów dał się zaprowadzić do chaty. Szedł chwiejnie, z przymkniętymi oczami, ale znalazłszy się we wnętrzu domostwa, jakby oprzytomniał. Uwolnił dłoń z uchwytu dziewczyny, ściągnął wilgotną kurtkę i bez słowa udał się do sypialni. Anavri podążyła za nim, pełna złych przeczuc. Kiedy zobaczyła, że wyjmuje z kieszeni woreczek z opium, miała ochotę podbiec, wyrwać mu paskudztwo z ręki, a potem trzasnąć go w twarz.

– Oszalałeś? Jeszcze ci mało?!

Żrenice Krzyczącego rozbłysły złotem. Cofnęła się, wyczuwając wzbierającą w nim czerń. Ale nie straciła rezonu.

– Co, zaatakowałbyś mnie? – spytała wyzywająco. – Mnie?

– Odejdź – syknął tylko, odwracając się plecami. Anavri ani drgnęła. Zaciskając zęby, patrzyła, jak Brune napelnia lufkę brunatnymi bryłkami, jak siada na sienniku, zapala płomycek pod szklaną bańką i wdycha uwalniające się opary.

Czekała cierpliwie. Tak jak się spodziewała, wypaliwszy całą działkę, zdjął buty, położył się na wznak, podkładając ręce pod głowę, i zapatrzył tępo w belki powały. Wyczuwając, że się uspokoił, a raczej to makowy dym go uspokoił, Anavri podeszła i usiadła obok.

– Co tam się stało? – spytała cicho, siłąc się na cierpliwość. Nadała głosowi delikatny, czuły ton. – Proszę, powiedz mi.

Ale Brune tylko spoglądał w przestrzeń zamglonym, nieprzytomnym wzrokiem, którego tak nienawidziła.

Gdy chciała wstać, nagle złapał ją kurczowo za nadgarstek.

– Nie odchodź, proszę. – Jego głos, jeszcze bardziej ochryply niż zwykle, drżał – może ze strachu, może z rozpacz. – Alesso... Błagam, nie odchodź.

– Dobrze – szepnęła. – W porządku, jestem tutaj. Nie bój się.

Tłumiąc przerażenie, usiadła obok i głaskała go po włosach, póki nie usnął. Odczekała dla pewności jeszcze chwilę, potem delikatnie uwolniła dłoń z uścisku, okryła Krzyczącego

kocem i poszła do pracowni.

Widziała tylko jedno rozwiązanie.

Uaktywniła zwierciadło i czekała, zaciskając zęby, aż wirujące kolorowe wzory rozproszą się, ukazując pracownię Marshii. Mistrzynie nie było w komnacie. Po drugiej stronie tafli, falując mackami, zawisł Biss.

– Zawołaj swoją panią – powiedziała Anavri. Obejrzała się przez ramię, tknięta obawą, że Brune się zbudzi i będzie wściekły. Ale z sypialni nie dochodził żaden dźwięk.

Chowaniec skinął psim łbem i odpłynął bezgłośnie, znikając za otwartymi drzwiami pracowni. Marshia zjawiła się po dłuższej chwili. Wspierała się na lasce, a na jej wymizerowanej twarzy malowało się gniewne zniecierpliwienie. Gdy jednak wysłuchiwała, co dziewczyna ma do powiedzenia, ustąpiło ono miejsca ewidentnemu, nietajonemu przerażeniu.

– Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałaś? – spytała ostro.

– Ja... – Słowa uwięzły Anavri w gardle. Tak, zatajała problem, dopóki strach o Krzyczącego definitywnie nie przeważył nad lojalnością. Dopiero teraz dotarło do niej, że mógł to być błąd.

– On i choroba głosów, na Harana, tylko tego nam brakowało! – Marshia spojrzała na Bissa, a ten zamachał mackami, jakby dawał do zrozumienia, że podziela jej wzburzenie. – Anavri, musisz przyjść tutaj. To nie jest temat na rozmowę przez zwierciadło.

– Ale... – Znów zerknęła przez ramię, zastanawiając się, czy powinna obudzić Krzyczącego. Obawiała się, że po dawce opium może nie być wystarczająco przytomny, żeby zrozumieć, co się do niego mówi.

– Zastyga w bezruchu, patrząc w przestrzeń? Mówi od rzeczy? Nie zawsze cię rozpoznaje? Gwałtownie wpada w złość?

Dziewczyna niepewnie, z wahaniem potaknęła. Marshia pokiwała głową, zaciskając usta.

– To choroba głosów, Anavri. Widziałam już zmijów, u których to świństwo budziło się po wyczerpującym obrzędzie albo walce z nadprzyrodzoną istotą. Fatalnie, że mi nie powiedziałaś od razu. – Znów popatrzyła na Bissa. – Znam kogoś, kto być może mógłby pomóc... ale Brune nie będzie chciał się leczyć, cholera! – Załamała rękę.

– Mogę z nim porozmawiać – powiedziała powoli Anavri, choć aż za dobrze pamiętała ostatnią kłótnię. Ona też była skłonna się założyć, że Krzyczący prędzej wyrzuci ją z enklawy, niż przyzna, że potrzebuje pomocy.

– Przede wszystkim nie możesz dłużej przebywać z nim w enklawie sama jedna! – zawołała Marshia. – Dziewczyno, ocknij się, on traci kontakt z rzeczywistością! Nie kontroluje

się, może ci zrobić krzywdę! Czytałaś o magach, którzy oszaleli wskutek Skażenia? Przyjdź tutaj. Zastanowimy się spokojnie razem z Zazelem, co robić.

Przebudziwszy się, Brune jęknął. Głowa pękała mu z bólu, gardło miał wyschnięte i był tak oszołomiony, że dopiero po chwili dotarło do niego, że nie leży na ziemi w jakimś zaułku, tylko na własnym posłaniu. Przetarł twarz i wycedził przekleństwo, kiedy przypomniał sobie, czemu znajduje się w takim stanie.

W sumie należy się cieszyć, że w ogóle wróciłeś do przytomności... Ciekawe tylko, na jak długo.

I wtedy uświadomił sobie, że w domostwie nie wyczuwa obecności Anavri. Zanim zdążyło go to zastanowić, a co dopiero zaniepokoić, zauważył na sienniku kartkę.

Trzy razy czytał wiadomość napisaną znajomym, eleganckim, kaligraficznym pismem. Za pierwszym nie był pewien, czy dobrze rozumiał. Za drugim miał ochotę się roześmiać. Za trzecim – z wolna ogarnęła go złość.

Wstał ostrożnie, i tak jak przewidywał, do szydła wierzącego w oczodole dołączyły mdłości z głodu. Organizm domagał się wody, śniadania, a potem jeszcze kilku godzin snu. Tymczasem trzeba było ponieść konsekwencje własnej głupoty oraz tego, że Anavri pozostawiona samej sobie spanikowała.

Klnąc cicho, Brune poszedł do kuchni po wodę, a potem z kubkiem do pracowni. Tam zawahał się, niepewny, czy ma siłę teraz prowadzić nieprzyjemne rozmowy.

Nim podjął decyzję, ta została podjęta za niego. Lustro rozjarzyło się czerwonym blaskiem i ukazała się w nim Marshia Lavalle. W czepku i ciemnej domowej sukni, wsparta na lasce, lecz jej oczy po dawnemu ciskały błyskawice.

– Co się z tobą dzieje? – spytała ostro.

– O co chodzi? – wymamrotał. Wzdrygnął się, słysząc, jak niewyraźnie mówi – jakby jeszcze nie wytrzeźwiał po całonocnym pijaństwie. Marshia musiała pomyśleć to samo, bo jej twarz zastygła w lodowatą maskę.

– Anavri o wszystkim mi opowiedziała. Wyłumacz się.

No jakżeby inaczej, wystraszone poleciałyśmy pod opiekuńcze skrzydła i zaczęłyśmy paplać? Poczuł, jak rośnie w nim już nie złość, a zimna furia, która miała jedną zaletę – pomagała oprzytomnieć.

– Z czego, do cholery?

– Nie wiesz, z czego?

– Nie obchodzi mnie, co ci nagadała panna Vaneisen – syknął. – Nie kazałem, żeby mnie szukała! Miała nie opuszczać enklawy!

– Zniknąłeś, nie mówiąc, kiedy wrócisz! Nie było cię prawie dobę!

– No i? Co to zmienia? Gdyby coś się stało, nie pomogłybyście mi, ani ona, ani ty.

– Zostawiłeś ją w enklawie...

– Była tu bezpieczna. Mogła spokojnie poczekać, zamiast się pchać nie wiadomo gdzie. – Brune zaczerpnął tchu i spróbował się uspokoić. – Gdzie ona jest? Niech przyjdzie, chcę z nią mówić.

– Nie.

– Że co?

– Anavri nie przyjdzie. I nie wróci do ciebie, chyba że rzucisz opium. Permanentnie.

Zdusił chęć, żeby rąbnąć w lustro pięścią.

– Co ustaliliśmy, starsza siostrze? Anavri jest teraz moją uczennicą, nie twoją. Chyba że sama mi powie, że zmieniła zdanie.

– Zmieniła.

– Chcę to usłyszeć od niej.

Marshia zawahała się, jakby ważąc słowa.

– Anavri powiedziała mi, w jakim stanie cię znalazła. Jest przerażona. Uważa, że w obecnej sytuacji stanowisz zagrożenie zarówno dla siebie, jak i dla niej, a ja się z tym zgadzam.

– Wyjaśnij, jeśli łaska, co rozumiesz przez obecną sytuację?

– Jesteś uzależniony od opium, młodszy bracie, a to jest tylko skutek, nie przyczyna. Sam doskonale przecież wiesz, co ci jest. Jesteś chory, poważnie chory, pora wreszcie przestać się oszukiwać. Udawanie, że nic się nie dzieje, na pewno nie pomoże ci wyzdrowieć.

Słyszając nutę satysfakcji w jej głosie, Krzyczący nagle zrozumiał. Nie chciało mu się wierzyć, że Marshia może być aż tak małostkowa, ale nie widział innego wytłumaczenia.

Jej samej mogło się wydawać, że podejmuje racjonalną, odpowiedzialną decyzję. Tak naprawdę była po prostu zazdrosna, już od miesiący, że młodszy, mniej doświadczony *ka-ira* okazał się dla kogoś lepszym nauczycielem.

– Zawołaj Anavri – powtórzył.

– Nie.

– Dobrze, więc sam się do was pofatyguję. – Postąpił w kierunku lustra, ale Marshia uniosła rękę

– Nie próbuj. Moja enklawa cię nie wpuści.

Zdumiony, na moment po prostu zamilkł.

– Żartujesz – odezwał się po chwili.

– Bynajmniej. Wygląda na to, że ktoś musi tobą potrząsnąć, młodszy bracie, dla twojego własnego dobra. Najpierw pozbądź się nałogu. Potem szczerze ci polecam podjąć leczenie tej drugiej choroby, póki jeszcze nie jest za późno. Mogę ci polecić medyka, który zna się na rzeczy. Gdy się namyślisz, daj mi znać. Anavri na razie zostanie ze mną.

Słuchając jej, Krzyczący powoli się uspokajał, a zarazem coś w nim lodowaciało.

– Świetnie – syknął, gdy zamilkła. – Skoro tak stawiasz sprawę... Będę miał o jeden kłopot mniej.

Obraz rozmówcy zgasł, lustro znowu było tylko lustrem. Brune zagapił się na swoje odbicie.

Nie wątpił, że Marshia święcie wierzy w to, co mówi, bo jego zarośnięta, wynędzniała twarz oraz błędny wzrok wydawały się najlepszym dowodem na słuszność jej zarzutów.

Scysja z Marshią sprawiła, że zupełnie odechciało mu się snu. Nadal czuł się zmięty i otępiały, ale ochłonął na tyle, żeby zacząć myśleć. I nagle pstryknął palcami.

Gorczyca. Wiedźma z Krzywej Alei, która wtedy za pierwszym razem uleczyła go z szaleństwa, nadając nowe imię. Jeśli ona nie będzie umiała niczego doradzić... Nie chciał rozważać takiej możliwości.

Gorczyca coś wymyśli.

Pół godziny później, wciąż jeszcze pełen tłęcej się złości na Marshię i Anavri, popatrzył w lustro, upewniając się, że wygląda jak ktoś całkowicie zrównoważony i zdrow na umyśle. Poprawił kołnierz czystej koszuli, po czym sprawdził, czy ma przy sobie sztylety i gemmę. Wyszeptał formułę, a gdy tafla ożyła kolorowymi wzorami, wkroczył w portal.

Nie miał świadomości, że nieduże, podobne do gołębia astralne stworzenie, które czatowało po zewnętrznej stronie osłon jego enklawy, poleciało za nim.

Zmaterializował się na zarośniętym krzakami brzegu rzeki, na wszelki wypadek natychmiast spowijając się niewidzialnością. Zdążył tylko zarejestrować, że w pobliżu nie wyczuwa żadnych żywych istot.

Nagle poczuł chłodne ostrzeżenie daru, a chwilę później niebo ogarnęła pulsująca fioletowa luna. Zachwianie.

Brune zaklął cicho. Nie umiał stwierdzić, czy jego pojawienie się miało z tym coś wspólnego, czy nie. Ekwilibrium w Shan Vaola bywało cholernie niestabilne.

A potem jego świadomość przeszły lodowate groty – jeden, drugi, trzeci, czwarty. Poczul, jak kamuflująca go iluzja rozwiewa się. Gardło ścisnęła mu panika – mrozące przeczucie, że to koniec.

Srebrni.

Materializowali się kolejno w rozbłyskach oślepiającego światła. Czterech akolitów, jedna mistrzyni – poznał to po różdżce w jej dłoni. Białe szaty, srebrne medaliony, urodziwe twarze, oczy podobne kałużom rtęci.

Rozdział 25: Rozkaz szarego króla

– Poddaj się, zmiju! – krzyknął najwyższy z akolitów, długowłosa, w srebrnej masce. Równocześnie w powietrzu zaiskrzyło się od błękitnych wyładowań. Wszystkie rozprysnęły się o barierę zaklęcia tarczy.

Krzyczący powiódł wzrokiem po otaczających go twarzach, pełnych chłodnej obojętności. Nagle poczuł na skórze dziwny, zimny ucisk, jakby powietrze zmieniło się w napierającą na niego galaretę. Bariera blokująca dematerializację, najsilniejsza, z jaką miał dotąd do czynienia.

Wiedział, że zostanie pojmany, ale zamierzał się postarać, żeby drogo okupili zwycięstwo. Nagle stanęła mu przed oczami twarz Adriena de Vere, leżącego bez zmysłów w Domu Godnego Odejścia.

Tknięty impulsem zamknął oczy – i zdematerializował się. Zdematerializował się, choć teoretycznie nie powinien być w stanie tego zrobić. Przechodząc przez barierę, którą go otoczyli, przez moment poczuł w całym ciele palący ból, aż pociemniało mu w oczach. Potem wokół zawirowały barwy i pojawiło się znajome, mrozące zimno. Płynął przez bezprzestrzeń poza wymiarami, z trudem łapiąc oddech.

Wiedząc, że tamci lada chwila złapią trop, pozwolił, aby dar przerzucił go z powrotem do materialnego świata, i pół sekundy później stał już w nieznanym miejscu gdzieś daleko na południu, na spieczonej słońcem równinie, gdzie rzadkie krzaki czepiały się piaszczystego gruntu, smagane wiatrem niosącym tumany pyłu. W oddali wznosiły się jałowe, kamieniste wzgórza, spowite rdzawą mgiełką. Choć tuż nad horyzontem wisiała czerwona słoneczna tarcza, niebo na północy i wschodzie jarzyło się dziwną fioletową barwą, a powietrze miało metaliczny posmak. Zachwianie.

Brune nieufnie poruszył rękami, pokręcił głową – w mięśniach i kościach wciąż jeszcze czuł echo bólu, który towarzyszył przełamywaniu bariery – ale wyglądało na to, że nie doznał żadnych fizycznych obrażeń. Jeszcze.

Spowił się niewidzialnością, lecz sekundę później znów poczuł lodowate ostrzeżenie daru i iluzja rozwiązała się. W powietrzu nad nim zmaterializowały się trzy sylwetki magów – mistrzyni i dwóch akolitów. Wiatr rozwiewał ich białe szaty.

Zaatakowali bez ostrzeżenia – z góry lunęły osłepiające groty energii, z sykiem trafiając w grunt, zostawiając po sobie rozbryzgi stopionego na szkło piasku. Lecz zaklęcie tarczy i tym razem spełniło swoją rolę.

Dwa rozbłyski i ostrzeżenie daru powiedziały zmijowi, że dwaj pozostali akolici też zmaterializowali się nieopodal. Wynik walki w tym miejscu, na płaskim terenie bez żadnej osłony, mógł być tylko jeden. W czasie krótszym niż potrzeba, aby zwerbalizować tę myśl,

Krzyczący podniósł garść piasku i cisnął nim w stronę prześladowców, uwalniając moc. Powietrze przecięła smuga blasku, zabrzmiał ostry trzask. Jeden z lewitujących akolitów wrzasnął, z głuchym łupnięciem zwał się na ziemię i już nie wstał.

Żmij zapatrzył się na widoczne w dali wzgórza i zdematerializował się ponownie, by wylądować na kamienistym zboczu. Nie ustał; zachwiał się i przewrócił, zdzierając sobie skórę z dłoni. Cudem tylko udało mu się nie sturlać w dół. Poderwał się, oddychając ciężko, i schronił się pod osłoną skupiska gładów – w samą porę, bo srebrni już nadlatywali, łopocząc szatami, niczym wielkie białe ptaki. Miotane przez nich świetliste pociski uderzyły w zbocze, wzbijając piach, żwir i odłamki skały. Zaszcząło, zapachniało spalenizną. Brune tylko wzmocnił czar tarczy. Mrużąc oczy, czekał na sprzyjający moment, żeby się zrewanżować.

W górze, na niebie zakwitły warkocze sinawego ognia. Jedne gasły, na ich miejsce zapalały się nowe. I nagle znikąd lunęły języki płomieni – liliowe, rozedrgane, upiorne... Jednakże narastające zachwianie nie zrobiło na srebrnych wrażenia. Utworzyli w powietrzu krąg, chwytając się za ręce. Mistrzynie zaczęła rytmicznie skandować w mowie magów, pozostali zawtórowali. Wokół nich zajaśniała aureola mocy, jaskrawsza z każdą chwilą. Cztery pary oczu rozblysły płynną rtęcią.

Brune zasłonił twarz ręką, bo blizny na policzku zapłonęły bólem. Poczul rozlewający się w całym ciele zimny, lepki, niebezpieczny bezwład. Osunął się na klęczki, z trudem chwycił oddech – nieubłaganie tracił siły, podtrzymywanie tarczy stało się nieznośnym wysiłkiem. Zamrugał oczami – widział nieostro, jakby świat zaczynał się zasnuwać mgłą.

Nie, to naprawdę była mgła! Spływając znikąd, spowiła go mleczną, błogosławioną zasłoną. *Portal!* Nie wiedział, kto go otworzył ani jakim cudem. Uczucie było podobne jak wtedy po balu, gdy w sygnecie mordercy uaktywniła się pułapka – lecz Brune intuicyjnie czuł, że teraz jest inaczej, że tym razem portal go ratuje. Dlatego nie walczył. Pozwolił, by mgła spowiła go i uniosła daleko, daleko od prześladowców.

Gdy się rozwiała, ujrzał, że stoi na popielistym pustkowiu. Naokoło kłębiły się opary, wiatr niósł jęki i zawodzenie. Żmij znał to miejsce. Pamiętał.

Wspomnienia powróciły do niego, tak jaskrawe i wyraźne, że nie umiał pojąć, jakim cudem miesiącami żył bez nich. Demonessa w szarych szatach, i rozmowa po tym, jak o mało nie zginął w sferach, po walce z wysłannikiem srebrnych, który próbował go dopaść w jego własnej enklawie... *Jesteś nasz* – tak powiedziała. Był pionkiem w rękach demonów, ich marionetką. Jakim sposobem mógł o tym nie pamiętać przez tak długi czas?

Silą woli opanował wir dezorientacji i cisnących się pytań. *Później. Później będziesz się nad tym wszystkim zastanawiać.* Mimo woli przymknął oczy, chłonąc czarną aurę, która biła tu od każdej skały, każdego kamienia. Po chwili odetchnął z ulgą i otarł rękawem pot z czoła. Potem na wszelki wypadek przywołał moc, czując zmysłami maga, że ktoś – coś – nadchodzi.

Z mgły wyłonił się czarnowłosy, smukły mężczyzna w szarych szatach.

– Nie dziękuj mi – rzucił zwięźle. – Działalem we własnym interesie.

– Nie wątpię – mruknął żmij. Przemienił rapier z powrotem w sztylet i schował go.

Nieznajomy podszedł bliżej. Cokolwiek kryło się wewnątrz jego cielesnej powłoki, z zewnątrz, dla ziemskich oczu, był to arystokrata. Z krwi i kości. Błady, gładko ogolony i urodziwy, o delikatnych rysach, prostym nosie, wąskich ustach. Oczy miał jak dwie bryłki niebieskiego lodu.

– Znam cię – oznajmił.

– Doprawdy? A ja was nie.

– Nazywam się Favill. – Nieznajomy uśmiechnął się, ukazując nieskazitelnie białe, równe zęby. – Lecz w Otchłani tytułują mnie Spalonym Władcą. Jestem królem Doliny Popiołów. – Zamilkł, jakby czekając na reakcję, a nie doczekawszy się, ciągnął: – Zapraszam cię na rozmowę, mój agencie.

Krzyczący chętnie odpowiedziałby sarkastycznie, ale jak na złość zabrakło mu konceptu. Milczał więc, a demon kontynuował:

– Twoja choroba się nasila, sam to czujesz. To już nie kwestia dni, ale godzin, zanim znajdziesz się po drugiej stronie lustra – mówiąc to, wyraźnie wyczekiwał odzewu, ale żmij i teraz nie zaszczycił go odpowiedzią. – Jestem twoją jedyną nadzieją na wyzdrowienie, Deuvenie.

– Nie wiem, czy określiłbym to mianem nadziei – mruknął Krzyczący.

Spalony Władca patrzył na niego z politowaniem.

– Niby jak na człowieka jesteś inteligentny, a nadal nie dociera do ciebie, jak się sprawy mają. Słyszysz nam, jesteś nasz. Jeżeli zapagniemy, możemy cię uzdrowić, aczkolwiek... – Nachylił się, tak że żmij wyczuł jego oddech, ciepły, lekko pachnący kadzidłem. – Miej świadomość, że jeśli do reszty osuniesz się w szaleństwo, dla nas to niewielka strata, nadal będziemy cię mogli wykorzystać do naszych celów.

Cofnął się, wyraźnie czekając, aż te słowa odniosą skutek. Krzyczący wciąż jeszcze walczył z chęcią palnięcia czegoś, czego mógłby rychło pożałować; ostatecznie wygrała ciekawość.

– Rozmowa, powiadasz. – Wzruszył ramionami. – To dokąd się udamy, demonie?

Spalony Władca wyciągnął smukłą dłoń.

– Chodź.

– Nie powinnaś była tu wracać – powiedziała Lorraine.

– Wiem. – Jej kuzynka usiadła na łóżku i zgarbiła się bezradnie. – Na świetlistą Arayę, co ja narobiłam? Jak mogłam być tak głupia?

Przygryzła kostki palców. Nie była pewna, na kogo jest bardziej wściekła: na Marshię czy na siebie.

– A ja myślałam... och, idiotka... myślałam, że ona będzie wiedziała, co robić...

– Wiesz – odparła powoli panna Nevers – czasem wiedzieć, a chcieć to dwie różne rzeczy.

Anavri skryła twarz w dłoniach, myśląc bezsilnie o tym, jakie głupstwo popełniła. Potem wstała z pełną determinacji miną.

– Idę do niej. Musi mnie wypuścić z enklawy. Wracam do niego.

Mogłaby uciec nawet w tej chwili – zdematerializować się mimo zakazu, łamiąc zabezpieczenia, będące teraz zaledwie cieniem tych, które chroniły enklawę kilka miesięcy wcześniej. Czowała pokusę, by tak właśnie zrobić – umknąć z klatki, nie oglądając się na nic – ale powstrzymało ją poczucie odpowiedzialności. Nie wiedziała, czy osłabiona Marshia byłaby w stanie później odtworzyć ciągłość zapór.

– Zaczekaj – powiedziała Lorraine. Była bardzo blada. – Teraz już jest za późno.

– Jak to za późno? O czym ty...

W dal patrząca ze skupieniem wpatrywała się w powietrze.

– Zaczęła się ścieżka, której nie mogłam przewidzieć. Nie możesz teraz wrócić. Brune... Och, bogowie... Dolina Popiołów upomniała się o niego.

– Więc tym bardziej muszę wrócić!

– Nie! – krzyknęła Lorraine. – Nie rozumiesz! Nie mieszaj się w to! Oni chcą mu pomóc. Jeśli go nie wyleczą, oszaleje już na dobre. Błagam, uwierz mi!

Anavri powoli usiadła z powrotem.

Widziała już dość, żeby wierzyć kuzynce bez zastrzeżeń. Ale to znaczyło...

– Chcesz powiedzieć – odezwała się z wahaniem – że Brune ma jakieś powiązania z Otchłanią?

– Jest agentem Doliny Popiołów – odrzekła równie cicho Lorraine. Wzrok miała udręczony, jakby targały nią wątpliwości, czy powinna to mówić. – Już od lat.

Anavri poczuła się tak, jakby zamiast siedzieć na wygodnej sofie, spadała przez zimną pustkę.

– Od kiedy o tym wiesz? – usłyszała dochodzący z daleka czyjś martwy głos. Jej własny?
– Kiedy się dowiedziałas?

– Teraz, w tej chwili. – Panna Nevers skuliła się z miną świadcząca o wyrzutach sumienia. – Przysięgam, że ujrzałam to dopiero teraz.

– Ale on służy Otchłani od dawna, powiadasz. – Znow ten martwy, obcy głos. – Od jak dawna?

Lorraine wpatrywała się w czubki swoich czarnych trzewiczków. Milczała długo.

– Kiedy pojawił się w Shan Vaola, zanim jeszcze poznał Marshię, już był zaprzysiężony – odezwała się w końcu. – Tylko tyle widzę. Więcej nie wiem.

Anavri powoli pokiwała głową. Miała wrażenie, że coś wewnątrz niej zamarza. Tężeje na kość i pokrywa się szronem.

Nie powiedziałaś mi.

Zmaterializowali się w komnacie o kamiennych ścianach. Za ostrołukowym oknem kłębiły się chmury podobne do brzuchów bestii, w odcieniach jadowitego grynszpanu, trupiego fioletu i chorej żółci. Powietrze, bardzo suche, miało woń spalenizny i brudnego metalu.

Krzyczący podszedł do okna. Tak jak się spodziewał, ujrzał rozciągającą się w dole popielistą równinę, po której wiatr pędził kłęby pyłu oraz jęczących, zawodzących cieni.

Popatrzwszy po sobie, otrzepał ubranie z kurzu. Zupełnie nie odczuwał już skutków walki ze srebrnymi. Czarna aura Otchłani ogrzewała i pobudzała, błyskawicznie likwidując zmęczenie, niczym kordiał z lucyferią.

– Proszę, usiądź – zachęcił Spalony Władca, wskazując jedno z dwóch krzeseł przy niedużym stole. Wszystkie meble zrobione były, jak się zdawało, z polerowanej smoczej kości, zaś na jednej ze ścian wisiała czaszka jakiegoś olbrzymiego stwora z pięcioma oczodołami i

sterczącym do góry rogiem. – Wina?

Wyczuwając za sobą obecność, Krzyczący odwrócił się gwałtownie. Mglista istota, która sekundę wcześniej musiała wyłonić się wprost ze ściany, skłoniła się w milczeniu.

– Przynies złote wino, Chassim – rozkazał Spalony Władca, nie czekając na odpowiedź. Mglisty sługa skłonił się ponownie i zniknął.

Krzyczący zawahał się, po czym usiadł. Dopiero teraz spostrzegł, że demon posiada skrzydła – wielkie, podobne do łabędzich, o piórach smolistej barwy. Nie był pewien, czy wcześniej jakimś cudem ich nie zauważył, czy też po prostu ich nie było.

Po chwili na stole znikąd pojawił się srebrny dzban oraz dwa kieliszki. Spalony Władca nalał zmiłowowi i sobie. Wino pachniało jak dojrzałe, słodkie jabłko i nagrzane słońcem wrzosowiska.

– Nie ma sensu marnować czasu, zatem przejdę od razu do meritum – oznajmił. – Mam dla ciebie zadanie, mój agencie. Moja córka została uwięziona gdzieś w głębinach Otchłani przez demona imieniem Sathoon. Moi mędrcy twierdzą, że jeśli ktoś ma szansę ją odnaleźć i uwolnić, to tylko ty.

– A jeśli wolno spytać, dlaczego właśnie ja?

– Przez lata była twoim demonem stróżem. Więź, która was łączy, działa w obie strony. Anyah mogła cię odnaleźć w dowolnym miejscu w każdej chwili. Zgodnie z logiką tego czaru, także i ty powinieneś ją odnaleźć i dotrzeć do niej, niezależnie od tego, gdzie ją uwięziono i jakimi zaklęciami spętano.

– A wtedy wy zajmiecie się resztą, zaś ja będę mógł popatrzeć, jak robicie porządek z tym... jakże go zwą... Sathoonem? – Żmij uśmiechnął się krzywo. Spalony Władca zmarszczył brwi.

– Obawiam się, że to nie takie proste. Jeśli, jak przypuszczam, kryjówka Sathoona znajduje się na terytorium którejś z wrogich nam Dolin, wówczas ani mnie, ani żadnemu z moich poddanych nie wolno tam wkroczyć, chyba że zależałoby nam na wywołaniu wojny. A czego jak czego, ale zbrojnego konfliktu chcemy uniknąć za wszelką cenę. Dlatego po przekroczeniu granicy między Dolinami będziesz zdany tylko na siebie. Ty możesz ją przekroczyć bez żadnych konsekwencji. – Uśmiechnął się kącikiem ust. – Na takiej samej zasadzie, na jakiej w twoim świecie dzikie zwierzęta mogą wędrować, gdzie chcą, nie przejmując się granicami państw.

– Bardzo elegancki plan – stwierdził z ironią Krzyczący i upił łyk wina. Było bardzo dobre. – Ja zmaterializuję się tam, gdzie ten... Sathoon... więzi mego demona stróża, a wtedy Sathoon albo jego słudzy, bo pewnie takowych posiada, szybko zrobią ze mną porządek.

– Och nie, tutaj właśnie tkwi sęk. – Spalony Władca zetknął dłonie czubkami palców. –

Mam powody, by sądzić, że nie będzie chciał cię zabić... nie tak od razu. Widzisz, jeśli jest tak, jak podejrzewam, to Anyah została uwięziona jako przynęta. Przynęta na ciebie. I Sathoon chce cię dostać w swe ręce żywego.

– Coraz lepiej – stwierdził żmij po dłuższej chwili milczenia. – A skąd to wiadomo?

– Ponieważ już się spotkaliście w przeszłości. Konkretnie w Ri Talma, przed czterdziestu laty.

Brune wstrzymał oddech.

Ri Talma. Czy ja śnię?

– Jakieś... szczegóły? – spytał cicho.

– Szczegóły? Proszę bardzo. Sathoon, który w tamtym czasie służył Dolinie Światła, pospołu ze swym przybocznym zesłał na miasto wielką zarazę, planując zdobyć tysiące dusz. Jednak nie powiodło im się. Ty zlikwidowałeś sługę, a moja Anyah, która w owym czasie jeszcze żyła ludzkim życiem jako śmiertelniczka, pokonała pana. Dusze zmarłych zamiast do Doliny Światła trafiły do Doliny Popiołów, a Sathoon już nigdy nie zmaterializuje się w świecie ludzi, jest na wieczne czasy uwięziony w Otchłani. Zakładam zatem, że teraz chodzi mu o zemstę. Na Anyah, na tobie i na mnie.

– Więc należy mnie posłać prosto w paszczę smoka? Na podstawie jakiej logiki, że tak delikatnie spytam?

– Naszej logiki, człowieku. Sathoon nie będzie chciał cię zabić, tylko ogłupić, złamać i przeciągnąć na swoją stronę. Jesteś magiem, więc zawsze będziesz cenniejszy jako agent niż jako dusza uwięziona w Otchłani. Możesz być tego tak pewien, jak tego, że w twoim świecie rośliny zawsze rosną w stronę słońca. Twoim zadaniem będzie oprzeć mu się, uwolnić Anyah i powrócić z nią tutaj.

– Kim w zasadzie jest ten cały Sathoon? To znaczy, kim jest tu na dole?

– Demonem wysokiego rodu. Arystokratą z rodu Czarnoustych, aktualnie nominalnym lennikiem Doliny Rdzy... ale to i tak niewiele ci powie.

– Liczycie – żmij prychnął cierpko – że zdołam w pojedynkę pokonać tak potężną istotę?

– Liczę, że zdołasz uwolnić moją córkę. Pokonanie Sathoona nie jest niezbędne... acz, przyznaję, byłoby mile widziane.

– Dobrze wiedzieć, że demony miewają poczucie humoru.

Spalony Władca zaśmiał się z cicha.

– Widzę, że nas nie doceniasz, człowieku.

Krzyczący spokojnie napił się wina, którego aromat oraz idealnie zrównoważone proporcje kwasu i słodczy kojarzyły mu się z najlepszymi winami znad Zatoki Snów.

– W porządku. Pomogę wam. Ale nie za darmo. – Uśmiechnął się, bez drgnienia patrząc w lodowato niebieskie oczy rozmówcy. – Znasz prawo magów, o królu. Nic za darmo.

– Uratowanie ci dzisiaj życia – Spalony Władca uniósł brwi – obliguje do wdzięczności, magu.

– Wasza Wysokość – Krzyczący nie spuścił wzroku – obaj wiemy, że to wy jesteście mi coś winni. Od lat.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Żmij z pozorną nonszalancją dopił zawartość kieliszka, zastanawiając się, czy aby na pewno obrał dobrą strategię.

– No cóż. – W głosie demona zabrzmiało leciutkie rozbawienie. – Odważnie, mój agencie. Bardzo odważnie. Rzekłbym, że wspinasz się na skute lodem urwisko, nie mając liny.

– Jestem *ka-ira*, to zobowiązuje. – Brune, decydując się rozegrać do końca kartę bezczelnego zuchwalstwa, pozwolił, by jego źrenice rozbłysły żółto. Zorientował się, że decyzja była dobra, kiedy Spalony Władca zaśmiał się pobłażliwie.

– W istocie. Nie boisz się przepaści ani wichru; jeśli spadniesz, pofruniesz, co? Ale pamiętaj, mój agencie, że nie muszę być przepaścią. Mogę być dłonią, która cię chwyci. Weź pod uwagę, że jesteś chory, i to poważnie. A my, w zamian za pomoc, możemy cię wyleczyć.

– Nie.

Demon znowu uniósł brew.

– Nie?

Krzyczący na moment zamknął oczy.

Dyplomatycznie dobrać słowa, elegancko ująć sprawę. Zachowując przy tym absolutny spokój i zimną krew. Tylko tak można było cokolwiek osiągnąć w rozmowach z demonami.

– Może inaczej. Królu, obaj wiemy, że jeśli mam wam być do czegoś przydatny, muszę być w pełni władz umysłowych. Tak? Jeśli mam ruszyć na poszukiwanie twojej córki, najpierw musicie mi pomóc rozwiązać ten... drobny problem, z którym się ostatnio borykam. – Dotknął skroni, uśmiechając się krzywo. Demon z enigmatyczną miną skinął głową.

– Zapewne.

– Skoro wyleczenie jest warunkiem wykonania misji, zgodnie z prawem magów trudno je uznać za zapłatę. To zaś, o co chcę poprosić, to dla ciebie, panie, drobiazg. Chcę informacji. Tylko tyle i aż tyle.

– To znaczy?

– Na początek chcę wiedzieć, dlaczego wam służę. W jaki sposób stałem się waszym agentem i kiedy.

Spalony Władca zamyślił się na moment.

– Skoro to dla ciebie takie ważne... W porządku. – Wyciągnął dłoń. – Twój talizman. Dwie karty. Daj mi go.

Krzyczącemu przemknęło przez głowę, że poszło chyba za łatwo, że powinien się mieć na baczności. Ale nie wyczuwał ze strony rozmówcy żadnych wrogich intencji, a zresztą nie żywił złudzeń – tu w Otchłani, tak czy owak, był na łasce swoich mocodawców. Wyjął skórzany woreczek noszony na rzemyku pod tuniką i wręczył go demonowi.

Spalony Władca wyjął ze środka dwie karty i przez chwilę obracał je w dłoni, jakby w zadumie. Potem pokazał Krzyczącemu obrazek przedstawiający Maga.

– Nataen z Camarry. Twój ojciec, Deuvenie. – Obrócił kartę i stuknął palcem w wizerunek Błazna. – Adrien de Vere z Alkary. Twój dziadek ze strony matki. Dwóch potężnych czarnych magów. Masz w sobie część ich obu.

Krzyczący powstrzymał się od zapytania, co ta rewelacja ma do rzeczy.

– Sądziłem, że Adrien został zabity w Domu Godnego Odejścia – powiedział powoli. – To powinno uniemożliwić jego duszy odrodzenie się.

Spalony Władca pokręcił głową.

– To byłoby zbyt proste, przyjacielu. Owszem, Adrien pożegnał się z życiem w Domu Godnego Odejścia. Nie możesz być dosłownie jego ponownym wcieleniem, bo srebrni zabili go w sposób wykluczający powrót duszy. Ale ścieżki przeznaczenia są kręte. Adrien de Vere pozostawił córkę imieniem Amparo, córkę, która nie posiadała daru... to długa historia, nie będę ci jej teraz opowiadał... Amparo zaś po różnych perypetiach związała się z czarnym magiem, który – demon zrobił pauzę, unosząc palec wskazujący – należał już wtedy do mnie, zapisał mi duszę kilka lat wcześniej, podczas pewnego tragicznego w skutkach powstania w górach Camarry. Nazywał się Nataen, Deuvenie. Masz z nim doprawdy wiele wspólnego.

Zamilkł, może czekając na reakcję. Nie doczekawszy się, kontynuował.

– Słyszałeś lub czytałeś może o camarryjskiej wojnie domowej? Nie? Kilkanaście tysięcy zwolenników starego porządku, szlachty, żołnierzy i chłopów, zbuntowało się przeciw swojemu

królowi, gdy postanowił podpisać pakt z Elitą. Rozprawiono się z nimi po pół roku krwawych walk. Brat Nataena był jednym z przywódców rebelii, nie przeżył jej. Krótco po jego śmierci Nataen sprzedał mi duszę w zamian za życie kilkudziesięciu niedobitków ze swojego oddziału. Bardzo szlachetnie, przyznasz chyba. Cenię sobie szlachetnych szaleńców; niezmiernie łatwo ich przeciągnąć na moją stronę, jeśli tylko użyje się właściwych argumentów.

– I wywiązaliście się z zobowiązania?

– Oczywiście. Wszyscy powstańcy, których objęła umowa, przeżyli. Niektórzy nawet dożyli potem późnej starości. Przeżył również Nataen, nie pozwoliłem mu zginąć. Ale odebrałem mu pamięć.

– Forma zabezpieczenia?

– Oczywiście. Nie chciałem ryzykować, że spróbuje uciec przed zobowiązaniami wynikającymi z cyrografu. Cyrografu, który podpisał najzupełniej dobrowolnie, będąc w pełni władz umysłowych.

Znów zawiesił głos, jakby oczekując reakcji, ale Krzyczący milczał.

– Nataen uciekł z Camarry – kontynuował demon – gdzie za jego głowę wyznaczono niebotyczną nagrodę. Poszukiwali go śludzy króla i srebrni magowie, ale za moją sprawą znaleźli tylko śmierć. Poszukiwany zniknął. Zaszył się na pustkowiu, na odludnych bagniskach daleko na zachodzie. A kilka lat później przekroczył moje najśmielsze oczekiwania, bo związał się z córką Adriana de Vere. Amparo nosiła wówczas inne nazwisko i nie chwaliła się swoim pochodzeniem. Kiedy dochowali się potomka, uznałem, że wolę zamiast duszy Nataena wziąć duszę jego pierworodnego syna, w którym płynie krew starego rodu de Vere, rodu potężnych magów.

– Cyrograf zezwalał na taką możliwość? Pytam z zawodowej ciekawości.

– Wiesz, jak to jest z przestrzeganiem umów. – Spalony Władca znów się uśmiechnął. – Zapisy nie zawsze są jednoznaczne, a gdy można je interpretować na różnoraki sposób, w praktyce rację ma silniejszy. Należałeś do mnie, od chwili gdy się urodziłeś. – Pstryknął palcami. – Ale twoi rodzice oszukali mnie, Deuvenie. Moje zaklęcie zapomnienia, jak się okazało, nie podziałało do końca. Nataen zorientował się, że grozi ci niebezpieczeństwo. Wypowiadał się w świątyni Tanathe, oby jej imię było przeklęte, i znalazł tam pomoc. Oddał bogini swoje życie w zamian za bezpieczeństwo kochanki i jej syna. Amparo wywiozła cię potajemnie i ukryła... I byłeś bezpieczny przez dwadzieścia kilka lat. – Jego uśmiech stał się szerszy, błysnęły równe, perłowe zęby. – Ale cyrografu nie da się oszukać, w końcu i tak dostałem, co mi się należało. A w tak zwanym międzyczasie rozwinąłeś się, jeśli wolno mi to rzec, doprawdy w interesującym kierunku. Adekwatnym do twojego pochodzenia. Krew nie woda... I teraz jesteś mój, Deuvenie de Ragues. Mam cię, jak mawiał nieodżałowanej pamięci Farael de Lyche.

Krzyczący ze spokojem dopił wino i odchylił się do tyłu na krześle.

– Bardzo ciekawe – powiedział wzgardliwie. – Tym ciekawsze, że kiedy ostatnio rozmawiałem z twoimi sługami, panie, słyszałem inną wersję.

– To znaczy?

– Mówiono mi o cyrografie, który podpisałem osobiście, własną ręką. Jak mogę wierzyć w cokolwiek, co mi mówicie?

– Nie masz obowiązku wierzyć. – Spalony Władca również dopił wino. – Prawda, drogi agencie, jest jak cebula, ma wiele warstw.

– Nie wątpię – stwierdził cierpko Krzyczący. – Zwłaszcza że gdzieś po drodze zagubiło się czterdzieści lat, których nie pamiętam.

– Och, tych czterdzieści lat spędziłeś u nas na dole. Tyle czasu minęło, zanim zdołaliśmy cię przywrócić do życia po próbie samobójczej, którą nierozsądnie podjąłeś, straciwszy w Ri Talma najpierw siostrę, a później ukochaną.

– To bzdura – prychnął żmij. Potem przesunął palcami po ledwie widocznych sinych bliznach na nadgarstku, tknięty ukłuciem wątpliwości, ale chłodna logika uspokajała.

Kłamstwa, same kłamstwa. Podcięte żyły wyleczyliby w okamgnieniu.

– Oczywiście, że nie pamiętasz. I nie będziesz pamiętał. Po tym, jak ludzkie ciało mojej córki zmarło w Ri Talma, by jej druga dusza mogła ożyć w moim królestwie, rzuciłeś na siebie klątwę unicestwienia. Z niejasnych przyczyn – może z powodu błędu, omyłki w formule, może czegoś innego – zadziałała połowicznie. Czterdzieści lat spędziłeś zawieszony między bytem a niebytem, rozdarty między wymiarami. To Anyah sprowadziła cię z powrotem między żywych, a w zamian pozwoliłem, by została twoim stróżem. – Spalony Władca nachylił się, wyciągając dłoń, jakby chciał musnąć palcami szramy na policzku żmija; ten cofnął się, zakrywając ręką policzek, drgający w bolesnym skurczu. – To zostało ci na pamiątkę.

– Nie wierzę – powiedział szybko Krzyczący. A potem przesłonił ręką oczy, gdy wróciło do niego wspomnienie.

Gorączka zakrzywia kontury świata, księżyc wydaje się wypalać dziurę w mózgu. Piję wodę z rowu, próbuję nią obmyć twarz – boli tak potwornie, jakby w ciało wbijały się zardzewiałe kolce, jakby skórę powolutku trawił ogień. Opuchlizna nie pozwala otworzyć oka.

Zbyt słaby, by iść dalej, kładę się na ziemi. Czuję mdlącą woń zgnilizny. Jestem martwy, a księżyc spelza w dół jak wąż o ciele z rtęci, by obgryźć moje zwłoki, zostawiając tylko kości.

Wbił zęby w wierzch dłoni, trzeźwiąc się bólem, żeby nie odpłynąć. Nie pozwolić świadomości znów umknąć za mętną szybę.

– Nie pamiętam żadnej klątwy – powiedział wolno, gdy trochę ochłonął. – Pamiętam za

to, jak opuściłem Ri Talma. Jak błąkałem się po traktach, gorączkując. To... trwało jakiś czas. Raczej tygodnie niż dni... Tyle akurat pamiętam bardzo dobrze. Więc...

– Klątwa zadziałała połowicznie, mój agencie. Połowicznie. Na wpół obłąkany z bólu, pod jej wpływem istotnie włączyłeś się przez jakiś czas, nie mogąc umrzeć. Ponieważ swoją obecnością zaburzałeś Ekwilibrium... mniej więcej tak samo, jak zaburzałoby je kilkudziesięciu ludzi płonących żywcem... srebrni zaczęli cię szukać. Z początku marnie im szło, bo tylko częściowo znajdowałeś się już w materialnym świecie, a częściowo wisiałeś w tej szarej nicości, gdzie mieszkają umarli. Ale w końcu udało im się cię wytropić i zgarnąć. Wtedy postanowiliśmy zainterweniować, zabraliśmy cię na dół i zajęliśmy się tobą. A kiedy już zdołaliśmy na powrót scalić twoje ciało i ducha, zostałeś przywrócony światu dokładnie w takim stanie, w jakim do nas trafiłeś... powiedzmy, że za karę.

Krzyczący, choć nadal zasłaniał ręką oszpeconą połowę twarzy, kurczącą się w tiku, zmarszczył brwi; obudziła się w nim trzeźwa ciekawość. Nawet pomimo faktu, że nadal nie był przekonany, czy powinien wierzyć w choć jedno słowo demona.

– A to, na co cierpię, te napady wizji... Mają jakiś związek z tamtą historią? Bo to przecież nie jest choroba głosów, objawy się nie zgadzają.

– Nie, to nie jest choroba głosów – potwierdził Spalony Władca. – Ty chorujesz, można rzec, na chorobę pamięci... lub też jej braku. Oszałałbyś, mając w głowie wszystkie swoje wspomnienia, dlatego cię ich pozbawiliśmy. Niestety, nie da się wymazać pamięci, nie wywołując skutków ubocznych. Ścisłej mówiąc, w ogóle nie da się wymazać pamięci w dosłownym znaczeniu tego słowa. Można jedynie zablokować wspomnienia, by nie wracały, co nie jest pozbawione ryzyka, kiedy blokuje się większą ich liczbę. Żaden umysł nie jest w stanie znieść czegoś takiego bez szwanku. Wiesz coś na ten temat.

– Wiem – mruknął Krzyczący. Znowu przypomniał sobie kryptę śmieciarzy w Podziemiach i siebie wtedy, na samym początku.

– Ocaliłem cię od nieuchronnego szaleństwa, ryzykując, że zamiast wariować od wspomnień, zwariujesz od ich braku. Na szczęście, tak jak zakładałem, okazało się, że szok wywołany ich odebraniem stopniowo minął. Pozbierałeś się... Niestety nie do końca. Po jakimś czasie blokady, nawet najmocniejsze, słabną; to, co zostało zepchnięte w głąb, wypływa na powierzchnię. Stąd właśnie biorą się twoje sny, przebłyski obrazów na jawie i odpływanie od rzeczywistości. Im bardziej twoja pamięć stara się wrócić, tym bardziej cię to destabilizuje. Jesteś zdrow tylko tak długo, dopóki nie pamiętasz.

– Zatem znowu jesteście w stanie mnie wyleczyć tylko na jakiś czas, tak? Nakładając na moje wspomnienia świeżą blokadę? – Krzyczący wstał, gwałtownie odsuwając krzesło. – A niechże was szlag.

Nie zdążył zarejestrować ani momentu, w którym demon również się podniósł, ani ruchu jego ręki – jedynie trzask uderzenia i palący ból. Został spoliczkowany jak bezczelny dzieciak.

Żrenice żmija rozbłysły żółto, ale coś – bardzo możliwe, że zdrowy rozsądek – kazało mu powściągnąć wściekłość i zmilczeć.

– Trochę więcej szacunku, mój agencie – zasyczał Spalony Władca. – Tak, nałożymy blokadę. Tym razem postaramy się, aby podziałała dłużej. Potem, grzecznie wysłuchawszy instrukcji, ruszysz wypełnić swoją część umowy. Jakies pytania?

Brune przełknął wściekłość i upokorzenie.

– Nie.

– Cieszy mnie to. Teraz daj rękę.

– Po co?

Demon uśmiechnął się wzgardliwie.

– Bez obaw, nie spotka cię żadna krzywda. Daj rękę.

Krzyczący nieufnie wyciągnął dłoń. Spalony Władca ujął ją w swoje, gładkie i zimne. Chwilę później żmij chwycił oddech, nie będąc w stanie nawet wrzasnąć – krew w jego żyłach, zdawałoby się, na mgnienie oka zmieniła się w tysiące brzytw rozdzierających go od środka. Wrażenie ustąpiło po sekundzie, pozostawiając po sobie jedynie słabe ćmienie, dogasające w całym ciele echo bólu.

– Co to było? – wykrztusił.

– Uzdrowiłem cię z uzależnienia od opium. Potraktuj to jak drobny prezent.

Rozdział 26: Tajemnica demonessy

Kłęb zrosniętych razem węży, zwieszający się z kikuta uschniętego drzewa, wił się i falował, lecz z ich paszcz zamiast syku wydobywały się ciche, matowe kobiece głosy, powtarzające bez ustanku jedną frazę.

Czy pragniesz cierpieć... Czy pragniesz cierpieć... Czy pragniesz...

Krzyczący w Ciemności ominął je łukiem.

Pasma cuchnącej mgły snuły się między powykręcanyimi pniami, podobnymi do kalekich sylwetek wyciągających błagalnie ramiona. Grzyby barwy rybiego brzucha, wysokie jak dorosły mężczyzna, rozpościerały swe kapelusze niby baldachimy; po niektórych pełzały oślizgłe pomrowy wielkości psa. Podmokły grunt uginał się przy każdym kroku, pod nogami chlupotało; zagłębienia terenu wypełniała ciemna woda, śmierdząca gorzej niż gnijący szlam z dna fosy.

Żmij przezornie obszedł bokiem grząskie miejsce, gdzie z błota sterczały żebra i kręgosłup jakiegoś wielkiego stwora. Dotarłszy na nieco suchsze wzniesienie, rozejrzał się, czujny i pełen napięcia niczym kot, który zakradł się na obcy teren. Wyczuwał obecność istot, które czaiły się we mgle, w cieniu grzybów i krzaków. Jedne nie reagowały, gdy przechodził, inne skradały się bezszelestnie w ślad za nim. Wiedział, że obserwują go łakomie, śledząc każdy krok. Czekał, aż osłabnie? Nie ważąc się atakować bez rozkazu? Czuł ich wrogość, z trudem hamowaną żądzą krwi. Miał jednak świadomość, że, o ironio, chronią go stosunki panujące w Otchłani – subtelne nici powiązań i zależności między Dolinami. Skoro zuchwale zjawił się tu w pojedynkę, on, słaby mag z krwi i kości, wedle logiki demonów znaczyło to, że musi reprezentować kogoś potężnego. Był zatem nietykalny – do czasu.

Przybył na te cuchnące bagniska, wykorzystując czar tropiący zorientowany na więź między agentem a jego demonem stróżem, otrzymany od Spalonego Władcy. Konstrukcja zaklęcia nie przypominała żadnej ze znanych żmijowi formuł, czy to srebrnych, czy czarnych, ale zadziało. Mniej lub bardziej.

Od momentu, gdy zmaterializował się w podmokłej kotlinie na pograniczu Doliny Rdzy i Doliny Kwiatów, Brune widział w oddali swój cel – twierdzą górującą ponad morzem oparów – i ku swej frustracji musiał brnąć ku niej pieszo. Aura tego miejsca zaburzała magię teleportacyjną równie silnie, co czary, którymi srebrni magowie obwarowywali swe siedziby – bał się próbować tu dematerializacji czy otwarcia portalu. Nie miał najmniejszej ochoty zawisnąć uwięziony w pustce między światami lub zginać w płomieniach królestwa salamander.

Okolica przyprawiała go o ciarki. Tchnęła czernią w inny sposób niż Dolina Popiołów. Przebywając w dominium Spalonego Władcy, nabierał sił, zaś te smrodliwe moczary przytłaczały go, wydawały się powoli wysysać wolę życia.

Ciemna, oleista toń była jak brudne zwierciadło, w którego głębi czaiły się koszmary.

Wszystkie zapomniane grzechy, zastarzały ból, zaginiona, odebrana przeszłość – nie mógł się oprzeć myśli, że to wszystko tam jest. Czai się, pełza, czeka. Na potknięcie, nieostrożny krok?

Zaledwie to pomyślał, zahaczył butem o korzeń i omal nie wyłożył się jak długi. Oddychając ciężko, przystanął. Rozejrzał się. I poczuł narastający gniew.

Majająca w oddali twierdza nie przybliżyła się ani trochę.

– Ejże, człowieku – usłyszał za sobą syczący szept. – Czego tu szukasz? Zgubiłeś się?

Odwrócił się szybko. Na gałęzi drzewa siedział brzydki kosmaty stworek, podobny do dusiołka, lecz o olbrzymich, jarzących się czerwono ślepiach i pysku przypominającym trąbkę.

– Coś ty za jeden? – spytał Krzyczący.

Stworek poruszył trąbką, nadał się, po czym znieacka splunął deszczem jadu. Brune w porę osłonił się zaklęciem tarczy. Kilka kropel, które zdążyły paść na jego kurtkę, z sykiem wżarło się w sukno.

Oczy źmija zwęziły się. Wyszeptał parę słów w mowie magów. Paskudztwo wrzasnęło, łapiąc się za pękaty brzuch. Spadło z gałęzi niczym włochata piłka, odbiło się kilka razy od ziemi i potoczyło, znikając w zaroślach.

Gałęzie drzew zaszumiały złowrogo. Brune nagle poczuł, że coś łapie go za kostkę. Wyszarpnął się gwałtownie i wzniosł nad ziemię, lewitując, a długie macki, które podpełzły ku niemu niepostrzeżenie, bezsilnie chwyciły teraz powietrze. Właściciel macek, tylko częściowo wynurzony z błota, nienawistnie łypał ku źmijowi bladym okiem.

Dość tego – pomyślał ze złością Krzyczący. Wbił spojrzenie w odległą twierdzę i skupił się, sięgając w jej kierunku zmysłami maga. Nie, nie była iluzją, wyczuwał jej obecność – ogrom zimnej skały nasyconej złą, obcą magią Otchłani. Gdy zamknął oczy, był w stanie ujrzeć to, co kryło się wewnątrz. Cienie. Szepty. Falowanie. Jak wodorosty. Ręce wyciągające się, by pochwycić. Usta otwierające się, by pożreć.

Tknięty impulsem, maksymalnie skupiony na tym obrazie, ponownie wypowiedział zaklęcie Spalonego Władcy. I rzeczywistość zawirowała, a gdy ponownie się wygładziła, zewsząd otaczały go mury – nie lepkie i oślizgłe, jak podświadomie oczekiwał, lecz czarne, gładkie jak obsydian.

W mrocznym wnętrzu panowały chłód i cisza. Kroki źmija wydawały się przeraźliwie głośne, gdy powoli szedł przez rozległą salę, zostawiając na wypolerowanej posadzce ślady błota.

Za szybko, za łatwo...?

Osłonił się czarem tarczy i rozglądał czujnie, wyęzając zmysły maga do granic

możliwości, w każdej chwili spodziewając się ataku.

Potem wyczuł obecność, która przyprawiła go o lodowaty dreszcz.

Ona. Lecz nie potrafił sprecyzować, gdzie się znajdowała. Nie był pewien, czy puste pomieszczenie, które ma przed oczami, nie jest częściowo iluzją; obca, wroga aura twierdzy przytłaczała go i dezorientowała w jeszcze większym stopniu niż aura bagnisk.

Legowisko smoka.

– Witaj, Deuvenie.

Niski, donośny głos odbił się echem od obsydianowych murów. Brune odwrócił się, dobywając rapiera, a jego źrenice zabłysły żółto. Nie ujrzał nikogo, lecz wyczuł narastającą wokół moc, ohydną i drapieżną.

Cichy, paskudny śmiech dobiegał niejako zewsząd – wydawał się sączyć ze ścian i spod posadzki. A potem mury zafalowały i zaczęły się wyrzuszać, nie w jednym, a w wielu miejscach. Wyrzuseń przybywało w oczach – rosły, wzbierały, jakby magia Otchłani kształtowała kamień niczym miękką glinę.

Od muru oderwał się najpierw jeden toporny kształt, potem kolejne i kolejne. Ich transformacja dobiegła końca – stały się człekokształtnymi postaciami, trochę przypominającymi golem z Podziemi, lecz o ślepych twarzach bez rysów. Jeden po drugim unosiły dłonie, ze szczękiem wysuwając z palców kilkucalowe zakrzywione ostrza.

Krzyczący skupił się na analizowaniu tego, co mówiły mu zmysły maga. Wyczuwał tylko magię Otchłani, bez śladu indywidualnych jaźni. Zamknął oczy i przywołał więcej mocy, skupiając się na najboleśniejszym z odzyskanych wspomnień, za które omal nie zapłacił zdrowymi zmysłami.

Kukła ulepiona z popiołu, rozsypująca się w proch...

Ślepe istoty zaatakowały go, ze świstem tnąc powietrze. Pchany i kierowany przez pulsującą w żyłach czerń, zawirował w zwinnych unikach, parując rapierem te ciosy, przed którymi nie zdołał się uchylić, a potem wbił się w powietrze, lewitując. I uderzył. Uderzył telekinetycznym wichrem, jak Anavri wtedy w górach, lecz bez porównania silniej. Stwory zakręciły się z wrzaskiem, porwane przez ten wir jak suche liście, jak krople atramentu wpuszczone do wartkiego strumienia. Rozpadły się, zniknęły.

Brune opadł z powrotem na posadzkę, bardziej zmęczony niż początkowo sądził. *Niedobrze* – pomyślał cierpko. W dominium Sathoona tracił siły szybciej niż w materialnym świecie. Zanim wyruszył z Doliny Popiołów, spytał, czy nie mogą mu użyczyć jakiegoś odpowiednika czarnych monet, jakiegoś dającego moc talizmanu czy choćby szat kogoś, kto zginął bolesną śmiercią. Dostarczyli mu, czego potrzebował – dość, by mógł się nacerpać do syta, lecz nie pozwolili niczego zabrać ze sobą, tłumacząc się nieznany mu bliżej prawami

Otchłani.

Anyah! – zawołał w myślach. Wiedział, że tu przebywała, czuł jej obecność. Choć naokoło widział jedynie ściany z obsydianu, był pewien, że demonessa wpatruje się w niego, bezsilna, pełna lęku. *Anyah, gdzie jesteś?*

Chwycił gwałtownie oddech, gdy przestrzeń wokół zawirowała – i nagle zewsząd otoczyły go lustra. Czarne, lśniące prostokąty, małe i duże, niezliczone. Widział w nich swe zwielokrotnione odbicie; zabłocona odzież, umorusana twarz, rapier w dłoni, płonące żółto oczy.

– Deuvenie.

Szept wydawał się sączyć ze ścian, ze sklepienia. Dobiegał zewsząd i znikąd.

– Pokaż się! – zawołał żmij, obracając się; sto jego odbić w lustrach obróciło się równocześnie.

Echo zwielokrotniło cichy, drwiący śmiech.

– Długo czekałem, aż do mnie przybędziesz, agencie Doliny Popiołów.

– Doprawdy? – Brune kątem oka złowił ruch w jednym ze zwierciadeł, smygnięcie cienia, lecz gdy obrócił głowę, znów ujrzał tylko dziesiątki swoich odbić.

– Wiem, co cię sprowadza do mej siedziby. – W bezcielesnym głosie pobrzmiwała kpina, jakby wróg umyślnie chciał się drażnić z intruzem, a może sprawdzał jego reakcję. – Przesłano cię, żebyś uwolnił swojego demona stróża, co? Ale masz oczywiście świadomość, że nic na tym nie zyskasz?

Krzyczący, wyęzając słuch i zmysły maga, bezskutecznie usiłował zlokalizować mówiącego. Przygotowany był na dowolną niespodziankę – w pierwszej kolejności na to, że próba nawiązania dialogu jest zasłoną dymną, próbą uspienia czujności intruza – dlatego wzmocnił czar tarczy. Skupiwszy się, bez trudu wyczuwał rozmówcę – jedną potężną, wrogą jaźń, lecz tak rozmytą, jakby stanowiła jedność z twierdzą.

– Pokaż się! – powtórzył.

– Znam cię – zaszeptał głos, który teraz wydawał się momentami rozszczępiać na wiele głosów, przywodząc na myśl chór umarłych z Podziemi. – Nie jestem ci wrogiem, flecisto. Wiem, że nie przybyłeś tu z własnej woli. – Pauza. – Mógłbym ci pomóc się wyzwolić spod władzy Doliny Popiołów.

– A to ciekawe – powiedział wolno żmij, nadal skupiony na badaniu otoczenia zmysłami maga. Przez cały czas czuł tę znajomą, jedyną w swoim rodzaju obecność, jej obecność; tak blisko, tak frustrująco blisko, a zarazem jakby za szybą. Czy Anyah została uwięziona w sąsiednim wymiarze, specjalnie po to, żeby mogła bezsilnie patrzeć, jak właściciel twierdzy

rozprawia się z intruzem?

Wszystko wskazywało na to, że Spalony Władca mówił prawdę – tkwiła tu jako przynęta, a Sathoon dobrze wiedział, kogo przysłał z odsieczą.

Brune zeszywniał, gdy w głębi jednego ze zwierciadeł pojawiło się seledynowe lśnienie. Z wolna przybrało na sile, jakby źródło blasku zbliżało się do tafli od drugiej strony. Po chwili w centrum świetlistej plamy pojawiła się druga, ciemna. Rosła szybko, aż przybrała kształt sylwetki.

Wysoki mężczyzna o siwych kręconych włosach, odziany według ziemskiej mody sprzed dwustu lat – w kaftan z wielkimi bufiastymi rękawami, pludry i jedwabne pończochy. Z ramienia zwieszała mu się krótka, fantazyjna pelerynka. Zawisł wewnątrz zwierciadła, nonszalancko splatając ramiona na piersi, i uśmiechnął się czarnymi wargami.

– Pozwól, że się przedstawię – rzekł. – Zwą mnie Sathoon. Znałeś mnie w poprzednim życiu, Deuvenie.

– Nie przypominam sobie. – Żmij zwalczył przemożną pokusę, by dodać, że nie pamięta wśród swoich znajomych nikogo, kto nosiłby tak ciekawe ubiory.

– Przelotnie, ale zawsze. Poznaliśmy się w Ri Talma, dzięki pewnemu młodemu alchemikowi, któremu pomagałeś w badaniach nad destylacją duszy. Nazywał się... Tegrini, jeśli dobrze pamiętam.

Brune wzdrygnął się, uderzony przebłyskiem wspomnienia.

Tegrini... Niski i pulchny, w skórzanym fartuchu. Odwraca się od zagraconego stołu, zdejmując ochronną maskę z grubego szkła, i mówi coś ze śmiechem, wskazując plamę sadzy na ścianie, sięgającą aż do sufitu...

Otrząsnął się czym prędzej, wracając do rzeczywistości. Mrużąc oczy, wpatrzył się w siwego jegomościa.

Iluzja. Cokolwiek przemawiało z tafli, nie posiadało ciała ani żadnej jego namiastki – było równie niematerialne jak wiatr, jak dym. Właściciel twierdzy krył się gdzieś tam głęboko w ciemnościach. Za zwierciadłami.

– Czy wiesz – podjął tymczasem Sathoon – czemu Dolinie Popiołów tak bardzo zależy na tym, byś im służył?

– Z chęcią się doksztalczę. – Mówiąc to, żmij ostrożnie sięgnął umysłem w mrok za lustrami i aż się wzdrygnął, gdy dotarło do niego, jakie pokłady złowrogiej mocy drzemią w głębi twierdzy. Nie miał najmniejszych szans w starciu z taką potęgą.

Chyba że wykombinuje jakiś fortel. Ale na razie nic nie przychodziło mu do głowy.

Sathoon, czy raczej jego iluzoryczny wizerunek, mówił zaś dalej:

– Jest taka legenda, Deuvenie... Być może ją znasz. Głosi, że gdy przed tysiącleciami dziewięciu bogów waszego świata walczyło z Wrogiem, to Eresh, pan leków i trucizn, zadał mu śmiertelny cios zatrutą włócznią. Lecz umierający Wróg przepowiedział, że potomstwo Eresha w swoim czasie sprowadzi zagładę na świat ludzi. I Eresh tego samego dnia zabił swoich siedmiu synów.

– Owszem, znam tę opowieść – odparł wolno Krzyczący. – Ale co to ma...

– Istnieje też druga wersja legendy. Mówi ona, że Eresh zabił sześciu swoich synów. Oszczędził siódmego, który znajdował się jeszcze w łonie matki, śmiertelnej kobiety. Ta sama wersja legendy mówi też, że czarni magowie obdarzeni błogosławieństwem Eresha... w żyłach których dziwnym trafem zawsze płynie alkaryjska krew... to tak naprawdę jego potomkowie. – Sathoon zrobił pauzę. – Otchłań zna tę legendę, zmij. Mamy podstawy, by przypuszczać, iż jest w niej więcej niż ziarno prawdy. To dlatego Spalony Władca robi wszystko, byś pozostał jego agentem. Liczy, że pewnego dnia staniesz się tym, który sprawi, że Otchłań zatriumfuje nad światem ludzi i wchłonie go w całości.

– Bardzo ciekawe – prychnął zmij. – A co ty masz do tego, że tak spytam?

– Możesz przyjąć, że nie chcę, aby Dolina Popiołów zrealizowała swoje plany. – Siwowłosa spoglądał na niego, jak się zdawało, z cieniem politowania. – Mam nadzieję, iż jesteś świadom, że uporczywie cię oszukują i manipulują tobą?

– Nie na darmo nazywają was wszystkich władcami kłamstw, demonie. Teraz powiedz mi coś, o czym bym nie wiedział.

Zaczynał odnosić wrażenie, że wyczuwa granice iluzji, lecz nadal nie potrafił przeniknąć jej wzrokiem. A demonessa gdzieś tu była – wyczuwał jej niecierpliwość, jej strach. Jakby krzyczała do niego zza grubej szyby, rozpaczliwie usiłując go ostrzec.

– Czy wiesz – kontynuował Sathoon – że ja nie wykorzystuję ludzi jako agentów? Mogę cię wyzwolić spod władzy Doliny Popiołów, nie oczekując niczego w zamian. Zupełnie niczego, Deuvenie. Byłbyś wolny, nareszcie wolny.

Mówił spokojnie, uprzejmym, życzliwym tonem bankiera proponującego spłatę pożyczki w ratach.

– Odruch bezinteresownego miłosierdzia? – zakpił zmij.

– Niechęć wobec Doliny Popiołów. Tylko i wyłącznie. Jesteś wykształconym człowiekiem, więc zapewne wiesz, jak to wygląda u nas w Otchłani: jedne Doliny nie lubią innych, stale toczą się walki i podchody. Ale ciebie to nie dotyczy, jesteś tylko kimś, komu podstępnie założono obrozę. Ja zaś mogę ci pomóc ją zdjąć.

– Jak?

– Pochodzę z wysokiego rodu Czarnoustych, moja moc dorównuje mocy Spalonego Władcy. Mogę złamać ciążące na tobie więzy cyrografu tak, jak ty łamiesz klątwy.

– To nie brzmi zachęcająco, demonie, zważywszy, że złamanie klątwy nie jest w stanie naprawić szkód, które spowodowała.

– Dobrze, może to istotnie nie najlepsze porównanie. Więzy cyrografu nie wyrządzają ci żadnej fizycznej szkody, po prostu są, a ja mogę sprawić, żeby ich nie było. – Sathoon rozciągnął czarne wargi w uśmiechu. – Wystarczy, że podasz mi rękę, flecisto. – Wyciągnął bladą, wypielęgowaną dłoń.

Krzyczący po chwili wahania podjął decyzję. Podszedł bliżej i powoli wyciągnął rękę w kierunku zwierciadła.

Na ułamek sekundy przed tym, zanim jego palce zetknęły się z palcami siwowłosego, uaktywnił czar, który szykował już od dłuższej chwili, odzierając otoczenie ze wszystkich stworzonych magią pozorów. Iluzoryczna postać rozwiała się jak zdmuchnięty płomień świecy. Rozwiały się też zwierciadła. Sala nagle stała się dużo mniejsza i niższa, a jej obsydianowe ściany wyglądały teraz jak zwykły kamień, przeżarty wilgocią i pokryty zaciekami.

W następnej chwili kontury pomieszczenia zadrgały i Brune poczuł zimną falę mentalnego ataku, jakby zalała go niewidzialna kaskada lodowatej wody. Z trudem łapiąc oddech, spróbował się odgrodzić, wzmocnić tarczę. Nie miał pojęcia, jak długo wytrzyma; wobec mocy Sathoona jego własna była jak papierowa łódeczka rzucona na fale.

Anyah! – krzyknął telepatycznie, walcząc rozpaczliwie z tym naporem, opierając się ze wszystkich sił; wiedział, że jeśli straci przytomność, przypuszczalnie ocknie się w pętach.
Anyah, gdzie jesteś?

Gdyby tylko posiadał cokolwiek, co do niej należało... Albo gdyby pamiętał więcej... Spróbował przywołać z pamięci jej mglistą postać, jej twarz – tę twarz, która powracała do niego w snach. Ostrzyżone włosy, wystrzępiona szara chusta i błękitne, lśniące niezwykłym światłem oczy...

Jakby ten obraz dodał mu sił, zmij poczuł, że zimny uścisk na jego ciele zanika. Odetchnął, zbierając się w sobie, i powiódł wokół wyzywającym spojrzeniem.

Ku swemu zdumieniu odkrył, że wisi w pustce. Sala zniknęła. Była tylko ciemność – w górze, w dole, wszędzie.

– Jesteś wprost wzruszająco naiwny – rzekł z politowaniem Sathoon, czy raczej iluzoryczny jegomość przemawiający jego głosem, pojawiając się znikąd. Zawisł w powietrzu, uśmiechając się tak uprzejmie, jakby gawędzili przy grzonym winie i ciastkach. – Naprawdę

sądziłeś, że twój żaloszny talent może się na coś przydać przeciwko jednemu z Czarnoustych?

W porządku – pomyślał zimno Brune, tak spokojny, że aż jego samego to dziwiło. Jestem zbyt słaby, by cię zniszczyć. Ty zaś nie zniszczysz mnie, bo chciałbyś, abym stał się twoją własnością... tak jak nie zabija się kosztownego tresowanego sokoła, który wleciał przez okno do cudzego domu. Pat, mości hrabio.

– Nie lubię zabaw pozorami – odrzekł powoli. – Po co te iluzje?

– Mam do nich słabość, ot i wszystko. – Siwowłosa skinał dłonią i nagle znaleźli się w bogato urządzonym salonie: czerwone zasłony, lśniący jak lustro parkiet, zgrabne meble obite pasiastym atlasem według lossorskiej mody. W dwóch dużych lichtarzach płonęły świece. Krzyczący zmarszczył nos, czując mdlący odór, i rozejrzał się odruchowo w poszukiwaniu źródła. Jedynym, co burzyło harmonię wnętrza, była stojąca na stoliczku misa pełna ochłapów padliny.

– Ponawiam propozycję, zmiju – rzekł Sathoon. – Ja zrywam więzy łączące cię z Doliną Popiołów, ty odchodzisz wolny. Lub też – w jego głosie zabrzmiała nuta groźby – rozprawię się z tobą tak, jak rozprawiam się z intruzami z wrogich Dolin, a wtedy pozostaniesz tu na zawsze. Wybieraj.

Brune zawahał się. Po raz pierwszy zaświtała mu myśl, że może Spalony Władca kłamał od początku do końca. Zgodnie z tym, co zmij wiedział na temat praw rządzących Otchłanią, zgoda na to, by oddać się na służbę którejs z Dolin, musiała zawsze zostać wyrażona wprost, w niebudzących wątpliwości słowach. Nie mógł zostać sługą Sathoona, dopóki dobrowolnie nie zadeklarował takiej intencji. A Sathoon jak dotąd wcale nie kwapił się, by mu to zaproponować. Może zatem oferta demonicznego hrabiego była najzupełniej szczerą? Motywowana, tak jak sam oświadczył, chęcią zaszkodzenia Dolinie Popiołów i niczym więcej?

Nic nie jesteś winien Spalonemu Władcy – szepnął trzeźwo głosik w głowie zmija. Lecz natychmiast odpowiedział mu drugi: Nigdy nie ufaj demonom. A zwłaszcza wtedy, kiedy twierdzą, że gotowe są bezinteresownie ci pomóc.

Co by się stało, gdyby Sathoon istotnie zerwał więzy cyrografu? Nagle zmij pojął, na czym polega kruczek. Bezczelny w swej łatwej do przeoczenia oczywistości, niczym podstępne klauzule w umowach, jakimi bankierzy wiązali klientów. *Jestem tu sam, nie mogę się zdematerializować ani otworzyć portalu. Aby się stąd wydostać, musiałbym ponownie przebyć pieszko bagna... Więcej niż pewne, że tym razem ich mieszkańcy nie pozwoliliby mi bezpiecznie przejść. Ktoś życzliwy niewątpliwie zdążyłby ich poinformować, że już nie obejmuje mnie protekcja żadnej obcej Doliny, że jestem po prostu słabym, smakowitym kąskiem ludzkiego mięsa. A Sathoon zjawiłby się w ostatniej chwili, oferując mi uratowanie życia w zamian za przyjęcie na służbę.*

Nie ze mną takie gierki, hrabio.

– Najpierw mnie złap – syknął, po czym spowił się niewidzialnością i wykorzystując swe

doświadczenie w iluzjach, przekształcił otaczającą ich fałszywą rzeczywistość. W przypiływie złośliwej kreatywności zasypał elegancki salon stertami tych śmieci, które gniły na tyłach jadłodajni w Eume.

Uśmiechnął się mściwie, gdy całe pomieszczenie poczęło falować i wzdymać się, a potem wszystko – meble, zasłony, śmieci – ożyło, łącząc się w przedziwne konfiguracje, rosnące w oczach po to, by malowniczo się rozpaść.

Efekt interferencji. Tak jak żmij przewidywał, jego własne iluzje weszły w reakcję z tutejszymi – skutek zmieszania dwóch obcych sobie mocy.

Potem świece, połamane teraz i sterczące wprost ze ścian oraz spomiędzy fragmentów mebli, lecz wciąż płonące iluzją ognia, zgasły. Wnętrze salonu – przypominającego obecnie raczej deliryczny majak – zniknęło, wymazane przez mrok. Czarnej twierdzy nie spodobała się ziemską magia. To także było do przewidzenia.

Czując, jak wokół niego ponownie tężeje zimny uścisk mocy Sathoona, Brune wsunął dłoń za pazuchę i zacisnął palce tym razem nie na gemmie, lecz na woreczku z dwiema kartami. A potem skupił się na najbardziej wyrazistym obrazie demonessy, jaki był w stanie przywołać. Noc w Shan Vaola, gdy na dworze padał śnieg, on palił opium na ulicy i Anyah przyszła do niego... Zapomniał o tym, tak jak zapomina się sny, lecz teraz wspomnienie powróciło, zarazem smutne i słodkie.

Znów stanęła mu przed oczami taka jak wtedy, pod postacią ludzkiej kobiety w szubce i eleganckiej sukni. Miękkie futro jej szala, zapach owocowych perfum i wirujące wokół białe płatki.

Znów poczuł na twarzy jej pocałunek.

Ponieważ tęsknisz.

I poczuł, że dematerializuje się, wymyka tym okowom, które już-już miały go zadławić.

Gdy otworzył oczy, ujrzał komnatę o żebrowanym sklepieniu i ścianach z pociemniałej cegły. Na ścianach, w żelaznych uchwytach, płonęły pochodnie. W rogu wznosiła się prymitywna rzeźba z szarego piaskowca; u jej stóp stał mały ołtarz, na nim naczynia ofiarne.

Spętana potrójnym kręgiem nakreślonych na posadzce symboli, Anyah trwała w bezruchu, ledwie widoczna, niczym smuga mgły. Ale na jego widok uniosła głowę.

– Uwolnij mnie – szepnęła ledwie słyszalnie.

Sekundę później komnata zaczęła falować, a Brune jęknął, znów walcząc z zaciskającą się wokół niego niewidzialną zimną obręczą – Sathoon się zorientował, dokąd umknęła ofiara. Mobilizując ostatnie rezerwy mocy, by zablokować jego atak, żmij dobył sztyletu i skaleczył się w dłoń, po czym w trzech miejscach skropił krąg swoją ziemską krwią, niwecząc jego moc.

I obyś była w stanie coś zrobić, bo ja już nie. Czuł, że lada moment przegra mentalne starcie. Pociemniało mu w oczach, skóra mrowiła ciarkami. Osunął się na kolana.

Zdażył wyczuć wahnięcie aury, gdy symbole kręgu z sykiem rozbłysły czerwienią, a potem zniknęły. W następnej chwili owionęła go mgła. Anyah wzbiła się ze swojego więzienia, niematerialna jak obłok, do reszty tracąc ludzkie kształty.

Usłyszał jej głos. Recytowała formuły w języku Otchłani. Zimny napór obcej mocy zelżał. Brune odczekał chwilę, aż miną zawroty głowy, po czym dźwignął się chwiejnie.

Miejsce, gdzie się znajdowali, zmieniało się w oczach – ściany lochu przekształcały się w czarny obsydian. Żmij czuł wzbierającą wściekłość Sathoona, jakby wokół kumulowały się wzburzone fale, które lada chwila runą, by ich zatopić.

Chłodne dotknięcie przejęło go dreszczem. Owionawszy go niczym mgła, Anyah czerpała od niego siłę życiową. Po chwili szarawy opar ponownie ułożył się w znajomą postać odzianą w postrzępione szaty.

– Daj mi twój sztylet – rozkazała.

– Ale...

– Sztylet! – Wyciągnęła rękę.

Wręczył jej broń, rozpaczliwie walcząc z ogarniającą go słabością – czerpanie dobiło go ostatecznie.

– Teraz pokaż dłoń – poleciła. Gdy usłuchał, czubkiem ostrza nakreśliła na jego skórze jakiś znak. Znak ochronny? *Rychło w czas* – pomyślał cierpko Krzyczący. Kłujący ból skaleczenia trochę go otrzeźwił, ale obsydianowe mury znowu wzbierały dziesiątkami wyrzuseń, kształtujących się w sylwetki człekokształtnych stworów ze szponami.

A potem uświadomił sobie, że otaczająca go aura zmieniła się – już nie była zimna i obca, lecz tchnęła gorącą, kuszącą obietnicą siły, tak jak aura Doliny Popiołów.

– Co mi zrobiłaś?! – Zwrócił się ku demonessie, zaskoczony i wystraszony.

– Zdjęłam blokadę, która ciążyła na tobie, odkąd tu przybyłeś – odparła z uśmiechem, oddając mu sztylet. – Jestem demonem z innej Doliny, nie mogę czerpać mocy z tego miejsca. Ale ty teraz już możesz. Czerp i przekazuj mi moc, ja się zajmę resztą.

Nie tracąc czasu na zadawanie pytań, Brune schował broń i opadł na kolana, przykładając dłonie do posadzki. Czuł... Teraz – och, na bogów – czuł je. Tak, jak w Dolinie Popiołów.

Tysiące pochłoniętych dusz, które zlały się z tym miejscem w jedno. Tysiące pełnych

bólu głosów dźwięczących w jednym chórze, budzących w nim znajomy głód.

Demonessa położyła mu ręce na ramionach.

– Spokojnie! Ty tylko kanalizuj. I nie bój się.

Dzieci obsydianowej twierdzy płynęły ku nim, unosząc szpony, szczerząc bezokie paszcze. Zaczął czerpać, stopniowo otwierając się na cierpienie setek tysięcy dusz.

Strumień mocy wniknął w niego jak gorące ostrze, lecz nie raniąc, nie powodując bólu. Na moment wszystko przesłoniła czarna euforia. Gdy Brune odzyskał wzrok, zobaczył, że wrogowie rozpadają się w dym, lecz ściany twierdzy rosły z każdą chwilą, wyciągając się w górę. Sklepienie niknęło teraz w ciemności gdzieś tam hen, wysoko.

W oczach rosła też demonessa. Rychło stała się olbrzymią mglistą postacią o włosach jak połączenie chmur.

W mroku zaśniła poświata, powoli kształtując się w sylwetkę gigantycznego białego zwierzęcia. Lew o ciele jakby uczynionym z księżycowego blasku. Ryknął tak głośno, że obsydianowe mury się zatrzęśły, a Brune – karzełek przy dwójce demonów – pojął, że oto Sathoon objawił się w swojej prawdziwej postaci.

Anyah otwarła oczy, jarzące się niczym dwa błękitne księżyce.

Wyciągnęła ręce. Zahuczał wicher.

Lew skoczył na nią.

Wszystko zniknęło w czarnym błysku.

Gdy odzyskał przytomność, przez długą chwilę nie widział zupełnie nic. Wisiał w mrocznej nicości, pozbawiony ciała.

Potem przed jego oczami zjawily się obrazy. Wstrzymał oddech, gdy dotarło do niego, że widzi wspomnienia Anyah – to, co wydarzyło się w Ri Talma czterdzieści lat wcześniej.

Siwowłosa mężczyzna w odzieniu bakalarza leży na posadzce lochu, u stóp rzeźby z piaskowca przedstawiającej lwa. Jego twarz jest jedną krwawą miazgą, w poprzek gardła ziele głęboka rana, a pierś nie porusza się w oddechu.

Materialna powłoka została zniszczona, a to, co ją zamieszkiwało – przegnane do Otchłani.

Dziewczyna w żalobnej sukni przywołuje gestem swoją drugą duszę. Anyah niechętnie przestaje chleptać krew i zostawia trupa. Na razie jeszcze musi być posłuszna swej zniechęconej siostrze z ciała i kości. Tej kruchej, słabej istocie zrodzonej z kobiecego łona.

Alessa. Tak brzmi jej imię.

Alessa powoli podchodzi do ołtarza i patrzy na ofiarne naczynia. W glinianej misie leżą cuchnące skrawki padliny, ruszające się od larw. Obok spoczywają dwie posiniąle martwe dłonie, ucięte w nadgarstkach. Nad wszystkim góruje zaś szklany kielich pełen dziwnej fosforyzującej cieczy, znad której wznoszą się delikatne smużki pary.

– To eliksir sprowadzający ślepicę – mówi Anyah, towarzysząca swej bliźniaczce jak cień. – Sathoon uwarzył go z jaskółczych odchodów i krecich serc, z koguciego piania i węzowego jadu, z własnej krwi i ostatniego oddechu martwej kobiety, tak jak uczą prastare księgi z Abroz Khar. Każdy, kto umrze podczas tej epidemii, obudzi się w Otchłani jako poddany Doliny Światła.

– Wiesz, jak zneutralizować ten czar?

– Wiem, siostrzyczko. Ale obawiam się, że to nie będzie łatwe.

– Mów.

– Musisz wypić wszystko, co jest w kielichu, do ostatniej kropelki. Kogoś zabito, by wywołać tę zarazę, i ktoś musi oddać życie, żeby ją powstrzymać.

Alessa milczy dłuższą chwilę, przetrawiając to, co usłyszała. Może kalkulując za i przeciw?

– Jego śmierć – wskazuje głową martwego mężczyznę – się nie liczy?

– A jak sądzisz? Nie, nie ma tak łatwo. To musi być dobrowolna ofiara, siostrzyczko. Znasz zasady.

Alessa powoli potrząsa głową. Bierze do rąk kielich, potem go odstawia. Walczy ze sobą. Anyah, widząc to, uśmiecha się kącikiem ust.

W oczach jej siostry pojawiają się łzy. Nagle chwyta naczynie i pije duszkiem, jakby bojąc się, że w trakcie może zabraknąć jej odwagi.

Odrzuca kielich, który rozbija się z brzękiem, i jęcząc, pada na kolana. Zaczyna kaszleć, a potem krztusić się, rozpaczliwie walcząc o oddech. Anyah patrzy na to beznamiętnie. Osiągnęła cel.

Alessa kaszle długo, bardzo długo. W końcu przestaje. Dźwiga się niepewnie, ale nogi

uginają się pod nią, musi się oprzeć o ścianę. Krzywiąc się, przyciska dłonie do brzucha.

– Boli, co? – pyta demonessa. Nie słysząc odpowiedzi, wzrusza ramionami i odwraca się, jakby zamierzała odejść.

– Wracaj, Anyah – mówi zimno Alessa. W jej głosie nie słyhać nawet śladu drżenia. – Dopóki żyję, ja tu rządzę.

Wyciąga rękę, a demoniczne drugie ja powoli, z niechęcią przyplływa do niej i wnika z powrotem w jej ciało. Anyah wie, że nie ma potrzeby się klócić. Wystarczy wszak odrobina cierpliwości. Jeszcze tylko kilka godzin...

Nie zamierza też informować siostry, że skłamała – że dusze tych, którzy zmarli na zarazę, nie ulecą w światłość, wolne, lecz trafią do Doliny Popiołów. Nie będzie aż tak okrutna, by kazać Alessie umierać z tą świadomością.

Alessa tymczasem wychodzi z lochu, przytrzymując się ściany. Przeciera oczy; widzi teraz wszystko jak przez mgłę. Znów dopada ją atak suchego kaszlu. Gdy wreszcie mija, dziewczyna zaczyna się chwiejnie wspinać na schody, przystając co jakiś czas, żeby złapać oddech.

– Nie – szepnął Brune, choć wiedział, że nie da się cofnąć przeszłości, nie da się wymazać tego, co wydarzyło się przed czterdziestu laty.

A potem się ocknął. Tym razem naprawdę. Stał wśród obsydianowych murów, a kawałek dalej spoczywało potężne białe truchło, spod którego sączyła się krew koloru smoły.

Głuchy, złowróźbny grzmot wstrząsnął fundamentami budowli, ściany zadygotały. Demonessa spłynęła na posadzkę, malejąc do ludzkich rozmiarów.

– Chodź – powiedziała. – To wszystko zaraz runie. Zakłęcie tarczy nie wystarczy, ja cię ochronię.

Objęła go mocno. Brune poczuł tylko chłód, jakby owionął go wiatr.

Chwilę później twierdza zaczęła się walić.

Odkąd wiodła samodzielne życie jako demon, Anyah nie знаła takiego uczucia jak strach. Gdy zamek Sathoona rozpadał się wokół niej, myślała tylko o tym, by człowiek, którego osłaniała, nie doznał żadnej krzywdy.

Po kilku nieskończenie długich sekundach, a może minutach, nad ich głowami załśniło blade niebo. Stali na szczycie wzgórza, a wokół wznosiły się sterty czarnego gruzu – wszystko,

co pozostało z twierdzy. Córka Spalonego Władcy rozejrzała się beznamiętnie.

W dole, wśród snujących się mgieł wrzał gorączkowy ruch. Stwory żyjące na moczarach nie czekały, aż będzie im dane posmakować gniewu wrogów, którzy zburzyli siedzibę Czarnoustego, lecz uciekały – leciały, biegly i pełzły w stronę granicy.

Brune oparł się o fragment zburzonego muru, dygocząc na całym ciele. Nie był ranny, tylko oszołomiony, w szoku. Anyah dotknęła jego ramienia.

– Daj mi rękę. Wracamy do Doliny Popiołów.

– Nie – szepnął nieprzytomnie. Oczy miał szeroko otwarte, szkliste, wpatrzone w jeden punkt. Majaczył.

– Niepotrzebnie to zrobiliś. – Dłoń w metalowej rękawicy dotyka płonącego bólem policzka. – Na dziewięć ognistych kręgów Rahimu, czemu nie mogłeś się zabić jak normalny człowiek? Otruć się, powiesić, podciąć sobie żył? Teraz minie wiele lat, nim zdołam cię przywrócić między żywych. A nie wiem wcale, czy warto.

– Warto, ojczu. – Jedna z szaro odzianych kobiecych postaci pod pływa bliżej. – To spadkobierca Adriana de Vere, obdarzony błogosławieństwem Eresha. Bóstwo naznaczyło go rękami losu, tak jak piszą w księgach.

Nie chcę się zastanawiać nad tym, co znaczą jej słowa. W otumanionym gorączką mózgu kołacze się tylko jedna rozpaczliwa myśl.

Nie umarłem.

Jedna rana za moją siostrę, jedna za kobietę, którą kochałem, jedna za mnie samego. Maść z tojadem, a na koniec klątwa, która miała obrócić w proch moje ciało i na zawsze zniszczyć duszę. Klątwy zyskują siłę dzięki bólowi, stąd dodatkowe dwa cięcia i rozjątrająca je toksyna – to jedno, już gojące się, które zafundował mi de Lyche, mogłoby nie wystarczyć, żeby nabrała wystarczającej mocy.

Legendarna, nadnaturalna żywotność ka-ira sprawia, że samobójstwo staje się cokolwiek problematyczne. Ogień mógłby mnie zabić – ale mógłby też nie zabić; podobnie podejrzenie sobie gardła, skok z dużej wysokości czy trucizna. W księgach można wyczytać, iż próby powieszenia bądź utopienia ka-ira zwykle kończyły się tak, że życie po jakimś czasie powracało – do nieodwracalnie uszkodzonego mózgu. O tym zaś, by użyć do tego celu magii teleportacyjnej, lepiej zapomnieć – dematerializacja czy portal czasem zabijają wskutek błędu w formule, wypaczenia aury, ale nigdy na skutek świadomego działania maga.

Bardzo nie chciałem ryzykować, że przeżyję. Stąd klątwa.

Która, jak się okazało, nie wystarczyła.

Choć jej czarny żar zżera mi połowę twarzy i pali w żyłach, nie umarłem. W każdym razie nie w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa.

Wspomnienie było jak półeczka nad przepaścią, na której chwiał się przez chwilę – a potem spadł. Runął w ciemność, w pustkę bez czucia i pamięci.

– Brune, obudź się.

Chłód na twarzy, jakby owionął go wiatr.

– Obudź się, proszę.

Otworzył oczy i beznamiętnie popatrzył na pochylającą się nad nim postać. Usiadł ostrożnie i zobaczył, że znajdują się na pagórku wznoszącym się ponad popielistą równiną, zasnutą pełzającymi leniwie oparami.

Potarł czoło, usiłując zebrać myśli. Czuł się słaby i oszołomiony, jakby obudził się po pełnym halucynacji półśnie zesłanym przez *utalhixtal* albo z majaczeń wywołanych gorączką. Nie do końca potrafił złożyć w całość wydarzenia z ostatnich godzin. Ale pamiętał, kim jest towarzysząca mu kobieta o szarej jak popiół skórze, w postrzępionych szatach barwy pyłu.

Nie wiedział, czy powinien jej nienawidzić, czy czuć bezsilny smutek na myśl o tym, co ją spotkało wtedy w Ri Talma. Co spotkało ich oboje. Na to pytanie, jak na tyle innych, nie było odpowiedzi.

– Jak się czujesz? – spytała demonessa. Wzruszył ramionami.

– Bywało gorzej.

– Spalony Władca czeka na ciebie na zamku – powiedziała. – Jest ci winien podziękowania.

Brune zawiesił wzrok na jej twarzy, znajomej i obcej zarazem. Przypomniał sobie pełne rozpacz i determinacji spojrzenie jej ludzkiego wcielenia. *Wracaj, Anyah. Dopóki żyję, to ja tu rządzę.*

Alessa, dziewczyna w żałobnej sukni, zmarła na zarazę w Ri Talma. Istniała już tylko Anyah, córka Spalonego Władcy. Księżniczka Otchłani.

– Uwolniłem cię – powiedział powoli.

– Tak.

– Co teraz? Pozwolicie mi wrócić do świata żywych i wymażecie pamięć? Znowu?

Demonessa odwróciła głowę, jakby nie chcąc patrzeć mu w oczy.

– Zapewne. Zdecyduje o tym mój ojciec.

W dole, nad Doliną Popiołów, snuły się dymy i cienie.

Rozdział 27: Śmierć zapisana w gwiazdach

Śledztwo, które z rozkazu Akhanii rozpoczął Mohellen, dość długo nie przynosiło oczekiwanych efektów. Owszem, udało się dowiedzieć, kim był morderca z Eume. Jakie nosił nazwisko, od jak dawna mordował, ile ofiar miał łącznie na sumieniu i komu służył. Ale obecni na balu *ka-ira*, kimkolwiek byli, umieli skutecznie zatrzeć swój ślad. Czary wróżebne nic nie dały, podobnie jak wysłanie w sfery astralnych tropicieli.

Mohellen był jednakże wytrwały, a Elita nie na darmo dysponowała siatką szpiegów i informatorów, zarówno w świecie ludzi, jak i wśród mieszkańców astralnego świata. Dlatego po wielu wysiłkach udało mu się w końcu wpaść na trop ciemnowłosego, śniadego żmija o żółtych źrenicach, a gdy powiązano jego opis z pewnym listem gończym, poszukiwania podjęto ze zdwojoną energią.

Cieniutkie nitki tropu biegły w różne miejsca. Do Gyary, gdzie członkowie cechu grabarzy okazali się niechętni do współpracy i nawet kuszeni złotem nie wyjawili niczego użytecznego. Do felczera nazwiskiem Denigis, który – jak na złość – zniknął, jakby zapadł się pod ziemię, nim agenci Elity zdążyli do niego dotrzeć. Do starej biblioteki w Tay, której mieszkańcy za stosowną sumę z rozkoszą sprzedaliby każdego – lecz, niestety, w tym przypadku wiedzieli zbyt mało, by to, co wyjawili, miało jakąś wartość. I do karczmy położonej w Chereon, w ósmym dominium astralnym, gdzie zmiennokształtny wilkostwór powiedział Mohellenowi kilka ciekawych rzeczy nad szklanicą fosforyzującego zielonego trunku, łząc jak z nut, ale na swoje nieszczęście zapomniał, że srebrni magowie potrafią wyczuwać kłamstwo równie sprawnie jak czarni.

Śledztwo nabrało tempa dopiero wtedy, kiedy ludzie Mohellena, idąc za donosem na temat pewnej młodej lekarki, dotarli do szpitala dla ubogich w Shan Vaola. Trafili tam na rozmownego medyka nazwiskiem Kranz, który udzielił im nader interesujących informacji – i zainkasował za nie elegancką sumę.

Potem było już tylko kwestią czasu, nim akolici Mohellena, wytrwale rzucając czary wróżebne i zaznaczając wyniki na mapach sfer, zdołali wyznaczyć najbardziej prawdopodobną lokalizację poszukiwanej enklawy. Gdy następnie wysłano w tamten rejon astralnego szpiega, ten powrócił z wielce ciekawymi wieściami.

Tak ciekawymi, że Mohellen uzyskał od władz Elity pozwolenie, by zorganizować atak.

Dobrze znając Marshię, Anavri spodziewała się, że teraz, gdy wróciła pod jej skrzydła, dawna mistrzyni narzuci żelazną dyscyplinę i zacznie uczyć tego wszystkiego, w czym nie zdążył jej wyszkolić Brune, komentując cierpko jego brak systematyczności i konsekwencji.

Myliła się jednak. Marshia, pochłonięta własnymi sprawami, spędzała teraz całe dni w zamkniętej pracowni, a dziewczęta pozostawiła samym sobie, pod życzliwą kuratelą Zazela. Chowaniec początkowo nie chciał im wyjawić, czym mistrzyni się zajmuje. Na trzeci dzień Lorraine zdołała jednak wydobyć z niego prawdę. Wykorzystując znajomości i powiązania, jakie jej jeszcze pozostały w materialnym świecie, Marshia szukała dla nich obu innych domów, innych opiekunów.

A to mogło oznaczać tylko jedno.

Dopiero teraz, obserwując mistrzynię na co dzień, Anavri zdała sobie sprawę, że mimo wszystkich wysiłków Krzyczącego, by przywrócić Marshii zdrowie, walka w sferach okaleczyła zmiękę nieodwracalnie. Marshia najwyraźniej też przestała się łudzić, że kiedyś odzyska choćby ćwierć dawnej sprawności. I, trzeźwo myśląca jak zawsze, za priorytet przyjęła zapewnienie bezpieczeństwa uczennicom.

Przez trzy kolejne wieczory, przewracając się bezsennie w czyściutkiej, wykrochmalonej pościeli, Anavri zastanawiała się, co je obie teraz czeka. Była skłonna się założyć, że Lorraine trafi pod skrzydła jakiejś bogatej arystokratycznej rodziny – zostanie powierniczką czyjejs córki jedynaczki, a może będzie towarzyszyć na każdym kroku czyjejs sędziwej, niedołęznej babce. Szlachetnie urodzona, wyszkolona w tajnikach etykiety, milcząca, umiejąca wtopić się w tło – bo to wszak już nie tamta Lorraine, o której półtora roku wcześniej plotkowano na wszystkich salonach Szmaragdowej Dzielnicy. Przestała słyszeć głosy umarłych, a z całego repertuaru dawnych dziwactw pozostało jej jedynie ubieranie się na czarno. Anavri nie wątpiła, że jeśli kuzynka uzna za stosowne, bez trudu ukryje przed otoczeniem fakt, że miewa wizje. Tak, Lorraine sobie poradzi.

A ja?...

Coś mówiło jej, że Marshia może chcieć ją oddać pod opiekę komuś piastującemu wysokie stanowisko. Nie tropi się *ka-ira* na dworach władców ani w świtach dyplomatów.

No cóż, zawsze możesz po prostu wybrać samodzielność. Biła się z myślami, nie wiedząc, co byłoby lepsze. Wiedziała, czego pragnęłyby jej ojciec, lecz miało to dla niej coraz mniejsze znaczenie.

Wiedziała też, co doradziłyby jej Brune.

Stopniowo zaczynało do niej docierać, jak bardzo za nim tęskni, i ta świadomość bolała.

Szóstego dnia po kolacji Marshia wezwała Anavri, Lorraine i Zazela do swej pracowni.

– Dziewczęta, musimy pomówić o waszej przyszłości – oznajmiła tonem, w którym pobrzmiwało skrywane napięcie.

Choć w komnacie nie było zimno, Anavri zadrżała. Od chwili, gdy dopiła herbatę i wstała od stołu w jadalni, ciążyło jej nieokreślone złe przecucie. Jakby ta rozmowa miała

przynieść niedobre skutki.

Zerknęła na kuzynkę. Lorraine nie wyglądała na zaniepokojoną ani zmartwioną. Zsunęła z nadgarstka bransoletkę ze srebra i polerowanych muszelek – upominek, który Anavri kupiła dla niej na targowisku na Wyspach Śpiewu – i zaczęła się nią bawić.

Naraz wzdrygnęła się i teatralnie zapatrzyła w przestrzeń. Na tak długą chwilę, że najpierw Zazel, a potem Marshia obejrżeli się na nią ze zdziwieniem.

– Lorraine? – zagadnął ostrożnie chowaniec. – Co widzisz?

Bransoletka wysunęła się z palców dziewczyny i spadła na parkiet.

– Idą! – wykrztusiła w dal patrząca, tocząc wkoło nieprzytomnym spojrzeniem. – Idą tu!

– Ale kto? – Zazel wskoczył na stół, podbiegł do niej. – Kto, Lorraine?

Z rozlewającym się powoli dreszczem zimnej, mdlącej zgrozy Anavri zdała sobie sprawę, że zna odpowiedź, nim ta padła:

– Sre... brni...

Marshia poderwała się z miejsca, przypadła do dziewczyny.

– Ile mamy czasu?! – krzyknęła nieswoim głosem.

Lorraine oklapła, oddychając ciężko. Żmijka potrząsnęła nią.

– Ile mamy czasu?!

Panna Nevers opanowała się nadludzkim wysiłkiem, przełknęła ślinę i popatrzyła na nich już przytomniej, lecz z takim przerażeniem, że Anavri zrobiło się zimno.

– Może kwa... drans...

– Musieli rzucić Mgłę Quislinga – wyjąkał poblady jak ściana Zazel – zabezpieczyć się przed magią wróżebną, inaczej byś...

Marshia nie słuchała go. Podbiegła do bocznego stolika, na którym leżał papier i przybory do pisania. Chwyciła pióro i nakreśliła na kartce kilka zdań, skinieniem dłoni osuszyła atrament, po czym wręczyła Lorraine złożony we czworo list.

– Schowaj i strzeż jak żrenicy oka! Wręczysz go bankierowi Orpiusowi w Bel Ingre, nikomu innemu, pamiętaj! – Zwróciła się do chowańca. – Zabierz ją do materialnego świata i zostań z nią. Nie waż się tu wracać.

Zazel przytaknął bez słowa. Marshia położyła dłoń na jego łysej głowie, a Lorraine przytuliła, krótko i mocno. Potem przywołała Anavri i wcisnęła jej w ręce niedużą, lecz ciężką sakiewkę.

– Złoto – powiedziała krótko. – Będzie ci potrzebne.

Czubkami palców dotknęła czoła dziewczyny, szepcząc coś. Anavri w niemym szoku patrzyła, jak Zazel i Lorraine wkraczają w zwierciadlaną taflę, pulsującą kolorowymi wzorami. Po sekundzie portal się zamknął, lustro znowu było już tylko lustrem.

Przełknęła ślinę. Serce tłukło się w jej piersi niczym spłoszony ptak. Marshia – jak ona to robiła, na Otchłań?! – nadal była lodowato spokojna.

– Biegnij nad staw – rozkazała – i zdematerializuj się tak, żeby zatrzeć za sobą trop.

– Dokąd?

– Jak najdalej, dziewczyno, jak najdalej! Och, na Otchłań, poczekaj... – Mistrzynie rozejrzała się po półkach, chwyciła niedużą, zniszczoną księgę i wetknęła Anavri do rąk. – Weź jeszcze to, przyda ci się. Teraz leć!

Anavri nadal stała jak wmurowana, zastanawiając się, co powinna powiedzieć, jakimi słowami się pożegnać. Marshia chwyciła ją za ramię i popchnęła do drzwi.

– Uciekaj! – krzyknęła.

Na wpół oglupiała Anavri wreszcie ocknęła się z odrętwienia. Gdy zbiegała po schodach, jej kroki dźwięczały echem w pustych korytarzach willi. Nagle poczuła idiotyczną nadzieję, że może tego dnia wcale się nie obudziła i wszystko to jest jedynie snem, koszmarem, z którego ocknie się rano, bezpieczna w swojej komnacie.

Wychodząc na zewnątrz, drżącą ręką schowała sakiewkę i księgę w zanadrze. Nagle uświadomiła sobie, że nie ma płaszcza, bielizny na zmianę, grzebienia, że czyste koszule i różne przydatne drobiazgi leżą spakowane w małej torbie w sypialni. Obejrzała się na pałacyk. Wracać? Nie wracać? Przypomniała sobie przerażone oczy Lorraine i strach popchnął ją naprzód. Pobiegnęła na skróty przez zachwaszczone, nieprzycinane od dawna trawniki, na łączkę, gdzie Brune wieki temu udzielał jej pierwszych lekcji walki.

Nieruchomej tafli stawu nie mąciła najmniejsza zmarszczka. Undyna dawno już opuściła enklawę, odleciały też łabędzie. Anavri odwróciła się, by po raz ostatni popatrzeć na domostwo Marshii. Przełknęła łzy, zamknęła oczy i przywołała z pamięci obraz piaszczystego wybrzeża pod niebem, na którym migoczą obce gwiazdy.

Jak najdalej.

Gdy zalał ją wir kolorów wypełniający bezprześczeń między wymiarami, nagle

przypomniała sobie ostrzeżenia na temat dematerializacji z enklaw i teleportowania się na wielkie odległości, zakrzywionych szlaków astralnych i pętli czasowych. Nie sprawdziła godziny ani układu gwiazd, nie wiedziała, czy zamiast w świecie ludzi nie wyląduje w którymś z tych dominiów sfer, gdzie rządzi Otchłań..

Ale było już za późno, by zawrócić.

Marshia stanęła przy oknie pracowni i czekała. Biss zawisł przy jej ramieniu, strzygąc psimi uszami. Po chwili, czując wahnięcie aury, oboje odetchnęli z ulgą. Żmijka odwróciła się do chowańca.

– Uciekaj, Biss – powiedziała spokojnie. – Ratuj się.

Stwór pokręcił psim łbem.

– Uciekaj – powtórzyła.

Chowaniec zafalował mackami, szepcząc do niej telepatycznie. W milczeniu, ze smutkiem pokręciła głową. Biss warknął cicho, obnażając kły.

Czekali, spoglądając w napięciu na szare pagórki enklawy pod równie szarym niebem. Zegar w pracowni tykał miarowo. Tyk-tyk. Tyk-tyk.

Nagle nad horyzontem zalśniła smuga czerwonej poświaty. Zaczęła się powoli rozszerzać, jakby po drugiej stronie nieba szalał pożar.

Zmysły maga mówiły Marshii wszystko, co musiała wiedzieć. Intruzi przybyli. Neutralizowali zabezpieczenia enklawy. Działali powoli, bez pośpiechu. Wiedzieli, czym grozi uaktywnienie zmierzchu z Rikos.

Miała jeszcze chwilę na załatwienie tego, co konieczne.

Odwróciła się i podeszła do najbliższego z wiszących na ścianach zwierciadeł. Przyłożyła dłonie do tafli, szepcząc formuły w języku magów. Rozległ się trzask; w szkle pojawiła się rysa, potem następne. Rozbiegły się we wszystkie strony, pokrywając zwierciadło pajęczyną pęknięć. Gdy żmijka cofnęła ręce, szkło z brzękiem posypało się na parkiet.

Portal był zamknięty.

Marshia Lavallo powtórzyła operację z pozostałymi zwierciadłami. Kiedy skończyła, podłoga pracowni zasłana była odłamkami szkła, a niebo za oknem jarzyło się czerwienią i pełgały po nim języki ognia.

Zostało bardzo mało czasu. Ze skrytki w ścianie wyjęła rzeźbioną hebanową kasetkę, a z niej puzderko z agatu. Rozejrzała się i dopiero teraz dotarło do niej, że Biss zniknął.

Zmysły maga powiedziały jej, że chowaniec oddała się, frunąc ponad pagórkami. Westchnęła. Nie mogła już nic poradzić – wybrał. Usiadła na krześle w rogu pracowni, machinalnie wygładzając fałdy sukni, i wyjęła z puzderka igłę.

Nie bała się – od zawsze wiedziała, że nie będzie się bać – lecz świadomość tego, co musi zrobić, przejęła ją lekkim dreszczem.

Madelena Rizzi opanowała się prawie natychmiast. Srebrni magowie wdzierali się do jej enklawy, a ona miała jeszcze coś do zrobienia. Należało zatrzeć ślady po uciekinierkach. Zamknęła oczy i znów zaczęła szeptać w języku magów. Na jej skroniach pojawiły się kropelki potu.

Zegar tykał. Tyk-tyk. Tyk-tyk.

Nagle wahnięcie aury było niczym bezgłośny grzmot. Przełamali osłony, nie uaktywniając żadnego z zabezpieczeń. Nie budząc zmierzchu z Rikos. Byli dobrzy. Lepszy niż przypuszczała. Zacisnęła zęby.

Nadchodzili. Czują ich. Jeden Mistrz Elity, piątka akolitów. Biss zajmie ich – lecz nie na długo.

Tyk-tyk. Tyk-tyk.

Po raz ostatni obrzuciła wzrokiem pracownię, a potem przywołała z pamięci twarz swojego mistrza.

Argilu, zabili cię w Domu Godnego Odejścia. Zniszczyli twoją duszę tak, by nie mogła się już nigdy odrodzić w świecie żywych. Ale jeśli nauki ze Świętej Księgi są cokolwiek warte... będziesz na mnie czekał.

Przestrzeń enklawy rozwarła się niczym teatralna dekoracja, ukazując fragment kamienistego pustkowie. Sześć postaci w białych szatach zstąpiło z otworu wprost na porośniętą trawą pagórek.

Za nimi przez szczelinę w osłonach przeleciał chowaniec Mohellena, Yggris, wyglądający jak kruk z długim jaszczurczym ogonem, a w ślad za nim przeszło kolejno siedem mechanoidów – metalowych stworów przypominających bezskrzydłe, stąpające niezgrabnie na dwóch łapach ptaszyska. Gdy już wszystkie zebrały się na pagórku, Mohellen podszedł do

szczeliny. Z fałdów szaty wyjął umocowany na łańcuszku mały srebrny artefakt do rozmów na odległość, zwany różą, bo złożony był z wielu płatków ułożonych w koncentryczne okręgi.

– Weszliśmy – poinformował Akhanię ar Vithanare.

Potem skinął dłonią i przestrzeń spoiła się na powrót, ciemny otwór zniknął. Sześć róż stało się bezużytecznych; przyłożywszy je do ucha, usłyszałoby się jedynie trzaski. Teraz, w enklawie, do której wdarli się jako intruzi, byli odcięci od możliwości komunikowania się z zewnętrznym światem.

– Idźcie do willi – zasyczał Yggris. – Reszta enklawy jest pusta.

Mohellen zasępił się. Czuł niepokój. Poszło za łatwo, zdecydowanie za łatwo. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że – o ile się nie pomylił, odczytując ślady w aurze – tam na zewnątrz, po drugiej stronie osłon, nie tak dawno temu zginął srebrny szpieg, którego Elita nadal uważała po prostu za zaginionego bez wieści w sferach.

Lecz miał pod swoją komendą pięciu akolitów – dwóch własnych podwładnych i troje ludzi Akhanii. Doskonale wyszkolonych, specjalnie przyuczonych do walki z czarnymi magami. A do tego wsparcie w postaci mechanoidów. Teoretycznie nawet gdyby przyszło im się ścierać z równym liczebnie wrogiem – co, jeśli wierzyć zebranych informacjom, nie wchodziło w rachubę – i tak mieliby przewagę. Wprawdzie tylko dwaj najstarsi akolici z Mohellenowego oddziału, Cleot i Poul, mogli się równać pod względem mocy z doświadczonym czarnym magiem, ale za to *ka-ira*, samotne wilki, nie trenowali latami walki w grupie, nie umieli łączyć sił. A najpotężniejszymi ze srebrnych czarów bojowych były właśnie te rzucane wspólnym wysiłkiem przez kilku magów.

– Tam! – Cleot, barczysty, jasnowłosy młodzian w srebrnej masce, wskazał palacyk. – Mistrzu, ona jest tam! I jest sama!

– Chora i słaba – zawtórował Yggris, a jego ślepie błysnęły łakomie.

– Wiem – potwierdził Mohellen. Uniósł różdżkę, której czubek zajaśniał światłem. – Teraz posłuchajcie. Nie będziemy ryzykować, rozdzielimy się. Cleot, ty weźmiesz...

I wtedy znikąd spadł na nich potwór. Wyjąca nieludzko, poruszająca się błyskawicznie kula świszczących, smagających biczy, ciskających trzeszczące fioletowe wyładowania. Mohellen, kierując się czystym instynktem, padł płasko na ziemię, osłaniając się zakłębioną tarczą. Usłyszał wrzask jednego z akolitów, kątem oka dostrzegł, że Yggris pikuje na poczwagę, zionąc błękitnymi płomieniami, lecz chybia – a potem świat rozbłysł oślepiającym blaskiem najczystszej srebrnej mocy.

Choć czterech akolitów połączyło siły, by cisnąć świetlistą sieć, czar chybił, gasnąc nieszkodliwie w powietrzu, a stworzenie zdołało umknąć. Zatoczyło łuk w powietrzu i zaatakowało ponownie. Ale tym razem Yggris zawisł nad swoim panem, osłaniając go, a Mohellen włączył się do walki. Wycelował różdżką we wroga i spokojnie wypowiedział dwa

słowa, zamrażając przestrzeń tak, by na niedużym jej obszarze czas płynął dwadzieścia razy wolniej.

Stwór zawisł w powietrzu niczym w gęstej galarecie – rozpaczliwe ruchy jego macek przypominały teraz powolne figury w jakimś przedziwnym tańcu. Wylądowania, którymi nadal usiłował strzelać w magów, trzeszczały i gasły nieszkodliwie. Mohellen popatrzył z obrzydzeniem na istotę będącą skrzyżowaniem psa i ośmiornicy, po czym zabił ją jednym dobrze wycelowanym grotem energii. Następnie skinieniem dłoni rozproszył anomalie czasową. Zwłoki padły na trawę z nieprzyjemnym głuchym plaśnięciem.

– Chowaniec! – Mistrz Elity niemalże wypułł to słowo.

– Spowił się cz-czarem kamuflującym, dlatego go nie w-wyczuliśmy – wyjąkał Poul, dotykając czoła, na którym smagnięcie macką pozostawiło brzydką, nabrzmiewającą czerwoną pręgę. Mohellen rozejrzał się za pozostałymi. Cleot i najmłodszy z akolitów, Frixus, dyszeli ciężko, lecz fizycznie nie doznali szwanku. Ygggris, również cały i zdrowy, z trzepotem wylądował na trawie. Naissa klęczała nad powalonym Espinem, który potrząsał głową, powtarzając w narastającej panice:

– Bogowie, moje oczy, moje oczy... Nic nie widzę...

– Trafiło go wylądowanie – wyjaśniła sucho akolitka. Mohellen przykląkł przy podwładnym, unosząc różdżkę, by oświetlić jego przerażoną twarz. Nie było na niej widać żadnych obrażeń, lecz źrenice nie zwężyły się pod wpływem światła – pozostały szerokie, zajmując niemal całe tęczówki.

Mistrz Elity wyszeptał kilka słów, kładąc dłonie na czole młodzieńca. Bez efektu. Wyjął spod szaty zawieszony na łańcuszku talizman w kształcie ibisa, chuchnął nań i poleciwszy Espinowi zamknąć oczy, dotknął wisiorkiem jego powiek. Ale i to nic nie dało.

Wstał i ponownie nakazał osłonom wokół enklawy rozchylić się, tworząc szczelinę.

– Ewakuuj się do siedziby Jej Świetlistości Akhanii – zdecydował. – Frixus, ty mu pomożesz.

Następnie sam zbliżył się do szczeliny, aby zameldować przez różę, co się stało.

Najmłodszy z akolitów pomógł towarzyszowi się podnieść i podprowadził go do otworu. Gdy przeszli na drugą stronę i przestrzeń ponownie się zasklepiła, Mohellen schował różę i odwrócił się do swych ludzi.

– Idziemy – rozkazał.

Mechanoidy, które podczas samobójczego ataku chowańca zwinęły się w opancerzone kule – nie potrafiły bowiem nic zdziałać przeciwko tak szybko latającemu wrogowi – rozwinęły się teraz, wysuwając łapy. Wśród zgrzytu i poskrzypywania ruszyły kołyszącym się krokiem za

czwórką magów.

Mohellen zatrzymał się przed willą.

Jeszcze chwilę wcześniej wyczuwał w willi czarną jaźń skażonej magini, a teraz zmysły maga mówiły mu, że w domostwie nie przebywa nikt żywy. Na pewno nie uciekła – każdy z mechanoidów, których metalowe ciała pokryto od wewnątrz mnóstwem wrytych formuł, był jednocześnie chodzącym talizmanem blokującym czarną magię teleportacyjną, a siedem stwarzało blokadę właściwie nie do pokonania. Należało przypuszczać, że schwytana w pułapkę żmijka zastosowała jakiś fortel, kamuflując swoją obecność. Ale i tak jej to nie pomoże.

Po tym, jak w ciągu kwadransa od przekroczenia osłon zmuszony był wycofać z akcji dwóch ludzi, nie zamierzał już podejmować większego ryzyka niż to konieczne. Dlatego najpierw wysłał pięć mechanoidów, by spenetrowały budynek w poszukiwaniu ewentualnych pułapek – zakamuflowanych portali czy ukrytych w przedmiotach kłąt.

Gdy metalowe stwory wróciły, cykaniem i ćwierkaniem raportując, że nie znalazły żadnych zagrożeń, Mohellen i jego akolici wkroczyli do środka. Czujni, osłonięci zaklęciami tarczy, przygotowani na to, że w willi mogą się znajdować zasadzki, których mechaniczne stwory nie zdołały odkryć. Ale nie. Wszystko wskazywało, że mieszkający tu *ka-ira* nie przygotowali na powitanie intruzów żadnych niespodzianek.

Mohellen rozkazał, by mechanoidy zostały na dole i patrolowały teren wokół willi. Sam wszedł z akolitami na piętro, bo wszyscy czworo wyczuwali to, co emanowało z jednego z położonych tam pomieszczeń – echo niedawnej śmierci.

Weszli do pracowni, gdzie od progu uderzyła ich gorąca, budząca odrazę aura czerni, i ujrzeli kobietę.

Siedziała na krześle z głową odchyloną na oparcie. Kilka kosmyków wymknęło się z nienagannej fryzury. Na nieruchomej twarzy zastygł lekki uśmiech.

Mohellen zacisnął zęby. Gestem powstrzymał Naissę, która chciała podejść bliżej i przyjrzeć się zwłokom. Uważnie sprawdził zmysłami maga, czy krzesło ani szaty martwej żmijki nie kryją jakiegś złowrogiej niespodzianki. Upewniwszy się, że nie, podszedł, by obejrzeć ciało.

– *Ka-ira* była tu, ale już jej nie ma – wycedził po chwili, podnosząc złamaną igłę, która wysunęła się ze stygnących palców.

– Więc nie da się przywołać jej duszy z powrotem? – upewniła się Naissa.

Mohellen tylko zaśmiał się sucho.

– Suka przechytrzyła nas. – Popatrzył z nienawiścią na jej znieruchomiałą twarz. – Dobrze i to. O jednego gada mniej. – Wyjął z zanadru małą srebrną puszczkę, ostrożnie schował doń złamaną igłę, po czym odwrócił się do akolitów. – Dalej, nie stójcie jak durnie! Trzeba sprawdzić dom. Może gdzieś zachowały się ślady, które pozwolą nam trafić do jej przyjaciół.

W tymże momencie Poul zachwiał się i z jękiem osunął na ziemię. Mohellen i Naissa przypadli do niego. Młodzieniec poruszył ustami, próbując coś powiedzieć, lecz tylko zakaszłał. Zakrztusił się i nagle zwymiotował krwią oraz strzępami tkanki. Opadł na wznak, łapiąc powietrze niczym wyrzucona na brzeg ryba, i zakrzyczał boleśnie.

– Klątwa! – rzucił Mohellen, po czym wyjął srebrny sztylet, zranił się w dłoń i mocnym, zdecydowanym głosem jął intonować zaklęcia. Cleot mu zawtórował.

– Ten przeklęty chowaniec... – wyszeptala Naissa, która nie знаła recytowanej przez nich trudnej formuły.

Czuła, jak silny jest czar, który w ciągu kilku sekund od uaktywnienia splugawił aurę Poula niczym kozuch glonów na wodzie albo sadza powlekająca od wewnątrz klosz lampy. Porazić tak potężną klątwą sługę srebra – oto moc, o jaką akolitka nigdy nie posadziłaby astralnego potworka służącego źmijom! Lecz śmierć ma wielką moc, a czar przypieczętowany samobójstwem – jeszcze większą.

Kilka minut później, gdy Mohellen i Cleot, spoceni i bladzi z wysiłku, kończyli inkantację, Poul leżał nieprzytomny. Jego twarz pociemniała niczym oblicze wisielca. Spomiędzy opuchniętych powiek sączyły się strużki zielonkawej ropy, a w ustach poruszało się coś ciemnego, pokrytego łuską, co nie było językiem.

Przemieniał się pod wpływem klątwy. Coś wykluwało się w jego wnętrznościach – astralny byt, którego nie można zniszczyć, zabijając ciało nosiciela. Siatka ochronnych zaklęć spleciona w rozpaczliwym pośpiechu przez mistrza Elity mogła ten proces spowolnić, lecz nie powstrzymać.

– Wracam z nim do siedziby Akhanii – zdecydował Mohellen. – Jest szansa, że zdołają mu jeszcze pomóc. Cleot, Naisso, wy zostajecie. Przeszukacie dom.

Rozdział 28: Dusza za duszę

Otworzył oczy i poderwał się, oddychając szybko, w panice. Jego oczy w oszołomieniu rejestrowały szczegóły otoczenia. Wełniany koc, siennik nakryty zgrzebnym prześcieradłem, drewniane belki pochylego sufitu w jego własnej sypialni.

Już dobrze. Śniłeś.

Lecz sekundę później zmroziła go świadomość, że nie, bynajmniej. Nie śnił.

Półprzytomnie przegarnął palcami włosy, dotknął twarzy, natrafił na blizny. Blizny, nie jęczące się rany. Nie było brudu, pokrywającego odzież i ciało. Żadnych śladów bytności... tam.

Nie tym razem.

Choć fizycznie nie doznał żadnego szwanku, wyprawa do Otchłani i wydarzenia, które się tam rozegrały, pozostawiły swój ślad. Skonstatowawszy, że jest z powrotem u siebie w enklawie i nic mu nie grozi, Brune padł z powrotem na posłanie i przespał prawie dobę, budząc się tylko po to, żeby napić się wody.

Kiedy w końcu oprzytomniał na tyle, by wstać, poczuł, że jest głodny jak wilk. Pobieźna lustracja kuchni uświadomiła mu, że ostatnie zakupy zostały zrobione jeszcze przed odejściem Anavri. Czyli tak naprawdę cholera wie ile dni wcześniej, bo z oczywistych przyczyn zupełnie zatracił rachubę czasu. Klnąc pod nosem, wyrzucił resztki zapleśniałego chleba, zjełczałego masła oraz zeschniętej, nieświeżej baraniej pieczeni. Przyniósł ze spizarki suchary, ser, wędzoną rybę, oliwki i ostatnią garść suszonych moreli. Jedząc, zaczął się zastanawiać, czy skontaktować się z Marshią, czy też dać sobie spokój. Nadal miał w pamięci ostatnią kłótnię z nią, ale złość już mu z grubsza przeszła. W przyływie optymizmu uznał, że może jakoś zdołają się dogadać. Tak naprawdę chciał porozmawiać przede wszystkim z Anavri i przekonać ją do powrotu.

Sprawdził godzinę i doszedł do wniosku, że nie ma co się spieszyć – w enklawie Marshii była teraz noc. Równie dobrze mógł się najpierw zająć prozaicznymi sprawami, jak zakupy oraz doprowadzenie chaty do porządku po paru tygodniach snucia się w makowym otępieniu.

Kilka godzin później stanął przed zwierciadłem i spróbował nawiązać kontakt z Marshią, wiedząc, że nawet jeśli zmijka jeszcze śpi, to któryś z chowańców zawsze dyżuruje rankiem w pracowni swojej pani, na wypadek gdyby przyszła jakaś ważna wiadomość od jej sojuszników. Ku jego zdumieniu ani pierwsza, ani druga, ani trzecia próba nie powiodły się; tafla pozostała ciemna i pusta. Najpierw pomyślał, że zwierciadło szwankuje, ale nie – czar, którym było obłożone, nie miał tendencji do wygasania z upływem czasu.

Rozłożył karty, a gdy zobaczył, co pokazują, przygryzł wargę. Działo się coś niedobrego. A w zasadzie, jeśli wierzyć wróżbie – już się wydarzyło. Ale nie potrafił zinterpretować, co konkretnie. Karty miały to do siebie, że ich ostrzeżenie mogło sygnalizować równie dobrze duże kłopoty, co jakiś banalny problem, na przykład chorobę kucharki. Brune po raz czwarty spróbował nawiązać kontakt z Marshią – bez efektu.

Dłuższą chwilę zastanawiał się, co robić. Pełzające na skraju świadomości chłodne przecucie podpowiadało mu, że stało się coś bardzo złego i że cokolwiek to było, nastąpiło nagle – tak nagle, że Marshia nie zdążyła wysłać do niego żadnej wiadomości. W grę wchodziły zasadniczo cztery scenariusze: albo nagle załamanie się stanu zdrowia żmijki, albo atak wrogów z Otchłani, albo napaść jakichś drapieżnych istot z astralu... albo srebrni.

Jeszcze niedawno byłby skłonny uważać, że Marshia wyjdzie cało z każdej opresji, ale teraz, mając w pamięci incydent ze szpiegiem srebrnych, bynajmniej już tak nie sądził. Pytanie brzmiało, czy on sam może teraz w jakikolwiek sposób wpłynąć na bieg wydarzeń. Czy powinien ruszać z odsieczą na ślepo, nie wiedząc, czy enklawa Marshii w ogóle jeszcze istnieje? A może właśnie buszują tam najeźdźcy z któregoś z mroczniejszych dominiów astralnych lub też srebrni po zgarnięciu mieszkańców zastawili pułapkę i teraz czekają, żeby sprawdzić, kto się w nią złapie?

Marshia da sobie radę. Lata doświadczenia. Martwił się przede wszystkim o dziewczęta. O Anavri i pozbawioną daru Lorraine.

Dłuższą chwilę stał niezdecydowany, gapiąc się w zwierciadło. W końcu zaklął, podwinął rękawy i ostrzem sztyletu nakreślił na przedramionach znaki ochronne, a potem sprawdził to i owo na mapach sfer w grymuarze Liseniusa. Po namyśle wyjął ze skrzyni szarfę, którą wyhaftowała dla siebie Anavri i której zapomniała zabrać. Przewiązał się nią w pasie i sprawdził z nawyku, czy ma przy sobie gemmę Eresha. Oddychał szybciej – teraz, gdy już podjął decyzję, chłodne przecucie zmieniło się w lodowate, jednoznaczne ostrzeżenie daru. Pchał się prosto w kłopoty.

Nie pierwszy raz, psiakrew, i nie ostatni.

Opuścił chatę, zszedł nad jezioro i zdematerializował się. Wylądował w środku podmokłej dżungli gdzieś w drugim dominium astralnym, gdzie tęczowe motyle trzepotały wokół gigantycznych skrzypów i paproci. Przeszedł jakieś sto kroków, omijając zwalone drzewa oraz zwisające kurtyny pnączy, i zdematerializował się po raz drugi.

Tym razem, tak jak planował, zmaterializował się na kamienistym pustkowiu w pewnej odległości od enklawy Marshii, na tyle daleko, by jego pojawienie się nie było łatwo wyczuwalne dla obecnych wewnątrz. Błękitny, lśniący bąbel wznosił się w oddali, na pozór nienaruszony. Jednak już z tej odległości Brune czuł, że coś jest nie tak.

Spowił się iluzją niewidzialności, dbając o to, by czar stłumił także jego aurę, i ruszył pieszo w stronę enklawy. Mniej więcej kwadrans później miał już pewność, że pierwsze

wrażenie go nie omyliło.

W aurze enklawy dawało się wyczuć obcą, zimną nutę. Nutę srebra.

Żmij zwolnił kroku, zastanawiając się, co teraz. Wewnątrz enklawy nie wyczuwał gwałtownych wybuchów mocy towarzyszących walce – a to znaczyło, że jest po wszystkim. Zaś jeśli było po wszystkim...

Zdrowy rozsądek nakazywał wynosić się precz. *Nic już nie poradzisz, nie pomożesz, osiągniesz co najwyżej tyle, że złapią i ciebie.* Ale uciec już teraz, nie sprawdzwszy, co się wydarzyło – to nie leżało w naturze Krzyczącego.

Rozejrzał się, wyętzając zmysły maga. Nigdzie wokół nie widział ani nie wyczuwał obecności żadnych stworzeń, ale to nie znaczyło, że oczy i uszy srebrnych nie obserwują okolicy. Wyszeptał słowa wzmacniające jego kamuflaż, po czym sięgnął umysłem do wnętrza enklawy, metodycznie, spokojnie sprawdzając, ilu ludzi znajduje się w środku. Zabezpieczenia nie stanowiły dla niego żadnej przeszkody – teraz były to wszak te same formuły, co w jego własnej siedzibie. Rozpoznawały go i poddawały się jego woli.

Po chwili wiedział już wszystko.

Dwoje magów Elity. Dokładniej – dwoje akolitów. Do tego siedem jakichś mechanicznych stworów ożywionych mocą srebra.

Oraz zwłoki Marshii Lavallo.

Brune zacisnął zęby. Naraz drgnął, wyczuwając wahnięcie aury. Kilka kroków dalej pojawiła się znajoma mglista postać.

– Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli tu się zjawię, zanim zrobisz coś głupiego – powiedziała Anyah.

– Co masz na myśli?

– Powiedz mi z łaski swojej, jaki masz plan?

– Zlikwidować tych drani. – Wskazał enklawę.

– Dwójkę srebrnych? – Nie był pewien, czy w jej głosie słyszy niedowierzenie, czy ironię, ale to nie miało znaczenia.

– Jeśli nie zamierzasz mi pomóc, to przynajmniej nie przeszkadzaj – warknął.

Z namysłem przyłożyła palec do ust, potem skinęła głową.

– Pomogę ci.

Na każdym przedmiocie, jakiego człowiek używa, osadza się jego aura. Stosunkowo słabo na odzieży, silniej na obiektach z metalu, takich jak biżuteria, sprzączka od pasa albo noszona stale przy sobie broń.

Ale na przedmiotach, które pozostały w komnatach willi, nie przechował się nawet ślad aury. Nie ulegało wątpliwości, że wiszące w szafach suknie były użytkowane, jedwab wciąż jeszcze pachniał perfumami. Naissa metodycznie spenetrowała wszystkie trzy kobiece sypialnie, sprawdzając pościel, grzebienie, pantofelki i ozdoby. Nic. Zacisnęła zęby.

Zostali przechytrzeni.

Śmierć ma wielką moc. Akolitka skłonna była się założyć o najcenniejszy z posiadanych talizmanów, że martwa żmijka zapłaciła własnym życiem za to, by zatrzeć trop swoich towarzyszek, kimkolwiek były.

Skoro tak, spróbujemy inaczej. Przeszła do gabinetu. Zmysłami maga czuła, że Cleot nadal przebywa w pracowni; reszta domostwa, pusta, trwała w martwej ciszy. Naissa zaczęła przeglądać listy i dokumenty leżące na eleganckim sekretarzyku z orzechowego drewna. Po chwili syknęła przez zęby; tu także nie było niczego, co mogłoby się przydać, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Kurtuazyjne pozdrowienia podpisane inicjałami, jakiś dwuznaczny bilecik, suchy raport od zarządcy majątku wyliczający ilość zboża złożoną w spichrzach, w którym nie podano nazwy posiadłości... I nabazgrana niewprawną ręką, pełna błędów ortograficznych skarga dzierżawcy do „Jaśnie Wielmożnego Pana”, podpisana „Jakob Grint”. Akolitka tylko pokręciła głową; Jakobów Grintów musiały w Siedmiu Krainach żyć całe setki. Dwa ostatnie listy pisane były w języku sylfów, zawijasami i robaczkami, których nie umiała odcyfrować. Po namyśle zgarnęła wszystko – niech mistrz im się przyjrzy, może on zdoła wyczytać więcej.

Nagle uniosła głowę, niepewna, czy usłyszała skrzypnięcie podłogi, czy tylko jej się zdawało. Nasłuchiwała chwilę, po czym wróciła do przeszukiwania sekretarzyka.

Nie wydała krzyku, kiedy ostrze rapiera przeszło jej pierś.

Sekundę później jej ciało zaczęło czernieć, zwęglać się i rozpadać w oczach.

Śmierć Naissy wybuchła w świadomości Cleota lodową eksplozją. Akolita zatoczył się na ścianę, zasłaniając oczy. Chwilę później był już w stanie myśleć trzeźwo. Nie wyczuwał w enklawie obecności żadnego intruza – zatem akolitka musiała uruchomić jakąś pułapkę ukrytą w

tym przeklętym domu.

Chwycił różę do rozmów na odległość, lecz zaraz wypuścił ją z ręki, słysząc jedynie trzaski. Stojąc bez ruchu, sięgając umysłem w przestrzeń, usiłował dociec, co się stało. Wyrzwał za okno – mechanoidy zignorowały wahnięcie aury, nadal patrolowały obszar wokół willi, posłuszne rozkazowi Mohellena.

Co robić? Naissa nie żyła – dar mówił mu to z całą pewnością. Cokolwiek ją zabiło, niewyczuwalne dla zmysłów maga, a umiejące zneutralizować wpływ potężnych srebrnych talizmanów ochronnych, mogło zabić i jego. W czasie krótszym niż potrzeba, aby przeanalizować tę kwestię, Cleot zdematerializował się, lądując na trawniku przed willą, i dmuchnął w piszczałkę, którą zostawił mu Mohellen. Niesłyszalny dla ludzkiego ucha świst był sygnałem przyzywającym mechanoidy.

Osloniwszy się na wszelki wypadek czarem niewidzialności i czarem tarczy, akolita czekał, aż wszystkie przybiegną do niego na swych pokracznych metalowych łapach. Gdyby ktoś doznał szwanku, konstruktorzy z Wyspy Łabędzi nie byłiby szczęśliwi.

Gdy zgromadziły się na trawniku, wśród cichych zgrzytów i pobrzękiwania, błyskając ognikami szklanych ślepi, Cleot przeliczył je i zaklął cicho – jednego brakowało. Spojrzał w stronę ciemnych okien pustej willi, próbując zdecydować, co zrobić.

Nie wiedział jeszcze, że bez względu na to, jaką podjąłby decyzję, i tak było już za późno.

Spięty i czujny, akolita z daleka wyczułby obecność zmija mimo najlepszych czarów kamuflujących. Ale przez zasłonę, jaką rozsnuła wokół swojego podopiecznego demonessa, nie miał szans, by wyczuć cokolwiek.

Aż do momentu, gdy niewidzialny wróg zaatakował i wszystko zniknęło w sinym blasku paraliżujących magicznych wyładowań.

Wyczuwając obcą, czarną aurę, mechanoidy rzuciły się ku atakującemu, lecz powstrzymała je niewidoczna telekinetyczna bariera. Po chwili zaczęły miotać się bezładnie, wymachując kończynami i dobywając z metalowych gardeł rozpaczliwe dźwięki, a pomiędzy nimi zakłębił się mglisty opar – to demonessa postanowiła się nimi zająć.

Żmij przykląkł nad nieprzytomnym akolitą, by sprawdzić, czy delikwent oddycha i czy nie doznał na przykład wylewu. Brune nie zamierzał zafundować mu trwałych obrażeń, a jedynie pozbawić przytomności na kilka godzin. Z ulgą skonstatował po chwili, że chyba się udało. Potrzebował do swoich celów żywego srebrnego maga – nie trupa i nie ciała w śpiączce.

Zerknął ku mechanicznym stworom. Dwa już leżały bez ruchu na trawie; na oczach żmija z donośnym brzękiem blach dołączył do nich trzeci. Pozostałe, widząc to dały dowód, że w ich mózgach jednak rezyduje jakaś namiastka rozumu, bo zaczęły uciekać. Po krótkim namyśle Brune przelewitował ciało nieprzytomnego akolity przez próg willi, sam wszedł do środka, zatrzasnął drzwi i kredą nakreślił na nich od środka znak broniący mechanoidom przystępu do wnętrza domu. Potem, przez cały czas podtrzymując akolitę w powietrzu przed sobą, wspiął się po schodach na piętro, do pracowni Marshii. Tam ostrożnie złożył go na podłodze i otarł pot z czoła – tak długie utrzymywanie czaru lewitacji zmęczyło go niemal w równym stopniu, co dźwiganie delikwenta na własnych plecach.

Demonessa, która zostawiła ocalałe mechanoidy w spokoju i przypląnęła tu za nim, zawisała w powietrzu z pytającym wyrazem twarzy.

– Zawołaj tu twojego ojca – rozkazał Krzyczący.

– Co ty kombinujesz? – zdziwiła się.

– Chcę mu zaproponować układ. Dusza tego srebrnego drania za moją. To chyba uczciwa wymiana?

– Dusza... – Córka Spalonego Władca zagapiła się na niego tak, jakby bredził.

– Co, chcesz powiedzieć, że tak się nie da? Znam wasze prawo, Anyah. On jest magiem i ja jestem magiem. Dusza za duszę. Zawołaj tu ojca.

Anyah otworzyła usta, jakby chcąc coś powiedzieć, ale zrezygnowała i zdematerializowała się.

Żmij czekał, zaciskając zęby. Gdy już zaczynał się zastanawiać, w którym momencie powinien zapomnieć o układach z Doliną Popiołów i wynosić się precz, powietrze na środku komnaty zadrgało i znikąd spłynął kłęb mgły, formując się w dwie postacie.

Demon o czarnych łabędzich skrzydłach popatrzył pytająco na żmija. Brune wskazał leżącego.

– Proszę, o królu. Srebrny mag, żywy, cały i w miarę zdrowy, tylko trochę... uszkodzony. Weź sobie jego duszę zamiast mojej, a mnie puść wolno.

Spalony Władca zaśmiał się z wyraźną aprobatą.

– No, no, Anyah – zwrócił się do córki. – Jest jeszcze bezczelniejszy, niż myślałem.

Demonessa nic nie odrzekła. Sprawiała wrażenie wystraszonej.

Spalony Władca z namysłem patrzył na nieprzytomnego akolitę. Przykląkł i położył mu rękę na czole, później zadarł powiekę i zajrzał w oko. Cmoknął.

– Za taką cenę, mój agencie, możesz kupić najwyżej kilka lat wolności. Ale w porządku. Skoro tak bardzo ci zależy... niech będzie. Niech będzie, Deuvenie.

Zawiesił głos. Żmij patrzył wyczekująco.

– Mogę ci ofiarować siedem lat, licząc od teraz. Pragnę zaznaczyć – w głosie demona zabrzmiała nutka groźby – że ta oferta nie podlega negocjacji. Albo się zgadzasz, albo nie.

Krzyczący zakrył dłonią oczy. Wahał się zaledwie przez moment.

Siedem lat wolności... Lepsze niż nic.

– W porządku – powiedział wolno. – Niechże tak będzie. Przez siedem lat trzymacie się z daleka, nie śledzicie mnie, nie ingerujecie w moje życie... i nie zabijam dla was. – Wypowiadając to ostatnie, zawahał się, prawie pewien, że demony zaprotestują. Ku jego zaskoczeniu Spalony Władca spokojnie skinął głową.

– Umowa stoi, człowieku. Masz na to, przy świadku, moje królewskie słowo.

Wyciągnął rękę. Żmij uściśnął ją nieufnie. Wydało mu się, że w niebieskich oczach Favilla dostrzega błysk drwiny, ale może mu się tylko zdawało.

Anyah spuściła głowę i objęła się ciasno ramionami. Była demonem, Brune nie potrafił wyczuć jej emocji, ale wystarczyło popatrzeć na jej twarz.

– Trzeba zniszczyć tę enklawę – odezwała się, z pozoru spokojnie. – Poradzisz sobie sam? Możemy...

– Poradzę sobie – uciał.

– Dobrze. Nic tu po nas, córko. Zabierz tę nieszczęsną ofiarę i wracamy. – Spalony Władca dał znak demonessie i oboje rozplynęli się w powietrzu. Wraz z nimi zniknęła też nieprzytomny akolita.

A więc skończone.

Skupiając się z powrotem na teraźniejszości, Brune rozejrzał się po pracowni Marshii. Pospieszenie zebrał księgi i pergaminy na tyle cenne, że nie chciał ich tu zostawiać na zmarnowanie. Zawinął je w jedwabny obrusik z bocznego stolika, tworząc zgrabny pakunek. Potem pozgarniał z półek drobiazgi, które mogły mu się przydać – kilka fiolek z ingrediencjami, szczerozłoty sztylet do rytuałów, mały globusik astralny. Pochował wszystko po kieszeniach. Działał jak automat, teraz nie było miejsca na emocje. Zawahał się nad kryształową kulą wróżebną, ale przypomniał sobie, że artefakty tego typu nie zawsze akceptują nowego właściciela. Z żalem pomyślał o bibliotece, ale nie było czasu na przeglądanie zgromadzonych tam dzieł, żeby wybrać dwa czy trzy najcenniejsze tomy. Zresztą z tego, co wiedział, Marshia

przechowywała wszystkie księgi magiczne w pracowni, a traktatów o historii, geografii czy sztuce sprawowania władzy, choćby spisanych przez najwybitniejszych autorów, nie potrzebował.

Nie należało już dłużej zwlekać. Ale nie mógł odejść bez pożegnania. Podszedł do martwej siostry w darze i naraz odkrył, że całe jego opanowanie było jak warstewka lodu na rzece, tak cienka, że można ją skruszyć uderzeniem obcasa.

Przez ściśnięte gardło wyrecytował w mowie magów słowa pożegnania. Dotknął dłoni Marshii, a po chwili wahania delikatnie pocałował ją w chłodne czoło.

Potem zdematerializował się, lądując w kamienistym terenie tuż poza granicą enklawy, nieopodal miejsca, gdzie rozegrała się walka z wysłannikiem srebrnych.

Nakreślił na ziemi odpowiednie symbole i zaczął recytować skomplikowane frazy w języku magów, odruchowo sięgając umysłem w przestrzeń, sprawdzając, czy nie zbliżają się srebrni. Ale nikt się nie zjawiał.

Osłony enklawy były teraz tak słabe, że wystarczyło zdjąć formułę stabilizującą, by błękitna, lśniąca kopuła zapadła się niczym pęcherz, z którego uszło powietrze, po czym zniknęła, odsłaniając wewnątrz: pagórki porośnięte szarą trawą i widoczny w oddali pałacyk. A potem zadziałał ostatnie z ochronnych zaklęć Marshii i budynek zaczął topnieć w oczach niczym rzeźba z cukru wrzucona do wody. Po chwili nie było już po nim śladu.

Następnie zabrzmiał grzmot, powietrze zadrgało i zniknęły też same łąki – rzeczywistość sfer pękła na moment, natychmiast spajając się na powrót. Teren otaczający willę powrócił do materialnego wymiaru, skąd lata wcześniej został wyrwany. Lecz już bez willi – ta rozpadła się, rozplynęła bez śladu w bezprzestrzeni między wymiarami. Ściany, meble, dywany, ozdoby, ciało chowańca i ciało żmijki – wszystko wsiąkło w pustkę. Ostatni, pośmiertny popis czarnej sztuki w wykonaniu Marshii Lavalles.

Brune dopiero teraz poczuł, że nogi uginają się pod nim z wyczerpania. Usiadł ciężko na ziemi.

Był wolny. I nie czuł z tego powodu radości ani satysfakcji. Nie czuł zupełnie nic.

A potem błysnęła mu chłodna, trzeźwiąca myśl.

Zazel. Lorraine.

Anavri.

Rozdział 29: Daleko, daleko

W tylnej salce karczmy przy niskim stoliku siedzieli na matach: chalkiryjski kupiec nazwiskiem Meddis, niejaki Obazi, starszy jednej z tutejszych wiosek, oraz Anavri w przebraniu chłopca. Przed nimi stały szklane czarki, karafka wody różanej, talerz tłustych kokosowych ciastek oraz haftowana sakiewka wypełniona perłami.

Budynek, choć nieduży, był murowany, o grubo bielonych ścianach, więc nawet w południe panował tu przyjemny chłód. Za zasłoną z nanizanych na sznurki koralików widać było fragment głównej sali, gdzie kilku marynarzy popijało palmowe wino i rzadkie, kwaśnawe piwo, dłubiąc w zębach i spluwając. Na zewnątrz z nieba lał się żar.

– Czteryście? Niech się pocałuje – warknął Meddis, pleczysty, wąsaty jegomość.

Wyspiarz dystygowanym gestem wziął ciasteczko i wsunął je do ust. Jego krągłe oblicze, podobne do wypolerowanej miedzianej patelni, nie wyrażało żadnych uczuć.

– Wielce dostojny Obazi – przetłumaczyła Anavri – pan Meddis nie może się, niestety, zgodzić na proponowaną przez ciebie cenę.

Po półgodzinie dalszego targowania się transakcja została w końcu zawarta i nieszczęsne perły zmieniły właściciela. Anavri otarła pot z czoła i duszkiem wypila czarkę wody różanej. Obazi schował należność, po czym wyszedł. Meddis przywołał karczmarza i zamówił obfity obiad.

Dziewczyna przeszła do głównej sali i usiadła w swoim kącie, blisko wejścia do kuchni. Zza uchylonych drzwi jak co dzień sączył się melanz zapachów: słodko-kwaśny wieprzowy gulasz z marynowanymi jarzynami, pszenne placki *chok*, pikantna pieczona ryba, ryż z rodzynkami i cynamonem. Anavri przełknęła ślinę; doskwierał jej głód, ale musiała cierpliwie czekać, aż karczmarz zawoła, żeby *talmene* Fabien przyszedł coś zjeść. Wiedziała, że nie stanie się to prędko, bo o tej porze dosyć często pytano o jej usługi.

Gospoda mieściła się na wyspie Suniz, najbardziej wysuniętej na północ, największej i najludniejszej z całego archipelagu. Obfitowała w klientów niezależnie od pory dnia; kupcy, żeglarze i kapitanowie spotykali się tu, aby wymieniać wieści i zawierać transakcje. Anavri dziękowała gwiazdom za wykształcenie panny z dobrego domu. Ojciec kiedyś zakładał, że być może wyda ją za mąż za wysokiego urzędnika w koloniach lub dyplomatę, a teraz, znając biegle dwa obce języki, mogła jakoś przetrwać w tym wielokulturowym tyglu, oczywiście przez cały czas udając chłopca. Brakowało jej lepszych pomysłów. Cały jej majątek składał się teraz z odrobiny złota, paru kupionych tutaj ubrań i starego traktatu o podstawach wiedzy magicznej, do którego nawet nie zaglądała, bo sam widok tej księgi sprawiał, że przypominała sobie pożegnanie z Marshią i do oczu napływały jej łzy. Żyła z dnia na dzień; wszystko, co udawało się jej zarobić, dostawał właściciel gospody w zamian za skromne wyżywienie oraz zakwaterowanie w nędznej izdebce, nawiedzanej przez karaluchy i pająki. Wiedziała, że musi

znaleźć jakieś lepiej płatne zajęcie, i to takie, które nie będzie wymagało ciągłego kontaktu z ludźmi. Wprawdzie srebrni magowie rzadko bywali na Wyspach Śpiewu, ale nie miała najmniejszej ochoty odkryć kogoś dnia, że zmuszona jest usiąść twarzą w twarz z jakimś sługą Elity i rozmawiać z nim jakby nigdy nic.

Rozwiązanie najbardziej oczywiste, czyli zaoferowanie swych usług tutejszej gildii przestępczej, odrzucała ją. Nie umiała przecież, jak Krzyczący, warzyć eliksirów ani leczyć skutków klątw. Nie sądziła, by ktokolwiek zdrów na umyśle chciał z niej uczynić płatnego zabójcę, ale dzięki iluzjom oraz telekinezie mogłaby być świetnym złodziejem.

Wprost idealne zajęcie dla córki Alaina Vaneisen.

Poza tym bała się tych ludzi – bo rozpoznawała ich z daleka, bez względu na to, czy byli obdarci i zbirowaci, czy też grubi, wystrojeni i dostojni. Mieli martwe oczy, a gdy wypili za dużo palmowego wina, słyszała ich myśli, śmierzące jak rybie wnętrzności. Czasem udawało się jej spostrzec, jak porozumiewają się niby to przypadkowymi gestami, jak sakiewka czy kilka złotych monet zmieniają właściciela. Szybko odwracała wtedy wzrok. Na nią szczęśliwie nikt nie zwracał uwagi – przez karczmę przewijało się wielu jasnowłosych talmeńskich marynarzy – choć wiedziała, że jest bezpieczna tylko tak długo, dopóki w jakichś niefortunnych okolicznościach nie wyjdzie na jaw jej płeć.

Przesiadując tutaj dzień po dniu, przysłuchując się rozmowom, zdążyła się zorientować, że kapitanowie pływający po niebezpiecznych wschodnich wodach chętnie zatrudniają na swych statkach zaklinaczy wiatru, członków alkaryjskiego bractwa posiadającego od Elity specjalną dyspensę na posługiwanie się mocą. W pierwszym odruchu dostrzegła w tym nadzieję dla siebie, lecz szybko nabrała wątpliwości: cóż z tego, że miała intuicyjną łatwość posługiwania się żywiołem powietrza, skoro nikt nigdy nie uczył jej, jak chronić statki przed wichurą i wysoką falą albo jak przegonić rozhulane sylfy, gdy zapragną zatopić żaglowiec ot tak, dla zabawy?

Co dzień przed świtem, skryta pod iluzją niewidzialności, szła boso na plażę, żeby się wykąpać w morzu. Sięgała wtedy darem w przestrzeń, starała się wyczuć prądy powietrza i cichą harmonię Ekwilibrium. Potem przywoływała moc i delikatnie przyzywała wiatr lub uciszała go. Nigdy w najmniejszym stopniu nie zaburzyła równowagi prądów Zmroczy. Na Wyspach Śpiewu trwała teraz sucha pora roku, ale ilekroć Anavri czuła, że po południu pogoda się zmieni, że nastąpi krótkotrwała, gwałtowna burza z ulewą – tak właśnie się działo. Czasem przychodziły też spontaniczne zachwiania, w trakcie których księżyc zmieniał barwę na szafirową lub czerwoną, wiatr niósł szluchy i dziwne, niezrozumiałe okrzyki, a niekiedy zaczynał padać topniejący w oczach śnieg. Miejscowi bali się wtedy wychodzić z chat, a jeśli już musieli wystawić nos za próg, zasłaniali twarze, wierząc, że inaczej mogą ich urzec duchy zmarłych. Anavri nie obawiała się zachwiań, ale ilekroć patrzyła na wiszący nad palmami szkarłatny księżyc, przypominał się jej Krzyczący. Opadające nieporządnie włosy, plama cierpienia wypalona na policzku, zapach dymu i kamfory. Schrypnięty głos i ostrożny, ciepły dotyk śniadych dłoni.

Czasem rozpaczliwie pragnęła, żeby ją tutaj odnalazł. Kiedy indziej, gdy nad wyspami trwała noc, a ona przewracała się z boku na bok na swym nędznym pośłaniu, bo upał nie

pozwalał zasnąć, nabierała chłodnej pewności, że Brune nie żyje. Lub też – że żyje, ale nie ma motywacji, by jej szukać. I kto wie, może tak było lepiej.

Może tak było lepiej.

– Nie obawiaj się, panie. Ja, Koren Lefeu, ręczę honorem, że dopłyniemy na wyspę Boro wystarczająco szybko, byś zdążył tam załatwić swe interesy.

Poirytowany męski głos, mówiący po nedgvarsku niezbyt dobrze, ze śpiewnym chalkiryjskim akcentem. Anavri drgnęła i poszukała wzrokiem mówiącego.

Czarnowłosy młodzieniec w stroju marynarza z północy – rozchełstana z przodu lniana koszula, hajdawery i wysokie buty – odchylił się do tyłu na ławie, splatając ramiona na piersi. Za barwną szarfę, która zastępowała mu pas, zatknięte miał dwa długie noże o zakrzywionych ostrzach. Towarzysząca mu kobieta, ubrana podobnie i podobnie uzbrojona, zmarszczyła brwi.

– Wypłyniemy, kiedy naprawy będą ukończone, to chyba logiczne. Bez obaw, szacowny Zaimie, o tej porze roku „Koziorożec” jest w stanie dotrzeć na wyspę Boro w trzy tygodnie.

– Nawet bez sprawnego zaklinacza? – naciskał dalej Zaim, brzuchaty i brodaty Nedgvarczyk w szacie z frędzlami. Anavri wyteńczyła słuch.

– Trzy tygodnie – powtórzył z naciskiem młodzieniec.

Jego rozmówca mruknął coś z niezadowoleniem, po czym wstał i skłonił się nisko, na co Chalkiryjczycy odpowiedzieli jedynie skinieniami głowy. Kiedy Nedgvarczyk opuścił karczmę, kobieta spojrzała na towarzysza.

– Widzisz? – powiedziała niegłośnie w ojczystym języku. – Już się rozniosło, że Fulp nie daje sobie rady, odkąd oberwał tą cholerną kłutwą.

– Powiedziałem, że znajdę mu kogoś do pomocy, i tak zrobię. Mamy kilka dni, rozejrzemy się, popytamy. I tak musimy czekać, póki nam nie połatają steru.

– Bracie, ale gdzie znajdziesz podszkolonego zaklinacza wiatru, który zgodzi się współpracować z Fulpem? W pełni wyszkoleni szukają samodzielnych posad, a branie podrostka nie ma sensu, bo wszak potrzebujemy kogoś, kto już coś umie...

Mówili jak szlachta i mimo zawiadackiej aparycji oraz noszonej ostentacyjnie broni nie wyglądali na piratów. Ich aury tchnęły życiem, śmiałością, swobodą oceanu. Anavri podjęła decyzję. Wstała i podeszła do nich.

– Czy dobrze mi się zdaje, szlachetni... – miała powiedzieć „szlachetni panowie” i w ostatniej chwili ugryzła się w język – że poszukujecie zaklinacza wiatru?

Cisza.

Dwie pary czarnych oczu zmierzyły ją badawczym wzrokiem. Milczenie przedłużało się; Anavri czuła, jak na skronie występuje jej pot. Potem młodzieniec wskazał stół.

– Proszę, siadaj, przyjacielu. Jestem Koren Lefeu z Chalkiru, kapitan „Koziorożca”, a to mój drugi oficer, Adrea Lefeu.

Siostra – pomyślała ze zdziwieniem Anavri, patrząc na ich twarze. Adrea, atrakcyjna kobieta o chmurnym wejrzeniu i lekko drapieżnym profilu, sprawiała wrażenie nieco starszej od brata. Jej włosy spływały czarną kaskadą, przewiązane na czole szkarłatną chustką, a w uszach kołysały się duże kolczyki z masy perłowej.

– Jak masz na imię, chłopcze? – spytała.

– Fabien. – Głos Anavri nawet nie zadrżał. – Jestem... byłem, ee, uczniem wędrownego zaklinacza wiatru, ale mój mistrz zachorował i zmarł... kilka tygodni temu.

– Ile masz lat? – zapytał Koren.

– Dwadzieścia.

Popatrzyli na siebie. Anavri wyczuła ich nagle obudzoną nieufność i pożałowała, że nie skłamała, że jest młodsza. Jeśli kandydatów na zaklinaczy przyjmowano do terminu w wieku jedenastu, dwunastu lat, jak w wielu innych cechach, to dwudziestolatek powinien już dawno być nie uczniem, a czeladnikiem.

Koren Lefeu bez pośpiechu sięgnął po czarkę, napił się palmowego wina, po czym oparł łokcie na stole.

– No dobrze, Fabienie. Trzeba ci wiedzieć, że „Koziorożec” to trójmasztowiec, brygantyna, przypuszczalnie najszybsza na tutejszych wodach. Najczęściej pływamy między Wyspami Śpiewu a wyspą Boro, przewozimy trochę towaru, pocztę i zwykle również pasażerów. Bywa, że najmujemy się do ochrony konwojów. Na tych morzach oprócz piratów grasują krakeny, morskie mamuny i dziwy, zdarza się też, że statki, które zawędrują zbyt daleko na południe, przekraczają granicę wymiarów i giną bez wieści w sferach. Nasz zaklinacz jest zdolny i doświadczony, lecz odkąd w walce oberwał klątwą, choruje. Czasem przez kilka dni nie jest w stanie pełnić swych obowiązków. Dlatego zdecydowaliśmy się nająć dla niego pomocnika. Co potrafisz?

– Umiem wezwać i uciszyć wiatr. Przywołać i rozproszyć mgłę. Umiem wyczuć, kiedy nadchodzi sztorm albo zachwianie Ekwilibrium... – Urwała, ponownie wyczuwając ich konsternację. Koren popatrzył na siostrę; ta zmarszczyła brwi i wykonała dłonią drobny gest. Potem znowu wbił spojrzenie w Anavri.

– Pochodzisz z Talme, co?

– Znad Zatoki Snów.

– Ale twój mistrz był z alkaryjskiego bractwa?

– Tak.

– Hm. – Dopił wino i krzywiąc się, odstawił czarękę. – Ależ szczyzny tu dają, bodaj ich... Pływać umiesz?

– Tak.

– A walczyć?

– Jeśli trzeba. – Przezornie nie sprecyzowała, jaki rodzaj walki ma na myśli.

Mierzył ją pełnym namysłu wzrokiem i Anavri nagle poczuła irracjonalny lęk, że jakimś sposobem przeniknął jej kamuflaż. Ale nie, to było niemożliwe.

– Rozmawiałaś kiedyś z sylfem?

– Tak – odrzekła, mając nadzieję, że nie spytają, w jakich to było okolicznościach. Chętnie spytałaby, na co choruje ich zaklinacz, ale powstrzymała się.

Wbrew sobie odkryła, że wpatruje się w Korena Lefeu. Miał smagłą, śmiałą twarz o wydatnych kościach policzkowych, ze schludnie przystrzyżoną bródką. Złoty kolczyk w uchu, na odsłoniętej, szczupłej piersi kilka wytatuowanych symboli – dziewczyna rozpoznała prostą formułę mającą chronić od śmierci w walce.

Adrea szepnęła coś bratu na ucho, ten pstryknął palcami i wstał.

– Chodź no na zewnątrz, gości Fabienie.

Anavri przełknęła ślinę. Dar nie sygnalizował jej żadnego zagrożenia, ale i tak czuła się niepewnie, wychodząc z dwójkiem uzbrojonych nieznajomych. Karczmarz odprowadził ich wzrokiem.

Poszli między palmami w stronę plaży, a potem brzegiem wody. Koren nie odezwał się, póki nie znaleźli się dosyć daleko od karczmy. Morze, spokojne jak jedwab, migotało w blasku słońca.

– Widzisz ten kamień? – Wskazał wygładzoną przez fale bryłkę granitu wielkości dużego jabłka. – Jeśli podniesiesz go, nie używając rąk, przyjmuję cię.

Anavri zawahała się. *Pułapka* – zaszeptał rozsądek – *to na pewno pułapka!* Ale w aurze Korena Lefeu nie wyczuwała fałszu. Intuicyjnie podjęła decyzję. Przywołała moc, błyskawicznie uniosła kamień telekinezą, złapała go i zaprezentowała na dłoni.

Adrea uniosła brew, spojrzała na brata. Ten skinął głową.

– Żeglując na wyspę Boro, lepiej mieć na pokładzie *ka-ira* niż tylko chorego zaklinacza wiatru – powiedział cicho. – Nawet jeśli *ka-ira* zna alkaryjskie bractwo wyłącznie ze słyszenia. Zatrudniam cię, Fabienie. Pakuj manatki. Wypływamy za cztery czy pięć dni, ale równie dobrze możesz jeszcze dzisiaj poznać swojego nowego mistrza.

Anavri z bijącym sercem skinęła głową. I pomyślała, z nagłym ukłuciem smutku, że Krzyczący byłby z niej dumny.

Ponad wznoszącą się w górskiej dolinie wieżą pełzły po niebie szmaragdowe i turkusowe rozbłyski. Niegroźny efekt uboczny czarów, jakie dopełniały się w dole – echo, rezonans wibrujący we włóknach Zmroczy.

Mohellen ar Vanth zatrzasnął księgę. Popatrzył na maszynę astrologiczną stojącą w rogu komnaty. Słońce było w znaku Małpy, księżyc w znaku Dziewicy, a układ siedmiu ważnych konstelacji sprzyjał srebru.

Po tym, co wydarzyło się w enklawie, którą zdobyli, rozpętała się burza, a Mohellen znalazł się w jej epicentrum. Tylko i wyłącznie Opiekunce Eume zawdzięczał to, że uniknął natychmiastowej, surowej kary. Akhania zdołała przekonać Radę Elity, że nieostrożnością zawinił nie on, a akolici, których pozostawił w siedzibie żmijki. Przedstawiła na tyle przekonujące argumenty, że Mohellena nie tylko nie ukarano, ale pozwolono mu kontynuować śledztwo.

Tożsamość mordercy udało się zidentyfikować nadspodziewanie łatwo; umiał wprawdzie przybierać różne postacie, ale nie maskował się przed magią wróżebną, może nie posiadając po temu dostatecznej wiedzy. Jego imię nie zaskoczyło Mohellena. Zmotywowało go jedynie do zdwojenia wysiłków mających na celu ujęcie gada. A teraz, gdy doniósł Akhanii i Radzie, że nareszcie jest na właściwym tropie, dano mu szansę, by się zrehabilitował.

Na marmurowej posadzce pracowni widniał wzór z przecinających się okręgów i rombów, nakreślony za pomocą białego piasku. W jego centralnym punkcie w powietrzu migotał zielony płomień, nie dymiąc i nie wypalając się. A wewnątrz płomienia lewitowała buteleczka zamknięta szklanym korkiem na szlif.

Na oczach maga płomień zmienił barwę na błękitną, a potem zgasł. Buteleczka nadal trwała w powietrzu, podtrzymywana przez zakłęcie lewitacji. Dziewięciostopniowa procedura dobiegła końca – eliksir dojrzał.

Mohellen bez pośpiechu obmył dłonie w srebrnej misie, po czym wyjął ze skrzyni szarfę

z wyhaftowanymi symbolami i przepasał nią swoją szatę.

Ostrożnie ujął buteleczkę, odkorkował ją i powąchał zawartość. Zielonkawa, opalizująca ciecz pachniała metalicznie, jak świeżo wykuta i naostrzona klinga.

Wspomniał dwójkę swych akolitów – martwą Naisę i zaginionego bez wieści Cleota. Jeden błąd, jedna nierozsądna decyzja... Pomści ich, zarazem ratując własny honor. Musi pomścić. Bo w przeciwnym razie czeka go degradacja, może nawet uwięzienie – a tym razem Akhania już nie powie ani słowa w jego obronie.

Zamknął oczy i bez drżenia wyrecytował formułę, po czym wypił pierwszy łyk formuły, kładąc dłoń na sercu. Płyn, pozbawiony smaku jak woda, wydał mu się bardzo zimny. Drugi łyk palił jak ogień. Mohellen z trudem zdobył się na to, aby wysączyć trzeci, który okazał się chłodny i słodki. Ukoił palenie i sprawił, że maga ogarnął dziwny spokój.

Nadszedł czas.

Dochodziła północ. W willi bankiera Orpiusa w Bel Ingre, stolicy Lossoru, okiennice były pozamykane, ale gdyby ktoś przyjrzał się uważnie, dostrzegłby, że w dwóch oknach przez szpary sący się nieco światła.

W kantorku na parterze wszędzie poniewierały się rozłożone księgi rachunkowe i kwity. Bankier, wściekły jak rój os, po raz trzeci sprawdzał dokumenty, przygotowując się do tego, że będzie musiał zwolnić współpracownika, który bez pozwolenia udzielił kredytu nieuczciwym kupcom z południa.

W małej sypialni na piętrze w lichtarzu dopalał się ogarek świecy. Zazel, siedząc z talerzem na kolanach, z rozanieloną miną konsumował drożdżowe rogaliki z wiśniami. Spasł się bardziej niż kiedykolwiek, jego oblicze przypominało teraz krągły kołacz z dwoma sterczącymi wąsikami. Lorraine, w koszuli nocnej i domowej wełnianej narzutce, leżała z dłońmi podłożonymi pod głowę, swoim zwyczajem wpatrując się niby to w sufit, a tak naprawdę w jakiś odległy wymiar.

Oboje wiedzieli, że Marshia Lavallo nie żyje. Panna Nevers widziała moment jej śmierci – ten obraz wciąż jeszcze dręczył ją w snach – ale nawet gdyby nie posiadała daru jasnowidzenia, to Zazel i tak wyczułby, że stracił właścicielkę.

Lorraine, pragmatyczna jak zawsze, zdążyła się już otrząsnąć i przyzwyczać do myśli, że została na świecie całkiem sama, nie licząc stwora na pajęczych łapach. Zazel, jak wyczuwała, miewał się zdecydowanie gorzej. Ale wiedziała też, że nie potrafi mu w żaden sposób pomóc. Nie poruszała więc tego tematu.

– Co tam widzisz? – zagadnął chowaniec.

– Patrę, co porabia Brune – rzekła od niechcienia.

– I nic nie mówisz?! – Zazel poderwał się, omal nie wywracając talerza. – To on żyje?!

– Żyje.

– Więc czemu się tu nie pojawia? Psiakrew, to tak mu zależy na przyjaciółach?

W tymże momencie powietrze w rogu sypialni zamigotało, zafalowało i zestaliło się w czarno odzianą sylwetkę. Chowaniec przełknął, rozdziawił paszczę i siedział tak nad rogalikami, nie mogąc wykrztusić słowa. Lorraine usiadła, okrywając się kołdrą.

– Wiedziałaś, że się kiedyś zjawisz – powiedziała rzeczowo. – Jak nas znalazłeś?

– Dzięki twojej miniaturze. – Krzyczący usiadł na krześle, uważając, żeby nie przygnieść zawieszanej na nim modnej pelerynki, oczywiście czarnej. Wyjął z kieszeni oprawiony w złoto portrecik malowany na smoczej kości, który dawno temu, w lochach Shan Vaola, dostał od Lorraine w zamian za zdjęcie z niej klątwy kamienienia. – Proszę, zwracam ci ją. Lepiej, żeby wróciła w twoje ręce.

Zazel przyjrzał mu się uważnie i z ulgą przekonał się, że Brune jest schludnie ubrany, patrzy przytomnie, a jego ruchy nie zdradzają ani śladu spowolnienia wywołanego opium.

– Coś ty porabiał przez tyle czasu? – spytał.

Żmij rozłożył ręce.

– Gdybym miał czas, opowiedziałbym, ale nie mam. Powiedźcie, jak się miewacie?

– Dobrze – odrzekła Lorraine.

Zazel potaknął.

– Ach, nie narzekamy. Pan Orpius ma niezłego kucharza. Może rogalika?

Krzyczący gestem podziękował za podsunięty mu talerz, więc chowaniec, czując się usprawiedliwiony, wpackował do paszczy dwa rogaliki naraz.

– Pan Orpius odkrył już, że mój talent bywa bardzo przydatny w prowadzeniu interesów – wyjaśniła panna Nevers z błyskiem w oku, który dziwnie skojarzył się Żmijowi z Marścią.

– Więc Lorraine uczy się teraz o kredytach, wekslach i procentach, żeby łatwiej móc służyć fachową radą – dopowiedział Zazel, wskazując księżkę leżącą na nocnym stoliku. Dziewczyna żartobliwie pacnęła go w ciemię. Brune uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał.

– Lorraine, czy wiesz, gdzie jest Anavri?

– Gdzieś na południu – odrzekła panna Nevers. – Gdzieś bardzo daleko. Wiem, że żyje, ale kiedy próbuję ją zobaczyć, widzę tylko morze.

Żmij wolno skinął głową.

– To by wiele tłumaczyło. Próbuję ją odszukać, ale... – Rozłożył ręce.

– Czary tropiące? – odezwał się Zazel.

– Tak.

– Słabo działają przy tak dużych odległościach, zwłaszcza ponad wodą. Tropienie kogoś, od kogo dzieli cię ocean... Cholernie ciężka sprawa. Marshii może by się udało. Może.

– Wiem. – Brune westchnął. – Byłem nawet u ojca Anavri. Ale on też nic nie wie. Nie kontaktowała się z nim od miesiący.

Lorraine patrzyła na niego z powagą i współczuciem.

– Uciekła tak, żeby zerwać za sobą wszystkie nici, zatrzeć ślady. Zrozum, niczego nie bała się tak bardzo, jak pojmania przez srebrnych.

– Rozumiem. – Potarł czoło. – Chcę tylko wiedzieć, że ma się dobrze i jest szczęśliwa.

– Próbuj ją odszukać do skutku. Dopóki żyje, dopóty jest szansa, że się uda.

– Będę próbował. – Wstał. – Uważajcie na siebie.

Zazel posmutniał, wąsiki mu oklapły. Choć odkarmiony i pękaty, wyglądał teraz bardzo smętnie, ze swoją łysą, pobliznioną głową i ślepiami, w których po śmierci Marshii coś zgasło, chyba już na zawsze.

– Wróc tu jeszcze – poprosił cicho.

– Nie, Zazel. Nie żyjecie już w enklawie. Nie chcę was narażać.

Chowaniec chciał coś powiedzieć, ale zamilkł. Brune tymczasem wyjął z kieszeni dwa zwitki pergaminu i wręczył im po jednym.

– Jeśli któregoś z was będzie kiedyś potrzebowało pomocy, niech spali ten świstek. Postaram się... postaram się przybyć. – Odkasznął, zawahał się. – No cóż... Bywajcie zdrowi. Lorraine, pilnuj tego żarłoka. I uważaj na siebie.

Musnął dłonią twarz dziewczyny. Sekundę później zniknął – rozpląnął się w powietrzu.

Zazel dłuższą chwilę gapił się za nim z otwartymi ustami. Potem westchnął.

– Jak myślisz, znajdzie ją?

Panna Nevers uśmiechnęła się smutnym uśmiechem jasnowidza.

Za oknami chaty, na nocnym niebie, migotała błękitna luna – echo potężnego zachwiania Ekwilibrium, które właśnie przetaczało się nad południową prowincją Camarry, gdzie znajdowała się kotwica enklawy. Tu, na górze, panowała cisza, aura zachowywała stabilność. Osłony, wzmocnione dodatkową warstwą czarów kamuflujących, dla zmysłów maga były niczym chłodny, uspokajająco solidny mur.

Krzyżący zamknął okiennice i usiadł przy stole w pracowni, zdeterminowany podjąć jeszcze jedną próbę odnalezienia swojej uczennicy. Pewność, że żyje, ułatwi mu zadanie – podświadome nastawienie robiło dużą różnicę.

Coś mówiło mu, że po tym, jak widziała go w szponach szaleństwa, nie zechce wrócić. Nie zamierzał nalegać. Ale musiał ją znaleźć – już choćby po to, by sprawdzić, że nie potrzebuje pomocy.

Wyspy Śpiewu. Czy zamieszkała tam na dworze jakiegoś arystokraty z otoczenia gubernatora? Została towarzyszką czyjejś córki? A może czyjąś kochanką?

Nie chciał myśleć o tym, że mogła wpaść w łapy handlarzy niewolników albo gildii przestępczej. Ale nie – była zmiłką. Na pewno sobie radziła – kto jak kto, ale *ka-ira* ma do dyspozycji zdolności pozwalające spaść na cztery łapy w prawie każdej sytuacji. Pod warunkiem, że potrafi je odpowiednio wykorzystać.

Anavri.

Zacisnął w dłoni jej spinkę i zamknął oczy, przywołując z pamięci obraz dziewczyny.

Anavri leżąca w swojej sypialni w Shan Vaola, gorączkująca i nieprzytomna, kiedy czarny dar brał ją w posiadanie.

Chłodna i opanowana mimo strachu, gdy stali w szrankach, otoczeni przez wyjący tłum.

Roześmiana Anavri na szlaku w dominium gnomów, pijąca wodę z górskiego strumienia.

Jej zachwycony wzrok, gdy patrzyła na burzowe córki tańczące wśród ulewy.

Jej gładkie, zgrabne ciało, smukłe nogi, drobne dziewczęce piersi. Urocze zawstydzenie tamtej pierwszej nocy.

Jej uśmiech.

Jego świadomość, płynąca na oślep przez wiry wymiarów, nagle odnalazła to, czego szukała – jakby rzucona lina z hakiem zaczepiła o skalny występ. Brune zdematerializował się, posyłając swoją jaźń wzdłuż tropu, który migotał teraz w bezprzeźrzeni między światami, słaby i ulotny.

Ogarnęło go znajome uczucie szybowania przez bezład kolorów, a potem nagle stał na piasku pod nocnym niebem. Ciepłe powietrze pachniało solą i egzotycznymi kwiatami. Czarny przestwór w górze migotał gwiazdami, układającymi się w konstelacje inne niż na północy. Kawalek dalej rosły palmy, za nimi w mroku majaczyły chaty. Brune gwizdnął cicho, gdy dotarło do niego, dokąd trafił.

Wyspy Śpiewu.

Nie miał pojęcia, jakim cudem zdołał bez przygotowań dotrzeć tak daleko, i to niesiony samą tylko dematerializacją, nie portalem – magia teleportacyjna jednak bywała czasem zupełnie nieprzewidywalna. Intuicja maga mówiła mu, że trafił nie na Suniz czy Akore, tylko na jedną z małych, słabo zaludnionych wysepek w południowej części archipelagu.

Obejrzał się – za sobą miał mroczną przestrzeń morza. Fale z chłupotem lizwały brzeg. Na niebie lśniły niteczki czerwonego blasku, splatające się w pajęczynę – Ekwilibrium było nieznacznie zaburzone. Może sprawiło to jego pojawienie się tutaj, może coś innego.

Kawalek dalej, w cieniu palm wznosiły się chaty oraz jeden większy budynek, również drewniany i kryty strzechą. Przez szerokie szpary w ścianach sączyło się żółtawe światło. Z wnętrza dobiegały głosy i śmiechy. Karczma.

Krzyżący przymknął oczy i serce zabiło mu szybciej. Nie musiał nawet wyteżać zmysłów maga. Czuł znajomą obecność równie wyraźnie, jakby był to chłodny powiew wśród upalnej nocy.

Niewiele myśląc, spowił się iluzją, zmieniając się w starego włóczęgę o nedgvarskich rysach. Poświęcił jeszcze sekundę na sprawienie, żeby jego ubranie przybrało pozór takich łachmanów, jakie mógłby nosić ktoś miejscowy, po czym ruszył na przeszpiegi.

Odsunął zasłaniającą wejście matę i wszedł do środka. Ciemnoskórzy, półnaczy tubylecy siedzieli w kucki wokół dzbanów, z których piło się przez rurki – po trzech klientów na dzban. Obok niektórych stały misy z jedzeniem, inni ćmili fajki wodne. Woń spoconych ciał i piwa w połączeniu z dymem i swędem kaganków przyprawiała o zawrót głowy. Gruba kobieta siedząca obok dwóch pękatych glinianych garów – w jednym znajdował się ugotowany ryż, a w drugim zimna ryba przyrządzona na kwaśno – obrzuciła starego żebraka nieprzychylnym spojrzeniem,

ale nic nie rzekła. Brune zgarbił się jeszcze bardziej, żałując, że nie ma kaptura, który mógłby nasunąć na czoło, i rozejrzał się powoli.

W najdalszym rogu siedziało dwóch mężczyzn oraz dziewczyna o jasnej północnej cerze. Żmij zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w ciało. Zamknęła oczy, siłą woli narzucając sobie spokój.

Ruszył wolno wzdłuż ściany, tak manewrując, żeby kryć się za ludźmi, nieznacznie manipulując iluzją, żeby odpychać od siebie światło, utrzymywać twarz w cieniu. Miał wprawę.

Zatrzymał się kawałek od tamtych, w takiej odległości, by mimo panującego gwaru móc śledzić ich rozmowę.

Grubas odziany z nedgvarska, w długiej, niezbyt czystej szacie z frędzlami, wyjął z ust rurkę i podrapał się po łysinie.

– Za trzy tysiące popłyniecie? Co? Kapitanie? Piękna panienko?

Brune przygryzł wargę, zaledwie czując ból. Miał wrażenie, że czas zwalnia bieg, sekundy rozciągają się niby lepki syrop.

Czarnowłosa, smagły młodzieniec spogląda na towarzyszkę. Ta ledwie zauważalnym skinieniem głowy zachęca, by się targował.

– Popłyniemy za osiem, plus żywność dla załogi.

Grubas dłubie w zębach srebrną wykałaczką.

– Cztery tysiące.

– Siedem.

– Cztery i pół.

Dziewczyna pogryza kawałek mango, udając brak zainteresowania. Jest ubrana po męsku, z zawadiackim, pirackim szykiem. Biała koszula, nieco rozsznurowana u góry, łańcuszek na szyi, szkarłatna szarfa w talii, luźne, ozdobione haftami spodnie. Spod kolorowej jedwabnej chustki wymykają się jasne włosy...

Wyglądała ślicznie, ale zarazem coś się w niej zmieniło, i nie chodziło bynajmniej o strój. Brune wciągnął powietrze przez zęby, gdy uświadomił sobie, co przez cały czas szepcze mu dar. Gdy skupił się ciut bardziej, bez trudu wychwycił emocje Anavri. Delikatną, lecz jednoznaczną więź między nią a czarnowłosym kapitanem.

Nagle podniosła głowę. Dostrzegł półotwarte w zaskoczeniu usta, błysk w oczach – rozpoznała go.

Zdematerializował się, nim zdążył się zastanowić. Chwilę później stał na piargach w dominium gnomów. Wiedział, że dziewczyna nie podąży za nim. Był w jej nowym życiu równie zbędny, co śnieg w lecie.

Zdał sobie sprawę, że nadal zaciska pięści. Odetchnął głęboko, zmusił się do rozluźnienia.

Przynajmniej teraz już wiesz.

Usiadł na kamieniu i siedział tak, patrząc w przestrzeń.

Choć wiedział, że nie powinien teraz przywoływać wspomnień, nie powinien rozpamiętywać – nagle okazało się, że nie potrafi myśleć o niczym oprócz niej. Anavri. Anavri. Ćwicząca pisanie znaków przy stole w kuchni. Lewitująca kamyki na łączce nad stawem. Ściągająca koszulę przez głowę i rozpuszczająca dla niego włosy. Śliczna, delikatna. Dziewczyna, która w innych okolicznościach mogłaby zostać nawet żoną księcia.

Nie miał jej za złe. Rozumiał. Potrzebował tylko chwili, żeby przyzwycząić się do myśli, że odeszła.

W końcu zaklął, z rozmachem cisnął precz kamyk, którym od dłuższej chwili się bawił, i wstał. Ruszył przed siebie – ot, byle iść. Nie miał ochoty jeszcze wracać do enklawy.

Teren był stosunkowo trudny, akurat na tyle, żeby wymusić skupienie na wyszukiwaniu drogi wśród piargów i sterczących skałek, a co za tym idzie – porzucić rozmyślenia. W pewnej chwili Brune poczuł, że talia kart w jego kieszeni drgnęła, jakby dopraszając się uwagi. Zignorował to jednak. Chwilowo było mu całkowicie obojętne, co mówią karty.

Zaczął ostrożnie schodzić zlebem, gdzie w szczelinach skalnych kwitły dziwne, smrodliwe kwiaty barwy surowego mięsa, i nagle zatrzymał się jak wryty.

Nieco niżej, u wylotu zlebu, wznosiły się liczne głazy, niektóre o kształtach przywodzących na myśl prymitywnie obrobione posągi. Między nimi siedziała bez ruchu postać. Mężczyzna w szarej pelerynie z kapturem.

Żmij odruchowo spowił się czarem niewidzialności, po czym sięgnął zmysłami maga ku nieznajomemu, usiłując wyczuć, kto to taki. Ku swemu zaskoczeniu wyczuł... pustkę. Nie ciepło żywej istoty, nie chłód umarłego i nie obcą, palącą moc demona. Istota siedząca wśród głazów aurę miała równie martwą jak one.

Krzyczący położył dłoń na rękojeści sztyletu, lecz nie dobywał go. Skupił uwagę na zakapturzonym, starając się wy badać, czy to istota z krwi i kości, żywiołak czy może zjawą. Skupiwszy się maksymalnie, wyczuł słabe ciepło żywego ciała, wydobywające się jakby spod kilku warstw grubej materii.

Czar kamuflujący.

Dokładnie w chwili, gdy to do niego dotarło, nieznajomy wstał i uniósł rękę, a jego aura rozbłysła oślepiającym blaskiem najczystszej srebrnej mocy.

Brune poczuł, że oplata się wokół niego lodowata sieć, krępując ręce i nogi. Niewidzialna pętla zacisnęła się na gardle, dławiąc oddech.

Pociemniało mu w oczach, osunął się na ziemię. Nim stracił przytomność, zdążył jeszcze ujrzeć, że część otaczających go gładów ożywa, przemieniając się w białe, toporne sylwetki golemów.

Akhania ar Vithanare mimo późnej pory siedziała w pracowni, raz po raz przegarniając dłonią piasek na deseczce. Ze wszystkich technik wróżebnych preferowała tę, starą i nieco zapomnianą. Czula niepokój, niesprecyzowane złe przeczucie, a przyszłość nie chciała odsłonić przed nią swego oblicza.

Wstała, gdy w rogu pomieszczenia coś zaczęło pulsować błękitnym światłem. To ustawiona na srebrnym trójnogu kryształowa kula ożyła. Po chwili pojawiła się w niej twarz podwładnego.

– Pani, schwytałem w sferach *ka-ira*, tak jak było zapisane w gwiazdach – oznajmił Mohellen ar Vanth. Nie wyglądał jednak na szczególnie zadowolonego z siebie.

– To ten, którego poszukujemy?

– Nie. Zaledwie płotka, młodzik. – Zawiesił głos. – Lecz miał przy sobie pergamin z imieniem tamtego, wypisanym własną krwią.

– Zmodyfikowany czar kozła? Dostatecznie silny, by zmylić nasze wróżby?

– Na to wygląda.

Akhania zmarszczyła brwi. Zatem morderca dwójki akolitów, który dopisał tę zbrodnię do długiej listy innych nikczemnych czynów, po raz kolejny okazał się nieuchwytny. Fakt, iż nadal przebywał na wolności, zaiste stanowił policzek dla potęgi srebra.

– Złóż jutro raport Arcymistrzowi – powiedziała wolno. – Schwytanego, skoro to płotka, możesz spożytkować zgodnie z umową, lecz najdalej za cztery doby dostarcz go do Domu Godnego Odejścia na Wyspie Salamander. Zostanie tam przesłuchany.

– Tak uczynię, o pani. – Mohellen skłonił głowę. Wymienili słowa pożegnania, po czym

magini zgasła kulę.

Jej wzrok znów powędrował ku deseczce. W nagłym przypływie gniewu Akhania otworzyła okno i sypnęła piaskiem na zewnątrz, w ciemność nocy.

Rozdział 30: Obroza

Przytomność wracała powoli. Pierwszym wrażeniem, jakie zarejestrowały jego zmysły, było przenikliwe zimno. Znajomy wilgotny ziąb podziemi.

Pod policzkiem czuł szorstką tkaninę, zalatującą stęchlizną, a w gardle miał obrzydliwy posmak wymiocin. Z trudem rozkleił powieki i ujrzał ciemność, w której jego oczy dopiero po dłuższej chwili zdołały rozróżnić zarysy ścian i sklepienia. Niski loch bez okien, z okutymi drzwiami.

Więzienie.

Brune na wpół instynktownie spróbował przywołać moc. Bez efektu. W następnej sekundzie szpila bólu prześwidrowała jego czaszkę, docierając aż do potylicy. Przechylił się przez krawędź pryczy, kaszląc i charcząc w suchych torsjach, splunął żółcią.

Już wiedział. Podano mu jakiś środek blokujący dar.

Z opóźnieniem uświadomił sobie, że oprócz zimna czuje coś jeszcze. Srebro. Aurę srebrnych zaklęć, potężnych jak grube okowy.

Dom Godnego Odejścia. Ta myśl sprawiła, że poczuł w brzuchu lód. *Stało się. Mają mnie.*

Zebrał siły i spróbował usiąść, lecz fala zawrotów głowy zmusiła go, by opadł z powrotem na posłanie, przymykając oczy. Z zawodową ciekawością zadał sobie pytanie, co mu zaserwowano. Organizm *ka-ira* radził sobie z większością trucizn, ale w przypadku niektórych substancji, zwłaszcza odurzających, wystarczyło po prostu zwiększyć dawkę.

Leżał, słysząc jedynie własny chrapliwy oddech, czując, jak krew tętni w skroniach, a pod czaszką pełza ćmiący ból. Stopniowo uświadomił sobie, że boli go także policzek. Ostrożnie dotknął twarzy, wyczuł gorącą, zaognioną skórę i lepkie strupy. Szramy znów się otworzyły – najwyraźniej już jakiś czas temu – i nie wyglądało na to, by zamierzały się rychło zasklepić.

Smagnięty wspomnieniem, jęknął, kuląc się.

Leżę na słomie, ręce i nogi mam skute kajdanami. Za okratowanymi drzwiami czuję obecność kobiety, żmijki. Obserwuje mnie beznamiętnie, jakbym był zwierzęciem w klatce.

Z całej siły ugryzł się w dłoń, trzeźwiąc się bólem. Zmusił się, by zachować spokój. *Na razie jeszcze żyjesz, więc myśl racjonalnie, do cholery.*

Żeby skupić się na rzeczywistości, spróbował sprawdzić, czym dysponuje, a co mu zabrano. Chwilę później zaklął cicho. Nie miał butów ani – rzecz jasna – broni; zniknęła też cała

zawartość kieszeni, łącznie z gemmą, flet oraz dwie karty noszone w woreczku z rzemykiem.

Doceń pozytywy... Przynajmniej nadal masz ubranie. Nieznani strażnicy w geście łaskawości lub, co bardziej prawdopodobne, lekceważenia zostawili mu nawet chustkę zawiązaną na szyi i pasek ze sprzączką. *Ale tu i tak nie ma się na czym powiesić* – pomyślał z mizj w przyływie cierpkiego humoru.

Odczekał jeszcze chwilę, po czym znów spróbował wstać. Tym razem się udało. Choć ledwie trzymał się na nogach, obszedł celę naokoło, trzymając się ścian. Nie była duża i poza pryczą oraz śmierdzącym otworem w kącie nie zawierała niczego godnego uwagi. Kamienna posadzka i leciutko wilgotne, zalatujące stęchlizną mury.

Brune wrócił na pryczę i zwinął się na niej, ciasno obejmując ramionami. Oprócz zimna dręczyły go mdłości i narastające pragnienie. Marzył o kocu i łyku wody.

Usiłował wpaść na jakiś konstruktywny pomysł – jakikolwiek – ale nic nie przychodziło mu do głowy, jakby specyfiki, które mu podano, stłumiły nie tylko dar, ale też zdolność racjonalnego myślenia. Mógł tylko czekać.

Oslabienie sprawiło, że po jakimś czasie zapadł w niespokojną drzemkę, pełną majaczeń o mrocznych kształtach bez twarzy, niesprecyzowanych, kłębiących się potwornościach. Zbudził się wstrząsany dreszczami. W gardle czuł dojmującą suchość, pragnienie się nasiliło, podobnie jak tętniący ból głowy.

Brune z nienawiścią zapatrzył się w mrok. Ciekaw był, czy ktoś go obserwuje, czy magowie w białych szatach zastanawiają się teraz beznamytnie, jaką strategię zabijania daru wybrać, czy też decyzje już zapadły i można jedynie czekać, aż zostaną wprowadzone w życie. Słyszał o Domach Godnego Odejścia różne koszarne pogłoski; prawdy nie znał nikt.

Nagle uświadomił sobie coś, co powinno go zdziwić już na samym początku. Stłumienie daru nie objęło zmysłów maga. Nadal był w stanie sięgnąć umysłem w przestrzeń, by zbadać topografię swojego więzienia. Wypuściwszy się na mentalne przespiewki, po chwili zdziwił się jeszcze bardziej. W ogóle nie wyczuwał obecności ludzi, tylko zimne mury i równie zimne mechaniczne ciała golemów. Na ile potrafił ocenić, budynek nie był szczególnie rozległy, ale wznosił się na pięć czy sześć kondygnacji w górę.

Więc chyba jednak nie Dom Godnego Odejścia. Raczej prywatna siedziba jakiegoś srebrnego maga, przypuszczalnie wieża na odludziu. A to mogło wróżyć jeszcze gorzej.

Wyobraźnia znów jęła mu podsuwać rozmaite paskudne obrazy. Ze wszystkich sił starał się nie poddawać panice.

Leżał, oddychając szybko, próbując odsunąć od siebie wspomnienie o konającym Adrienie de Vere z wizji Lorraine. Po jakimś czasie nie tyle się uspokoił, co stopniowo ogarnęła go obojętność. Będzie, co ma być.

Oslabienie, ciemność i cisza w końcu zrobiły swoje i ponownie odpłynął w zmacony majakami półsen, nie tracąc jednak dręczącej świadomości, że marznie.

Gdy się ocknął, na posadzce obok niego stała miseczka z wodą. Brune w pierwszym odruchu chciał łapczywie wypić zawartość, powstrzymał się jednak i nieufnie ją powąchał, potem ostrożnie spróbował. Tak jak podejrzewał, woda miała gorzkawy posmak i leciutki zapach lukrecji, kojarzący mu się z lekami, bo lukrecją często doprawiano apteczne mikstury.

Walcząc ze sobą, powoli odstawił miseczkę, po czym znów legł na twardym posłaniu, zamykając oczy.

Minuty mijały nieznośnie powoli, odmierzane dreszczami, chrapliwym oddechem i pulsowaniem krwi w skroniach. Gorączkowy wir podsycanych strachem myśli stopniowo cichł, w miarę jak narastające pragnienie zaczynało uniemożliwiać skupienie się na czymkolwiek innym.

Woda. Niemal czuł w gardle jej orzeźwiająca wilgoć.

Nie był pewien, ile czasu minęło, zanim się zламаł. Może kilkanaście godzin. Może tylko kilka. Było mu już wszystko jedno. Sięgnął po miseczkę i upił łyk.

Tym razem woda nie wydała mu się gorzkawa, a ohydnie gorzka. Z obrzydzeniem wypuł to, co miał w ustach, i zaklął głośno w bezsilnej wściekłości. Zmysłami maga nie wyczuwał w pobliżu nikogo, lecz nie wątpił, że jest obserwowany.

Zebrał w ustach ślinę i splunął. Nadal czuł na języku gorycz, a mdłości się nasilały. Zagryzł wargi, zastanawiając się, jaką substancję dodano do wody. Pomyślał, że cokolwiek to było, nie powinno podziałać, skoro nie połknął ani odrobiny – nie na *ka-ira*. W teorii.

Po chwili ujrzał, że pokryty plamami sufit ożył. Wybiegły nań kohorty świecących mrówek, fosforyzujących robaczków w odcieniach bladej zieleni, błękitu i sinawego różu. Stopniowo nabrały kolorów, zaczęły się rozpełzać i układać w tęczowe, zmieniające się wzory. Czując zawrót głowy, Brune opadł na pryczę. Jego ciało stało się lekkie – miał wrażenie, że ulatuje, unosi się, choć zarazem wiedział, że leży bezwładnie na wznak.

Nie zatracił kontaktu z rzeczywistością. Przeciwnie, wszystkie niemiłe fizyczne doznania stopniowo się nasilały. Panujące w lochu zimno kęsało teraz aż do kości, jakby leżał na śniegu. Obolała głowa, zdawałoby się, urosła jak bania, a w policzek wgryzały się tępe żelazne zęby. Zapach własnego potu wydawał się mdlący i gęsty niczym lepka mgła.

Narkotyk nienaturalnie wyostrzył mu odczuwanie bodźców. Kiedy Brune pomyślał, do czego może to być wstęp, zacisnął zęby, ze wszystkich sił starając się powściągnąć panikę.

Ciało *ka-ira* jest w stanie goić rany szybciej niż ciało zwykłego człowieka, ale jego możliwości nie są nieograniczone.

Bał się. Jak jasna cholera.

Może godzinę później, może dwie godziny – nie potrafił tego w żaden sposób ocenić – w zamku szczerknął przekręcany klucz i okute drzwi otwały się, uderzając o ścianę z głuchym łupnięciem. Brune poderwał się w panice, nim dotarło do niego, że dźwięk nie dobiega z jego celi.

W ścianie naprzeciwko pryczy znajdowało się teraz okienko zabezpieczone stalowymi prętami, z całą pewnością nieobecne wcześniej. Fragment muru w tym miejscu musiał być tak naprawdę iluzją, której środki blokujące dar nie pozwoliły Krzyczącemu wyczuć.

Teraz jednak zmij wyraźnie czuł za ścianą obecność. W sąsiednim pomieszczeniu znajdował się żywy człowiek. Zmaltretowany, obolały i gorączkujący. Bijąca odeń aura cierpienia obudziła w Krzyczącym znajomy, paskudny głód.

Zwłókł się z posłania i ostrożnie, nieufnie zbliżył do okienka. Zanim zdążył przebyć całą szerokość celi, drzwi zatrzasnęły się z hukiem, a klucz przekreślił się ponownie.

Okienko znajdowało się jakieś pięć stóp nad ziemią. Krzyczący wyjrzał przez nie.

W sąsiedniej celi na posadzce kulił się kilkunastoletni chłopak w zgrzebnych łachach, na oko – wiejska biedota. Błady jak śmierć, dyszał, oburącz trzymając się za brzuch. Brune w pierwszym odruchu chciał przemówić do niego, ale się powstrzymał. Nie miał wątpliwości, że są obserwowani, a ponieważ nawiązanie kontaktu ze współwięźniem wydawało się logiczne, za logiczne uznał też, że srebrni oczekują takiej właśnie reakcji.

Spróbował ocenić stan dzieciaka. Gołym okiem było widać, że nie jest dobrze, a zmysły maga to potwierdziły. Chłopak, choć jeszcze o tym nie wiedział, umierał. Pobito go brutalnie, uszkadzając organy wewnętrzne i fundując rozwijające się rozlane zapalenie otrzewnej. Zostało mu kilkanaście godzin konania w coraz większych mękach.

Brune przygryzł wargę, walcząc ze sobą. Środki tłumiące dar nie osłabiły jego zdolności do wyczuwania bólu, a spowodowane głodem osłabienie wręcz ją spotęgowało. Choć nienawidził siebie za to, czuł się tak, jakby tam za kratą znajdowało się pożywienie. Smaczny obiad na tacy.

Mimo woli wyobraził sobie, że cicho przemawia do współwięźnia, namawia go do wstania, do podejścia bliżej, a potem wyciąga rękę przez pręty, dotyka go... i czerpie.

To byłoby takie łatwe.

I może srebrni właśnie tego oczekiwali. Może chcieli, żeby był znarkotyzowany, z zablokowanym darem, fizycznie słaby, lecz nasycony czernią – tak jak wstępem do niektórych tradycyjnych tortur może być podanie więźniowi posiłku.

Nie ze mną takie sztuczki. Powoli, walcząc z pokusą, żmij odszedł od okienka i legł z powrotem na pryczy.

Fale cierpienia płynące z sąsiedniej celi nieustająco drażniły jego zmysły.

Potem chłopak zaczął jęczeć. Płakał, wołał matkę, błagał niewidocznych magów o litość. W końcu, ochrypły, zamilkł – lecz nie na długo. Jął bredzić, podśpiewywał urywki dziecinnych piosenek, mamrotał bez ładu i składu. I znowu z płaczem wołał matkę, skarżył się, że go boli, prosił o wodę. W pewnej chwili zakrztusił się i zwymiotował, jęcząc.

W końcu zamilkł i już tylko oddychał szybko, płytko, jak skulone w norze chore zwierzę. Żmij czuł zmysłami maga, że ból nasilił się, a gorączka wzrosła. Chłopiec był rozpalony jak piec, zatracił kontakt z otoczeniem.

Po jakimś czasie jego oddech stał się urywany. Potem zmienił się w rozpaczliwą walkę o każdy haust powietrza. A Brune nie potrafił przestać nasłuchiwać, zastanawiając się, kiedy wreszcie zapadnie cisza.

W końcu zapadła. W miejscu, gdzie żmij chwilę wcześniej wyczuwał obecność umierającego dziecka, trwała już tylko gorąca czarna plama cierpienia – niczym ognisko, które przestało płonąć, ale nadal się żarzy.

Brune bezsilnie zacisnął pięści, myśląc o tym, co zrobiłby srebrnym mordercom, gdyby mógł. Ciekaw był tylko, co nieszczęsny, nieposiadający daru wiejski dzieciak im zawinił. O co tu chodziło. Czyżby tylko o to, żeby on miał okazję poobserwować cudzą agonię? Nasycić się?

Wystarczyło samo przebywanie w pobliżu cierpiącego, a teraz w pobliżu zwłok, by mimowolnie chłonał czerń, choć nie tyle, ile wchłonałby czerpiąc świadomie. Podziałała jak łyk wina na pusty żołądek, lekko go odurzając, choć nie wystarczająco, by przestał odczuwać dyskomfort swego położenia. Nadal dygotał z zimna, dolatująca z sąsiedniej celi ostra woń wymiocin przyprawiała o mdłości, a głowa pękała z bólu wywołanego odwodnieniem i głodem.

Miał wrażenie, że zamknął oczy tylko na sekundę, ale gdy je otworzył, koło pryczy znów stała miseczką z wodą. Brune podniósł ją i z namysłem zważył w dłoniach. Wypił łyczek, ale zmusił się, by na tym na razie poprzestać. Woda smakowała gorzkawo, a dysponując tylko ułamkiem daru, nie potrafił wyczuć, czy oprócz halucynogenu zawiera coś jeszcze.

Dzięki swemu wykształceniu doskonale wiedział, jak można kogoś skazać na śmierć w męczarniach, serwując truciznę – wystarczyłoby banalny arsenik czy sublimat. Wymioty,

krwawa biegunka, potworne bóle, pragnienie i w końcu śmierć, gdy serce albo nerki odmówią posłuszeństwa. On, będąc *ka-ira*, przypuszczalnie nie umarłby, ale męczyłby się długo i upokarzająco. Znając srebrnych, nie przypuszczał jednak, by pragnęli dręczyć ofiarę akurat w ten sposób. Uważaliby to za uwłaczające swej godności.

Ale mimo wszystko wolał dmuchać na zimne.

Kiedy po dłuższym czasie nie pojawiły się żadne objawy prócz kolorowo-światlistych doznań wizualnych, wypił resztę wody. Wtedy wizje zalały go jak rzeka przerywająca tamę.

Ulice miasta spowija dym z tłących się stert śmiecia; okiennice w domach są pozamykane, widnieją na nich nasmarowane farbą białe znaki.

Szpital – wielka sala, w niej długie rzędy sienników, prowizorycznych posłań wprost na ziemi. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie pokotem leżą chorzy, setki chorych o oczach powleczonej mleczną błoną. Jedni jęczą, inni się modlą, ktoś płacząco powtarza, że chce pić... Ktoś miota się i dygoce w przedśmiertnych drgawkach. Dwaj pijani, poruszający się chwiejnie posługacze wynoszą w prześcieradle zwłoki korpulentnego mężczyzny, klnąc plugawie, że ciężki. Otumanili się gorzałką, by nie czuć strachu przed zarazą.

Lekarz w czarnej szacie i drewnianej masce z długim dziobem wyciąga rękę, w której trzyma dwie karty z wizerunkami Maga i Błazna. Za grubymi szklami maski jego źrenice jarzą się seledynowym blaskiem.

– Pamiętaj, Deuvenie, umiera się tylko raz.

– Deuven de Ragues zmarł czterdzieści lat temu w mieście ogarniętym zarazą – mówi dziewczyna o ostrzyżonych włosach i niebieskich oczach, po czym nakrywa dłonią okaleczoną połowę swojej twarzy. Dotyk jej palców pali jak lodowaty ogień.

Księżyc sphywa z nieba, wykrzywiony przez gorączkę niczym odbicie w wypukłym zwierciadle.

Oślepiiony palącym blaskiem, porwany przez prąd wizji, Brune tonął, rozpadał się na drobnitkie cząstki, rozszarpywany przez wirujące kolorowe gwiazdy, rozdziobywany przez ptaki o drewnianych dziobach. A potem... potem fala cisnęła mu w twarz jeszcze jeden obraz. Koszmarny, bo wykrystalizowany z najgłębiej skrywanych obaw.

Wywlekają mnie z celi po roku, a może dwóch? Zgarbionego jak starzec, z pozlepianą brodą i włosami, pokrytego brudem, niemrawo osłaniającego zaropiałe oczy.

Od miesięcy już niezdolnego widzieć cokolwiek poza mętną szybą.

Metaliczne szczęknięcie i łomot odsuwanych rygli przegnały majaki. Krzyczący gwałtownie usiadł na posłaniu i zmrużył oczy, oślepiiony blaskiem. Minęła chwila, nim przywykł doń na tyle, żeby przyjrzeć się postaciom, które stały obok. Dwa golemi oraz mężczyzna w

białych szatach, z wyhaftowanym na piersi srebrnym pentagramem. Nad ich głowami tańczyło nie jedno, a pięć czarodziejskich światełek.

– Żyjesz, *ka-ira*? – przemówił drwiący głos.

Mohellen, zbrojny w kilka ukrytych pod odzieżą talizmanów oraz zawiązaną w pasie szarfę z formułami ochronnymi, nie obawiał się pojmanego gada. Patrzył z obrzydzeniem na sfatygowaną odzież więźnia, jego splątane włosy i zarośniętą, wyniszczoną twarz z policzkiem przekreślonym szramami.

Szumowina.

Brune tymczasem, oprzytomniawszy, wysiłkiem woli starał się tłumić strach, jaki go ogarnął – ściskający za gardło, pelzający po skórze lepkim zimnem – na widok lśniącej srebrzyście symbiotycznej maski oraz dwóch golemów. Toporne mechaniczne stwory były większe i masywniej zbudowane niż Jednoocy w Shan Vaola, ale o takich samych zdeformowanych obliczach, jakby ulepionych przez niewprawne ręce, z pojedynczym szklanym ślepiem pośrodku czoła.

Mag musiał zajmować w Elicie stosunkowo wysoką pozycję, sądząc z pierścieni, które skrzyły się na jego palcach. Krzyczący popatrzył w dwa skośne wycięcia maski, za którymi kryły się oczy. Przez mgnienie mierzyli się nawzajem czujnym, nienawistnym wzrokiem mówiącym wszystko.

Sługa srebra cofnął się o krok.

– Obroża – rozkazał.

Jeden z golemów pochwylił Krzyczącego, unieruchamiając go. Żmij nie próbował się opierać – wiedział, kiedy to nie ma sensu. Wzdrygnął się, gdy zapięto mu na szyi ciężką, parzącą zimnem obrożę z litego srebra, kutą w kształt symboli układających się w zakłęcie. Formuła blokująca dar, jakżeby inaczej. Uśmiechnął się cierpko w duchu, dostrzegając absurd tak daleko posuniętych środków bezpieczeństwa – podane mu wytłumiacze daru nadal działały, nawet bez obroży nie byłby w stanie choćby zapalić zakłęciem świeczki.

Jednak troszkę się mnie boisz, co? Nawet teraz.

– Pora, żebym się przedstawił – oznajmił przybysz. – Nazywam się Mohellen ar Vanth.

Krzyczący uniósł brew.

– Autor książki *Potęga uczyć*?

Z satysfakcją odnotował wrażenie, jakie wywołały te słowa.

– Czytałeś ją? – zdumiał się srebrny mag.

– Tak.

– Zatem nasi szpiedzy ze Shan Vaola mówili prawdę, istotnie jesteś wykształcony. No, no. – Mohellen wyrzekł to takim tonem, że Brune tylko przymknął oczy, ignorując prymitywną próbę sprowokowania go do złości. – Czy wiesz, do czego służy księżycowa machina?

Teraz dla odmiany zmij się zdziwił.

– Co proszę?

– Księżycowa machina, *ka-ira*. Słyszałeś o nich kiedyś?

– Nie.

– Machiny astralne nie leżą w sferze twoich zainteresowań, co?

– Nie da się ukryć.

– Nie spotkałem jeszcze czarnego maga, który by się nimi interesował. Zachodzę w głowę czemu. – Mohellen zrobił pauzę. – Księżycowa machina zbiera i skrapla światło księżyca, którego potrzebujemy do naszych badań. By działać, wymaga wielkich ilości czerni; zgodnie z prawem Periusa próby napędzania jej mocą srebra natychmiast zaburzają Ekwilibrium. Czarną moc najlepiej zaś czerpać z pojedynczego silnego źródła. – Uśmiechnął się. – Machina, która znajduje się na najwyższej kondygnacji mojej wieży, zaopatruje moje laboratorium i jeszcze kilka innych. Teraz właśnie pilnie potrzebuje naładowania, dlatego przełożyli zgodę, abym jako źródła czerni użył ciebie.

– Brzmi... ciekawie. – Brune zwalczył chęć zapytania, czy przeżyje to czerpanie. Znając srebrnych, skłonny był założyć, że najprawdopodobniej nie. Mylił się jednak.

– Później – kontynuował srebrny mag – zostaniesz przewieziony do Domu Godnego Odejścia na Wyspie Salamander. Chyba że zdecydujesz się przyjąć moją propozycję. – Znów zawiesił głos, wyraźnie po to, by jego słowa wywarły większe wrażenie. – Propozycję współpracy.

– Czy tam na zewnątrz – Krzyczący wskazał sklepienie – słońce już się toczy po ziemi?

Mohellen wytrzeszczył na niego oczy.

– Co ty wygadujesz?

– Jeśli srebrny mag ma dla mnie propozycję współpracy, to znaczy, że świat stanął na głowie.

Mohellen, zaciskając wargi, dał znak większemu z golemów. Z ręki stwora ze szczękiem wysunął się cienki oścień, wbijając się żmijowi w ramię. Brune syknął – ukłucie przeniknęło go piekącym lodem.

– Trochę pokory, *ka-ira* – stwierdził srebrny mag.

Krzyczący zagapił się na niego, usiłując pojąć kuriozalną sytuację. *Propozycja współpracy? Znowu?* Nagle zaświtało mu brzydkie podejrzenie.

Coś w tonie jego głosu. W jego wzroku.

– Jesteś agentem Otchłani – powiedział powoli.

– Owszem – przytaknął Mohellen bez śladu zdziwienia. – Doliny Igieł, jeśli chodzi o ścisłość.

Coś w jego spojrzeniu. Widoczne w wycięciach maski oczy srebrnego maga oprócz pogardliwej wyższości wyrażały też łakomą niecierpliwość, jakby nie mógł się doczekać chwili, gdy sprezentuje swym mocodawcom piękne trofeum i otrzyma obiecaną nagrodę.

– To czego oczekiwałyby ode mnie Dolina Igieł? – spytał Brune takim tonem, jakby uzgadniał z klientem, ile fiolek destylatu przygotować na następny tydzień. Zranione ramię pulsowało bólem, czuł, jak rękaw nasiąka krwią.

– W pierwszej kolejności oczywiście tego, że zerwiesz cyrograf wiążący cię z Doliną Popiołów, podpisując umowę z nami.

Żmij i tym razem nie zdołał ukryć zdumienia.

– Wiecie...

– Ależ oczywiście. Informacja to podstawa. – Agent Doliny Igieł zaśmiał się pobłaźliwie. – Wiemy, komu służysz i na jakich zasadach. Wiemy, że niedawno pokonałeś hrabiego Sathoona, zresztą ku naszej radości, bo nie lubimy Doliny Rdzy. Wiemy też, że strzeże cię rodzona córka Spalonego Władcy i że jesteś zdolny, tak zdolny, że szkoda, by te zdolności miały się marnować w służbie innej Doliny, lub jeszcze gorzej – przepaść w Domu Godnego Odejsia.

Nie wiedzą o błogosławieństwie Eresha – przemknęło żmijowi przez głowę. *No cóż, zawsze to jakaś pociecha, jak rzekł skazaniec, widząc, że topór kata nie jest tępy.*

– Jeśli dobrowolnie przystaniesz do mnie na służbę, *ka-ira*, i pozwolisz się spętać czarem posłuszeństwa, już nigdy nie będziesz musiał się obawiać wyroków Elity. – Mohellen zniżył głos. – Dolina Igieł może przemienić twoją czerń w srebro, pod warunkiem, że sam o to

poprosisz.

– Ciekawe. – W głosie zmija zadźwięczała nutka drwiny. – A co Elita na to?

– Elita? – Mag uśmiechnął się lekceważąco. – No cóż, powiedzmy, że... nie mają pełnego obrazu sytuacji. Pozwoliłem sobie ich nie poinformować, że to właśnie Krzyczący w Ciemności przebywa w moim lochu. Sądzą, że schwycił jakiegoś nieszczęśnika świeżo po przemianie. Dostaną ode mnie zwłoki innego *ka-ira*, dostarczone przez Dolinę Igieł. Poinformuję ich, że w czasie pojmania został ranny, a czerpanie dla księżycowej maszyny wyszło z niego całą siłą życiową. To się zdarza.

– I co potem? Byłbym twoim niewolnikiem, asystentem od trudniejszych prac, przetrzymywanym tu w zamknięciu, z obrożą na szyi?

– Bez obroży – poprawił Mohellen. – Gdy chodzi o zakłęcia posłuszeństwa, *ka-ira*, śmiem twierdzić, że mało kto jest w stanie dorównać mojemu kunsztowi. I nie tutaj. Posiadam rezydencję w sferach, gdzie żyją moi akolici oraz słudzy: ludzie i żywiołaki.

– O proszę. Ilu z nich spętanych jest zaklęciem posłuszeństwa?

Srebrny mag bez mrugnięcia okiem szepnął coś niższemu z golemów, a ten rąbnął zmija pięścią w splot słoneczny. Brune zgiąłby się wpół, gdyby nie ciężkie łapy większego, nadal dzierżące go w żelaznym uścisku. Mohellen cierpliwie patrzył, jak więzień walczy o oddech.

– I jak? – zapytał w końcu. – Co sądzisz na temat mojej propozycji?

Krzyczący, choć jeszcze nie całkiem doszedł do siebie, skrzywił się wymownie.

– Może byś tak oddał mi buty, łaskawco?

Spodziewał się, że reakcja będzie szybka i brutalna. Nie omylił się. Mohellen skinął tylko dłonią, coś trzasnęło i świat wokół zmija wybuchł zieloną jasnością oraz porażającym bólem.

Zielone płomyki najwyraźniej były popularne nie tylko wśród demonów. Ta myśl tłukła się tępo w głowie Krzyczącego, kiedy wił się w uścisku golemów, mając wrażenie, że w jego żyłach płynie zarazem ogień i śmiercionośny lód. W końcu zapadł w błogosławione omdlenie.

Odzyskał przytomność w momencie, gdy drzwi celi zamknęły się z hukiem. Był odrętwiały, niemal całkowicie sparaliżowany; nie mógł usiąść ani zacisnąć dłoni w pięść. Wiedział jednak, że to minie za jakiś czas. W ustach czuł metaliczny smak krwi – musiał przygryźć sobie język. Przełknął z trudem ślinę. Leżał, oddychając ciężko, i czekał, aż szalejące w całym ciele bolesne mrowienie przycichnie.

Zranione ramię piekło nieznośnie. Gdy już odzyskał częściowo władzę w kończynach, Brune dotknął go ostrożnie i zaklął przez zęby; zostało opatrzone bandażem, na którym wyhaftowano jakieś znaki. Czym prędzej go zerwał, a ranę przewiązał własną chustką. Wiedział

dość o srebrnej magii, by się domyślać, że oścień nie był zwykłym ostrzem, a zranienie nim zostało z góry wpisane w rozmowę niezależnie od tego, jak zachowywałby się więzień.

Nie zdjęto mu też obroży.

I tak połamiesz sobie na mnie zęby, lalko w białych szatach – syknął w myślach. Wiedział jednak, że z równym powodzeniem mogłaby się odgrażać owca prowadzona na rzeź.

Z ran na twarzy również sączyła się krew. Żmij otarł ją rękawem. Nagle wydało mu się, że gdzieś w górze, w ciemności wyczuwa obecność. Chłodny, lekko drwiący wzrok – może obserwujący go przez otwór wywiercony w stropie, a może za pomocą jakiegoś drobnego czarodziejskiego artefaktu, szkiełka szpiegów czy czegoś podobnego.

– Mohellen! – zawołał, tracąc cierpliwość. – No co? Na co się gapisz?

Odpowiedziała mu tylko cisza. Zimna, przytłaczająca niczym tony kamieni i ziemi.

Rozdział 31: Srebro i czerń

Godziny mijały.

Rana po dźgnięciu ościeniem, choć nieduża, doskwierała zmijowi coraz bardziej, ramię napuchło. Pojawiły się dreszcze, czuł, że rośnie mu gorączka. Męczyło go również pragnienie; znowu nie dano mu wody.

Zastanawiał się, jakie zakłęcie wypisano na ościeniu. Najbardziej prawdopodobną możliwością wydawał się czar, który stopniowo łamie wolę ofiary, utrudnia jej stawianie oporu.

Leżał, wpatrując się w ciemność i starając się nie poddawać narastającemu uczuciu beznadziei. Jak na ironię – musiał trafić pod klucz właśnie teraz, kiedy wyzwolił się spod władzy Doliny Popiołów... Gdyby nadal pozostawał ich sługą, nie pozwoliliby, aby przejęła go inna Dolina.

Na pytanie, jak konkretnie mogłaby wyglądać jego służba u Mohellena, na smyczy Doliny Igieł, wołał nie znać odpowiedzi. Tak czy owak, śmierć w Domu Godnego Odejścia już nie wydawała mu się najgorszą z możliwych perspektyw. Co by nie mówić, umiera się tylko raz.

Ból. Dreszcze. Pałace pragnienie, męka wyschniętego gardła.

W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że nie wyczuwa już obserwujących go oczu. W jego umęczonej głowie zaświtała myśl, że mógłby stosunkowo łatwo pokrzyżować Mohellenowi plany. Wystarczyłoby wziąć chustkę – sztywny skórzany pasek nie nadawał się do tego celu – przedrzeć ją na pół, związać kawałki razem i zadzierzgnąć sobie mocno pętlę na szyi, odcinając dopływ krwi do mózgu. Na wystarczająco długo, żeby ani czerń, ani srebro nie były później w stanie zregenerować uszkodzeń.

Ale nie potrafił się na to zdobyć. Wmawiał sobie, że nie wie, ile czasu by to trwało w przypadku *ka-ira*, ale pewnie dość, żeby Mohellen się zorientował i zareagował w porę; wreszcie – że kto wie, czy srebrna magia nie pozwala uzdrawiać uszkodzonych mózgów, skoro magowie Elity potrafią nawet przejściowo ożywić martwe ciało.

Więc czekał.

W końcu znów zapadł w niespokojny półsen. Ocknąwszy się, ujrzał, że stoi nad nim dziwny typ golema – właściwie sam metalowy szkielet, z białą porcelanową maską w miejscu twarzy. Zamiast oczu miał dwa wielościennie kryształy siejące błękitnymi migotami, a trzeci podobny kryształ, tylko większy, tkwił wewnątrz jego klatki piersiowej.

– Mistrz Mohellen kazał przekazać – rzekł stwór zgrzytliwym tonem; głos wydobywał się zza maski, choć jej usta się nie poruszały – że propozycja pozostaje aktualna, lecz odmowa pociągnie za sobą... konsekwencje.

– Powiedz swojemu panu – odrzekł ochryple żmij – że życzę mu z całego serca, aby zwierzchnicy z Elity poznali się na nim i też wyciągnęli konsekwencje.

Stwór skinął głową, po czym wolno uniosł rękę – towarzyszyło temu ciche skrzywienie mechanizmów – i nakreślił jakiś znak w powietrzu nad głową żmija. Brune zamarł, wiedząc, że nie zwiastuje to niczego dobrego. I miał rację.

Najpierw przyszło mrowienie pod skórą, w palcach, kończynach, w całym ciele. Potem narastający stopniowo ból – jakby pełzające ogniste muśnięcia, rozpalone igły wbijające się to w stawy, to w kark, to w oczy. Najdrobniejszy ruch, nawet wciągnięcie oddechu, wyzwalał ich całą serię. Ból był podobny do wywołanego zielonym ogniem, tylko słabszy – ale za to atakował podstępnie, za każdym razem w innym miejscu.

Golem trwał bez ruchu, obserwując ofiarę migoczącymi kryształami zastępującymi oczy. Walcząc ze sobą, żeby nie jęczeć – choć nad grymasem twarzy nie był w stanie zapanować – Brune z ponurą determinacją postanowił, że dopóki może, nie da Mohellenowi satysfakcji.

Minuty wydawały się rozciągać w godziny, lecz w końcu ból przycichł, a jego miejsce stopniowo zajęła ołowiana, przytłaczająca słabość. Wszystko kołysało się i oddalało, kamienne ściany, sklepienie, maska stwora. W pewnej chwili żmij odniósł wrażenie, że widzi nad sobą twarz Spalonego Władcy, i chciał go drwiąco pozdrowić, lecz nie mógł wydobyć głosu z wyschniętego gardła.

Szara mgła spowiła wszystko. Tonął, odpływał, ukołyszany przez jej zimne objęcia.

Otworzył oczy i ujrzał, że znajduje się wewnątrz długiej, ponurej sali o okratowanych oknach, z dwoma rzędami sienników. Miał wrażenie, że skądś zna to miejsce, i po chwili konsternacji rozpoznał je. Szpital dla ubogich w Shan Vaola. Nigdzie jednak nie było śladu lekarzy ani posługaczy. W powietrzu unosił się odór trupów, lecz słysząc było także stękania i jęki.

Brune powoli usiadł na posłaniu i popatrzył po sobie. Z niedowierzaniem przekonał się, że ma na sobie te same brudne, obszarpane łachy, które aż za dobrze pamiętał z czasu, gdy mieszkał ze śmieciarską rodziną. Poczuł się zdezorientowany, bo mgliście zdawał sobie sprawę, że to już przeszłość i wiele rzeczy się wydarzyło od tamtej pory. Z nadzieją pomyślał, że skoro jest w szpitalu w Shan Vaola, to pewnie zaraz zjawi się Haru i powie mu, co się stało.

A potem wzdrygnął się, widząc, że obok niego na sienniku spoczywa nieruchomo stary, wychudzony człowiek o oczach powleczonej mleczną, lśniąca błoną. Nie oddychał. Wszystkie sąsiednie posłania również zajęte były przez trupy lub umierających.

Ogarnięty strachem, Brune chciał się zerwać i uciec z tego miejsca, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zatoczył się i osunął z powrotem na posłanie. I wtedy usłyszał kroki, a raczej szuranie, jakby idący powłóczył stopą.

Szur. Szur. Szur.

Drzwi otworzyły się, skrzypiąc, i na salę, utykając, powoli wkroczyła postać w czarnym odzieniu oraz czarnym kapeluszu. Na jej widok Brune wstrzymał oddech w nagłej zgrozie.

Patrzył na siebie, na swojego sobowtóra. To była jego własna twarz... lecz jej prawa połowa, ta z bliznami na policzku, była nieruchoma i sina, jakby tknięta rozkładem. Prawa powieka zasłaniała oko, a kącik ust opadał.

Brune chciał zawołać do zjawy, ale głos uwiązł mu w gardle. Tamten tymczasem pochylił się nad jednym z trupów, kładąc mu rękę na czole. Ciało wygięło się w paroksyzmie konwulsji – zaświszczał wciągany w płuca oddech – oczy rozwarły się i wytrzeszczyły – męczyzna opadł na posłanie, dysząc, mamrocząc coś nieskładnie, ponad wszelką możliwość żywy.

Sobowtór zaśmiał się cicho i klasnął w dłonie, raz jeden. Wtedy na sali wszczął się ruch; wszyscy zmarli i chorzy zaczęli się poruszać i powoli wstawać. Chwiejnie, zataczając się, podążali do wyjścia, aż w końcu pomieszczenie opustoszało. Na miejscu został tylko Brune, zbyt oszołomiony, żeby się poruszyć.

Zjawa podeszła i bez słowa położyła na jego czole siną, lodowatą dłoń. Żmij gwałtownie wciągnął oddech, czując, jak czarna, paląca siła wsącza się w jego ciało...

...a równocześnie przez chwilę był tym drugim sobą, trzymał rękę na czole dygoczącego człowieka w łachmanach i czuł w sobie moc starszą niż czas, władzę nad śmiercią i nad życiem...

Potem znalazł się z powrotem we własnym ciele, oniemiały, czując się niczym karzeł w obliczu boskiej potęgi.

Wtedy sobowtór otworzył zamknięte oko, i Brune ujrzał, że nie jest ono bure z żółtym rozbłyskiem w głębi, lecz czarne – tak czarne, że nie było widać różnicy między tęczówką a źrenicą – o zimnym, przeszywającym spojrzeniu. Krzywe usta poruszyły się, ale wydobył się z nich tylko syk.

I spod kapelusza, z opadających w znajomym nieładzie ciemnych włosów, na szyję obcego powoli spełzły dwa węże.

Brune ocknął się, oddychając ciężko, z tłukącym się sercem.

Był przytomny, choć bardzo słaby, tak słaby, że gdy usiadł na posłaniu, na chwilę pociemniało mu przed oczami. Zranione ramię rwało bólem, ledwo był w stanie poruszać ręką. Wiedział, że rana się jątrzy, że zwykły człowiek w tej chwili majaczyłby w malignie.

Obok pryczy stała miseczka z wodą. Żmij chciwie wypił jej zawartość, właściwie nie czując smaku. Dopiero gdy odstawił puste naczynie, dotarło do niego, że tym razem chyba nie zawierała narkotyku – nie czuł w ustach goryczy.

Przetarł sklezione od snu oczy, usiłując się zmusić do myślenia. Skoro dostał wodę, chciano, żeby żył, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Nie był pewien, ile dni minęło, odkąd zamknięto go w lochu – był skłonny przypuszczać, że ponad tydzień. I wciąż jeszcze tkwił tutaj, zamiast zdychać w Domu Godnego Odejścia. Widać srebrny mag liczył, że w końcu jednak zrobi z niego niewolnika.

Pytanie, kiedy wzruszy ramionami i uzna, że brak na to widoków. I czy zdołasz wcześniej coś wymyślić. Brune miał bolesną świadomość, że szanse na to są marne. Zaczynał tracić wolę walki.

A na razie nie miał innego wyboru, jak tylko czekać – zastanawiając się, czy zanim Mohellen da za wygraną i wyśle go do godnej umieralni, spróbuje użyć argumentów rodem z tradycyjnej katowni. Rozpalone do czerwoności kleszcze, krzesła nabite gwoździami, haki do szarpania ciała. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto wzdraga się przed odorem krwi.

Przestań! Brune zmusił się, by porzucić te rozważania, nie wpadać w spiralę strachu. Sięgnął umysłem w przestrzeń, by spokojnie wybadać, co dzieje się wyżej – i nagle zmartwił.

Gdzieś tam w górze wyczuwał obecność dwóch ludzi. Mohellena... oraz kogoś jeszcze. Kogoś znajomego. Zmartwił.

Niemożliwe, masz omamy.

Chwilę później skłonny był uwierzyć, że głód i wyczerpanie psychiczne istotnie sprawiły, że uległ złudzeniu. Ale niepokój, raz obudzony, nie dawał się stłumić.

Szczękniętą rygiel, drzwi celi się otwarły. Wszedł golem – tym razem wyjątkowo brzydki, z obliczem jak niekształtna bryła i wielkimi metalowymi łapskami. Szarpnięciem za ubranie zmusił żmija do wstania, ujął go za ramię i wyprowadził z celi. Brune uznał, że próby stawiania oporu będą poniżej jego godności. Czuł się zresztą tak słaby, że wspinając się po stromych kamiennych schodach, martwił się głównie o to, by nie zemdleć.

Dwa piętra wyżej weszli do laboratorium, gdzie wiły się liczne ołowiane i mosiężne rury jakichś instalacji. Tu i ówdzie w szklanych baniach kłębiły się fosforyzujące opary. Cuchnęło znajomo – siarką, rdzą, spalenizną oraz czymś ostrym, duszącym. Posadzkę pokrywały inskrypcje wymalowane białą i czarną farbą. Golem podprowadził Krzyczącego do niezbyt dużej maszyny stojącej na postumencie, mającej postać drewnianej skrzyni z wystającymi elementami

– tu pojemnik z grubego szkła, tam poskręcane miedziane rurki – i zatrzasnął wokół jego nadgarstków srebrne obejmy, tak że dłonie żmija znalazły się tuż nad pokrywającym górną ściankę urządzenia wzorem z ciemnego mahoniu i płytek smoczej kości. Znaki pisma magów układały się w prostą, lecz złowrogą formułę: *Twoja siła jest moja*.

Krzyczący poczuł dreszcz, gdy kątem oka dostrzegł za płataniną rur lśniący kształt srebrnej maski. Spomiędzy instalacji wyłonił się Mohellen w szarej roboczej tunice narzuconej na białą szatę. Nie rzekł ani słowa, tylko podszedł do maszyny i przekręcił jedno z umieszczonych z boku ozdobnych pokręteł.

Brune poczuł, że gorący strumień mocy wrywa się z niego jak przy odwróconym czerpaniu. Pociemniało mu w oczach, lecz golem podtrzymał go, nie pozwalając upaść. Gdy po dłuższej chwili żmijowi przestało się kręcić w głowie, zobaczył, że pojemnik umocowany do maszyny, wcześniej pusty, powoli napęla się smolistą, gęstą czernią.

Gdy był już pełen po brzegi, Mohellen odczepił go, zamknął korkiem i dokądś wyniósł. Ostrożnie sięgając umysłem w przestrzeń, Brune wyczuł jeszcze kilka podobnych pomieszczeń, tętniących magią zawartą w inskrypcjach i zimnymi prądami mocy przepływającej przez tajemnicze urządzenia. Piętro wyżej kilkanaście golemów krzątało się przy skomplikowanej konstrukcji, widocznej dla zmysłów maga jako kokon rur i drutów otaczający niematerialne jądro, jarzące się delikatną białą poświatą – to musiała być owa księżycowa machina.

Krzyczący głęboko zaczerpnął tchu. Wcześniej liczył się z tym, że po odessaniu z mocy nie będzie mógł ustać na własnych nogach, ale – o dziwo – nie czuł się znacząco słabszy po czerpaniu niż przed. Widocznie wysączono z niego tylko czerń, a nie siłę życiową.

Mohellen wrócił, dzierżąc dziwny przedmiot: kryształowy wielościan, w którego głębi igrały tęczone iskierki, to zapalając się, to gasnąc. Skinął dłonią i obejmy rozwarły się z trzaskiem.

– Na dół – rozkazał. Golem szturchnął chwiejącego się na nogach żmija, nakazując mu iść.

Wrócili do lochu. Brune, podtrzymywany przez mechanicznego stwora, znowu skupił się na tym, żeby nie zemdleć na schodach. Mohellen towarzyszył im, lecz nie odzywał się ani słowem.

Znalazłszy się z powrotem w podziemnym korytarzu wiodącym do celi, Krzyczący zadrzał. Znów czuł znajomą obecność, tym razem tak silnie, tak wyraźnie, że już nie mogło być mowy o pomyłce. Odwrócił się ku magowi.

– Ty...

Sługa srebra uśmiechnął się drwiąco, wyraźnie ciesząc się już zawczasu.

– Idź. – Skinął dłonią, a golem pchnął żmija naprzód. Równocześnie szczęknął zamek i

drzwi celi otworzyły się same. Weszli do środka.

W kącie celi stała latarnia wypełniona świecą mazią, a na pryczy siedział... Znajda. Dzieciak ze śmieciarskiej rodziny w Shan Vaola.

Wyrósł i zmienił się. Włosy miał krótko ostrzyżone i był schludnie ubrany, niczym syn zamożnego mieszczanina. Spod kurtki z mosiężnymi guzikami wyzierał kołnierz czystej koszuli. Ale dłonie pokryte paskudnymi bliznami po oparzeniach potwierdzały tożsamość chłopca w równym stopniu co aura.

Nogi miał skute kajdanami, na policzku siniak i wyglądał na przerażonego. Na widok Krzyczącego wytrzeszczył oczy.

– Brune? To ty? Co tu robisz?...

– Milcz – rozkazał Mohellen, po czym zwrócił się do żmija. Nim jednak zdążył przemówić, Krzyczący go uprzedził.

– Cokolwiek planujesz, draniu, możesz sobie darować, ja nie zmienię zdania. – Mówiąc to, nienawidził siebie, ale zarazem miał pewność, że racjonalna decyzja jest tylko jedna. I trzeba się jej trzymać bez względu na koszty.

Choćby miało to boleć tak jak śmierć Faivrin. A w pewnym sensie bardziej – bo teraz był przecież silniejszy i bardziej doświadczony. Powinien umieć znaleźć jakieś wyjście, wymyślić fortel... W teorii. Tymczasem boleśnie zdawał sobie sprawę z własnej bezradności.

– To cacko – oznajmił Mohellen, unosząc kryształowy wielościan, który zamigotał miriadą barw, siejąc odblaskami po ścianach lochu – służy za tymczasowe schronienie dla mojej przyjaciółki Kariht-Zostre, demonessy zrodzonej z ciała i krwi siedmiogłowej Zostre-Abul-Laath, królowej Doliny Igieł, oby nieśmiertelny ogień Otchłani na wieki płonął w jej żyłach. Przemieni ona twój czarny dar w srebrny i uczyni cię moim sługą, gdy dobrowolnie wyrazisz na to zgodę. Sądzę, że już się domyślasz, jakim argumentem zamierzam cię zachęcić.

– Mohellen – powiedział cicho żmij – obaj jesteśmy w twoich rękach, ty decydujesz o wszystkim, co się tutaj stanie. Więc na szantaż mnie, skurwielu, nie złapiesz.

– Mój opiekun, medyk Bernhard... – wmieszał się drżącym ze strachu głosem Znajda, ale umilkł, gdy golem dzielił go pięścią w kark.

– Ależ, żmiju – odrzekł Mohellen z istic wilczym uśmiechem – nie mnie cię zwodzić. Tak się składa, że moi bracia w srebrze z Shan Vaola zebrali na twój temat mnóstwo interesujących informacji. Masz być ponoć podatny na metody perswazji, które w przypadku *ka-ira* zazwyczaj nie okazują się skuteczne. Dlatego właśnie kazałem zlokalizować i sprowadzić tutaj tego sympatycznego młodzieńca. Dla jego dobra liczę, że jednak zmienisz zdanie, zanim rozkażę sprawić, by skołał w bardzo przykry sposób, zarazem dostarczając ci sił.

Krzyczący odwrócił się do chłopca i lekko pokręcił głową; słowa uwięzły mu w gardle. Nienawidził siebie za chłód, z jakim trzymał się jedyne racjonalnego wyboru.

– Nie ma mowy.

– Brune!... – jęknął płaczliwie, błagalnie chłopak.

– Masz trzecią i ostatnią szansę – rzekł powoli srebrny mag. Krzyczący zamknął oczy. Zalały go wspomnienia z Shan Vaola, z czasu gdy mieszkał z rodziną śmieciarzy. Na wpół obłąkany, nie całkiem kontaktujący z rzeczywistością, lecz na tyle przytomny, by wiedzieć, kto się z nim dzieli jedzeniem, kto go traktuje jak przyjaciela... Odepchnął je.

– Nie.

W następnej chwili niewidzialne palce brutalnie zmusiły go do rozwarcia powiek. Mohellen skinieniem dłoni sprawił, że Znajda uniósł się w powietrze i zawisł z rozkrzyżowanymi rękami, unieruchomiony przez więzy z powietrza. Kolejny ruch ręki – w stronę Krzyczącego – i ciało żmija ogarnęła znajoma zimna drętwa. Czar paraliżujący.

Golem stanął przed Znajdą, unosząc metalowe łapy. Chłopak wrzasnął. Kilka ciosów sprawiło, że jego ciało zakołysało się w powietrzu, lecz niewidoczna sieć czaru mocno go trzymała.

Mechaniczny stwór cofnął się o krok. Znajda zaszlochał, wypłuł krew płynącą z rozbitych warg.

– Jestem miłosierny – rzekł z uśmiechem Mohellen – więc daję ci czwartą szansę na uratowanie mu życia.

A jeśli wyrażę zgodę, pewnie pierwsze, co rozkażesz mi zrobić, jak już mnie spętasz czarem posłuszeństwa, to zabić go własnoręcznie. Nie.

Pokręcił tylko głową. Srebrny mag uniósł brew w niemym zdziwieniu, po czym dał znak mechanicznemu katu.

Brune musiał patrzeć, jak golem z metodyczną, brutalną precyzją raz za razem tłucze unieruchomionego Znajdę opancerzoną pięścią w brzuch. Gdy przestał, chłopak wymiotował, krztusząc się i jęcząc.

Mohellen ruchem dłoni zdjął zaklęcie lewitacji. Mechaniczny stwór złapał ofiarę, zanim ta padła na posadzkę.

– Złóż go na prycy – rozkazał. Mechaniczny stwór spełnił rozkaz. Potem mag bez słowa wsunął kryształowy wielościan w zanadrze, odwrócił się i wyszedł, a golem za nim.

Drzwi celi zatrasnęły się z hukiem, szczęknął zamek. Dopiero wtedy Krzyczący poczuł,

że odzyskuje władzę nad ciałem i zdolność mrugania.

Kolana ugięły się pod nim, osunął się na posadzkę tam, gdzie stał. Dopiero po chwili zdobył się na to, żeby wstać i podejść do jęczącego chłopca. Znajda był blady, jego twarz pokryła się zimnym potem i z trudem łapał powietrze. Po chwili przechylił się w bok, żeby wymiotować ponownie – tym razem czarną, fusowatą krwią.

Obrażenia wewnętrzne. Nie do wyleczenia, chyba że srebrną magią.

Brune patrzył na niego i miał wrażenie, że spada w czeluść, że lochy wałą mu się na głowę.

Przepraszam – chciał powiedzieć, ale zdawał sobie sprawę, jak bezsensownie to zabrzmiałoby.

Znajda umierał długo.

Dopóki był przytomny, nie chciał patrzeć na żmija, odwrócił twarz do ściany. Brune siedział przy nim w milczeniu; wiedział, że wszelkie słowa otuchy czy pocieszenia będą jałowe.

Wspomnienia nie chciały odejść. Raniły go jak drzazgi. Tamte pierwsze tygodnie w Shan Vaola, kiedy dopiero zaczynał się otrząsać z szaleństwa i to Znajda opiekował się nim, a nie na odwrót. Bezdomny, wychowany przez odmieńców dzieciak. Co działo się z nim przez te lata? Szczęście musiało się do niego uśmiechnąć, znalazł lepsze życie. Tylko po to, żeby teraz zdechnąć w mękach w lochu srebrnej kanalii.

Brune nie mógł w żaden sposób ulżyć cierpieniom chłopca, miał za to paskudną świadomość, że każda minuta spędzona obok umierającego dodaje mu sił. Ból atakował jego zmysły, wsączał się w ciało czarnym ciepłem. Obroża i podane mikstury uniemożliwiały czynne posłużenie się darem, ale nie blokowały wpływu daru na organizm maga.

Nie odebrały też Krzyczącemu zdolności wyczuwania, w jakim stanie jest cierpiący człowiek. Zimny cień śmierci w aurze Znajdy był dla żmija równie wyraźny, co wypełniający celę smród wymiocin.

Na rzeźbionym stole ze smoczej kości stała kryształowa kula. Czarnowłosy skrzydlaty mężczyzna wpatrywał się w nią w zadumie, zaś unosząca się ponad jego ramieniem mglista kobieca postać – z ledwie maskowanym napięciem. Prócz nich w komnacie nie było nikogo. Z dworu, z oddali, jak zwykle dobiegało zawrodożenie gnanych wiatrem dusz.

– Srebrny mag, który go uwięził, w tajemnicy przed Elitą służy Dolinie Igieł, ojciec – powiedziała demonessa, siląc się na spokój.

– Wiem o tym, córko. – Spalony Władca nie zaszczyił jej spojrzeniem.

– Zatem nie wiążesz już planów z moim podopiecznym?

– Czemu tak sądzisz?

– Bo bez naszej interwencji Brune przypuszczalnie da się przymusić do przejścia na stronę Doliny Igieł. Błagam cię o pozwolenie, żeby wyruszyć do świata ludzi.

– Nie, Anyah. Zabraniam ci interweniować.

– Ale...

– Daliśmy mu słowo, nie pamiętasz? – Jej ojciec uśmiechnął się z ironią.

Oboje wszak wiemy, co było warte! Chciała mu to wykrzyzczyć w twarz, lecz nie potrafiła. Przymus posłuszeństwa był silniejszy od niej.

Narzucając sobie spokój, próbowała się odwołać do czysto pragmatycznych argumentów.

– Ojciec, jeśli przejmie go Dolina Igieł, najprawdopodobniej utracimy go już na zawsze.

– Och, nie. Nie ma czym się martwić. Nie przejmą go, Anyah.

– Ale...

– Zatraciłaś obiektywizm, moja droga. To zrozumiałe, biorąc pod uwagę, jak długo pozostawałaś w niewoli. – Spalony Władca lekko puknął palcem w kulę; ta ukazała z bliska postać Krzyczącego, siedzącego nieruchomo nad zwłokami przyjaciela. – Nasz agent właśnie odbiera ważną i cenną lekcję. Przerwanie jej nie leży w naszym interesie.

– Ojciec, jako jego stróż nie mogę się zgodzić...

Spalony Władca zaklaskał w ręce.

– Naleah!

Wprost ze ściany wyłoniła się druga mglista sylwetka dziewczyny w zwiewnych szatach, o oczach jarzących się błękitnym światłem. Ona i Anyah były do siebie bliźniaczo podobne, poza jednym szczegółem – Anyah spowita była w postrzępione, cieniutkie jak pajęczyna płachty, Naleah zaś odziana w eleganckie tiule. Nowo przybyła skłoniła się z ostentacyjną unizonością,

rzucając siostrze złośliwe spojrzenie.

– Tak, ojcze?

– Od dziś jesteś stróżem niejakiego Deuvena de Ragues z Alkary, znanego też jako Brune Keare lub Krzyczący w Ciemności. – Spalony Władca pstryknął palcami i wprost z powietrza wyjął zwój pergaminu. – Tu zapisane jest wszystko, co powinnaś o nim wiedzieć.

Naleah przyjęła zwój, kątem oka nadal zerkając na siostrę, teraz z miną pełną triumfu.

Na twarzy Anyah odmalowało się bolesne zdumienie, a potem – przez ułamek sekundy – wściekłość zranionej lwicy, natychmiast zastąpiona maską wyćwiczonej obojętności. Nie pozwoliła sobie choćby mrugnąć, kiedy władca Doliny Popiołów dodał:

– Ty, Anyah, przejmiesz obowiązki siostry.

Gdyby dodał cokolwiek jeszcze, choćby słówko drwiącego komentarza, zdesperowana Anyah, cała rozdygotana w środku jak człowiek, a nie jak demon, być może uczyniłaby coś, do czego teoretycznie nie powinna być zdolna, to znaczy rzuciłaby się na niego – i przypłaciłaby to wieloletnim uwięzieniem lub odesłaniem w nicość. Ale nie rzekł nic. Więc, przełykając furię i gorycz, skłoniła się pokornie. Odruch bezwzględnej posłuszeństwa wobec potężniejszego demona, któremu zawdzięczała swe istnienie, stanowił imperatyw, któremu nie potrafiła się oprzeć, integralną częścią jej jaźni – tak jak w naturze psów leży podążanie za przewodnikiem stada.

– A teraz idźcie, nic tu po was. – Władca odprawił je kłaśnięciem.

Gdy rozwiały się w powietrzu, uśmiechnął się, spoglądając w kulę.

– Kształć się, kształć, mój agencie. Nie ma lepszych nauczycieli niż ból.

Zamek szczęknął, ciężkie drzwi otwały się powoli.

Dwaj Jednoocy z chrzęstem pancerzy przekroczyli próg. Za nimi do celi wszedł Mohellen. Krzyczący, który siedział bez ruchu na pryczy obok martwego chłopca, zignorował ich, nawet nie podniósł wzroku.

– *Ka-ira.*

W głosie srebrnego maga dźwięczało politowanie. Żmij nawet nie drgnął. Szeptął bezgłośnie do siebie, wpatrzony w zwłoki przyjaciela. Na twarzy miał wypieki; gorączkował i osłabł mimo dawki czerni, jaką wchłonął w ostatnich godzinach.

Głód, zimno, halucynacje, rana zadana zaklętym ostrzem, śmierć Znajdy oraz srebrna obroża – wszystko razem pozbawiło go woli walki.

Coś w nim pękło. I o to chodziło.

Mohellen skinął na większego z Jednookich.

– Zmusz go, żeby wstał.

Golem złapał Krzyżącego wpół, unieruchamiając go w żelaznym uścisku, i siłą postawił na nogi. Mohellen obszedł więźnia naokoło, żeby znaleźć się z nim twarzą w twarz.

– I co? – spytał. – Namyśliłeś się?

Bure oczy, szkliste od gorączki, ale wciąż jeszcze przytomne, zmierzyły go nienawistnym wzrokiem. Mohellen wyjął zza pazuchy zakorkowaną szklaną fiolkę pełną żółtego proszku.

– To – rzekł niemal łagodnie – jest *lome-lome*, znane również jako rajski pył. Jeden z tych narkotyków, które działają na ciebie, *ka-ira*, równie silnie jak na zwykłych ludzi. Już mała dawka sprowadza wizje, większa wyostza wrażliwość na bodźce, a w szczególności potęguje odczuwanie bólu. Tam, gdzie nie zadziałała jedna metoda perswazji, może zadziała inna.

Zamilkł, jakby czekając na reakcję, a nie doczekawszy się, skinął na golema.

– Odwiń opatrunek.

Golem rozplątał i odwinął zakrwawioną chustkę, odsłaniając zaognioną brzydki ranę od ościenia, która zaczynała ropieć. Mohellen wytrząsnął na nią część zawartości fiołki. Zapiętko upiornie; zmij zwał zęby, żeby nie jęknąć.

– Teraz poczekamy – oznajmił srebrny mag, zerknąwszy na wyjęty z fałdów szaty ozdobny czasomierz. Skinął na golema, by ten na powrót zawiązał opatrunek.

Minuty mijały jedna za drugą. Brune czuł, jak narkotyk zaczyna działać. Lekki zawrót głowy, fala rozchodzących się po skórze mrówek. Sylwetki maga i golemów stopniowo nabrały kolorowych, świetlistych konturów, ściany lochu ożyły od migoczących tęczyowych drobin, ale napięcie i strach trzeźwiły go, nie pozwalając odpłynąć w halucynacje.

W końcu Mohellen rozkazał:

– Ręka.

Golem zmusił Krzyżącego do wyciągnięcia prawej ręki, obracając jego dłoń grzbietem

do góry i przytrzymując przedramię jakby w kleszczach.

Mohellen pstryknięciem palców zapalił w powietrzu płomycek i sprawił, by ten zbliżył się od spodu do wnętrza rozpostartej dłoni.

Najprostsza, banalna wręcz tortura, ale *lome-lome* uczyniło z niej piekielną mękę. Brune zamknął oczy i zacisnął zęby, skupiając wszystkie siły na tym, żeby nie wrzeszczeć. Czuł, jak skóra pokrywa się pęcherzami, pęka i schodzi. Spotęgowany narkotykiem ból dawał się porównać jedynie z tym powodowanym przez zakłęcia Otchłani. Choć żmij wiedział, że to niemożliwe, miał wrażenie, że ogień lada chwila przeżre rękę na wylot, że ciało zwęgla się, odpada od kości.

Prawa dłoń, dłoń od rapiera... Ale ciało *ka-ira* regeneruje się, jeśli tylko dostanie szansę. Nagle bardzo, bardzo spokojny, Krzyżący skupił całą siłę woli na bólu, na tym, żeby oddychać i wytrzymać.

W swym zadufaniu przeciwnik dał mu literalnie wprost do ręki broń – nóż, który przy odrobinie szczęścia pozwoli przeciąć sznury. Żmij czuł już, jak podrażniona czerń zaczyna się w nim budzić i narastać, gorąca i groźna, mimo obroży, mimo specyfików, które miały ją tłumić.

Skoncentrował się, odcinając umysł, na ile mógł, od wszelkich innych bodźców, i chłonął ból jak mityczną żywą wodę.

Czarna fala rosła.

Aż przesłoniła światło.

Mohellen coś mówił, gdzieś daleko. Płomyk chyba zgasł, ale nawet jeśli nie, przestało to być istotne.

Brune z trudem chwycił powietrze; jego twarz wykrzywiła się w tiku, serce łomotało. Nie czuł już bólu, tylko narastające w całym ciele gorąco. Gdyby panował nad mimiką, uśmiechnąłby się drwiąco.

Nigdy, przenigdy nie należy torturować *ka-ira*, nie powziąwszy odpowiednich środków ostrożności.

Mohellen musiał źle wyliczyć dawki środków tłumiących dar. Zapewne nie wziął poprawki na to, że cierpienie dodaje żmijom siły z kilkunastogodzinnym czy nawet kilkudniowym opóźnieniem. Jeśli spróbujesz podpalić oblane wodą drewno, nie zapłonie, ale co się stanie, gdy będziesz je przez dłuższy czas trzymać w ogniu?

Ekspozycja na mękę umierającego więźnia, potem śmierć Znajdy i godziny spędzone w towarzystwie emanujących czernią zwłok, własna jęcząca się rana, tortury bólem i teraz oparzenie, które zadziało jak kropla przelewająca czarę – wszystko to, skumulowane, skotłowało się w smolisty wir, narastający w żmiju huragan mocy.

I stało się niemożliwe.

Srebrna obroża pękła.

Jej fragmenty jeszcze w powietrzu obróciły się w proch. Mohellen nagle zdał sobie sprawę, że niewidzialna siła krępuje jego ciało, unosi go w powietrze, jakby był lalką. Wrzask zamarł mu na ustach, zdławiony utkanym z powietrza kneblem. Świat jakby zastygł, zamarł. Srebrny mag częścią umysłu zarejestrował, że golemi ze zgrzytem i głuchym stukiem walą się na ziemię, zredukowane do martwej gliny i metalowych części.

Zamiast śniadej twarzy z policzkiem przekreślonym szramami przez moment widział nad sobą inną, naznaczoną białymi plamami, o źrenicach jarzących się seledynowo... Potem na nią nałożyła się jeszcze jedna, jaśniejsza, w połowie nadludzko piękna, w połowie sina i martwa.

Potem na oczy Mohellena spadła zasłona. Runął na posadzkę, wstrząsnęły nim drgawki, na ustach pojawiła się piana. Oddał mocz i kał, lecz nie miał już tego świadomości.

Brune dźwignął się na nogi, oddychając ciężko. Był teraz całkowicie trzeźwy, eksplozja czerni spaliła odurzenie narkotykiem. Połowa jego twarzy wykrzywiła się w brzydkim uśmiechu na widok leżących bez życia mechanicznych stworów. Ich pancerze częściowo się rozpadły, odsłaniając fragmenty metalowego szkieletu i blade, oślizgłe wnętrzości, lśniące od mlecznego odżywczego płynu.

Zza pazuchy Mohellena wysunął się kryształowy wielościan. Pulsował purpurowym światłem, coraz szybciej, coraz jaśniej. Czując narastającą wokół artefaktu moc, Krzyczący zareagował na wpół instynktownie – otworzył mały portal i telekinetycznie wepchnął weń niebezpieczny przedmiot. Gdy przestrzeń ponownie się scalała, pozostawiając na posadzce lochu niewielką kałużę wody, odetchnął z ulgą. Nawet księżniczka Doliny Igieł nie zdoła wiele zdziałać, gdy zmaterializuje się w samym środku królestwa undyn – w ciemnej, lodowatej głębinie mórz, wśród wrogich jej rodowi morskich stworów. Przy odrobinie szczęścia zmuszą ją, by jak niebezpieczna zemknęła do swej ojczyzny.

Sięgnął umysłem w przestrzeń, licząc się z możliwością, że za chwilę przyjdzie mu stoczyć walkę z materializującymi się sługami srebra, lecz ku swej uldze nie wyczuł nikogo prócz golemów, nadal zajętych pracą w pomieszczeniach laboratoryjnych. Nieświadomych tego, co działo się w lochu.

Agent Doliny Igieł poruszył się niemrawo, zajęczał. Krzyczący w Ciemności z mściwą satysfakcją przyłożył ręce do jego skroni i czerpał do samego końca, aż ciało mężczyzny zadygotało i znieruchomiało. Chwilę później zwłoki zaczęły transformować, ciemniejąc i puchnąc. Sprawił, że buchnęły sinym płomieniem. Czerń wrzała w nim jak nigdy, niczym lawa wewnątrz wulkanu. Spojrzał na swoją dłoń – oparzenia goiły się w oczach.

Zdematerializował się, by odzyskać materialność na wzgórzu za wieżą. Rzutem oka utwierdził się w swych podejrzeniach: siedziba maga znajdowała się gdzieś na pustkowiu, na

bezludnych wrzosowiskach. Niewiele myśląc, jął pierwszym lepszym kamieniem kreślić na ziemi znaki, szybko, by zdążyć, zanim do mocodawców Mohellena – czy to Elity, czy Doliny Igieł – dotrze, że stało się coś niedobrego.

Wypowiedział formułę i poczuł, jak moc wyrywa się z niego niczym woda przerywająca tamę. W oknach laboratorium zamigotały języki ognia, a potem budynek ogarnęła rycząca furia żywiołu, gdy wielki portal do królestwa salamander rozwarł się na całą szerokość. Rozległo się kilka wybuchów, brzęk tłuczonego szkła.

Oddychając ciężko, Krzyczący stał i patrzył w ogień, czując się tak, jakby wypił jednym haustem szklankę kordiału z lucyferii. Teraz, gdy pozbył się obroży, był literalnie pijany mocą, do tego stopnia, że prawie nie odczuł wysiłku, którego wymagało zaklęcie. Widok szalejących płomieni tylko spotęgował narastającą w nim czarną euforię.

Serce waliło mu gorączkowo. Miał wrażenie, że gdyby teraz stanął do walki z następnym srebrnym magiem, rozniósłby przeciwnika na strzępy.

Nagle uświadomił sobie, że ból w ramieniu ustąpił, a jego miejsce zajęło dziwne, swędzące mrowienie, jakby pod bandażem pełzało robactwo. Rozmotał opatrunek – tak jak przypuszczał, rana od ościenia również była już prawie zagojona.

Odczekał chwilę, żeby zasklepiła się do końca, po czym zdematerializował się, pozostawiając za sobą płonąca siedzibę srebrnego maga imieniem Mohellen ar Vanth.

W Bel Ingre padał deszcz. Krople głośno bębniły o zamknięte okiennice w willi bankiera. W małej sypialni na piętrze Zazel spał zwinięty w fotelu obok kaflowego pieca, chrapiąc głośno. Trawił kluski z gruszkami i pieczoną pierś bażanta z majerankiem.

Lorraine, w koszuli nocnej, otulona grubą wełnianą chustą, piła z kubka gorące mleko. To nie była jej pierwsza ani druga bezsenna noc w ostatnich dniach. Na stoliku leżało kilka listów i oficjalnych dokumentów – bankier poprosił ją o opinię w skomplikowanej sprawie rodzinnej – ale to nie jego troski i kłopoty spędzały jej sen z powiek.

Zazelowi nie powiedziała ani słowa o wizjach, które przychodziły kilkakrotnie, zawsze nocą, pozostawiając ją słabą i roztrzęsioną. O echach bólu i strachu, o zimnym, śmierzącym lochu i płonącej wieży pod czarnym niebem.

A teraz, choć bardzo się starała sięgnąć wzrokiem wróżbitki w dal, widziała tylko rzeczy nieistotne i nieważne. Ani śladu jednej konkretnej osoby. Jakby zniknął z powierzchni ziemi, ukrył się tak daleko, że nawet jej zdolności nie potrafiły go wysledzić.

Gdyby zginął, wiedziałabym. Umarli by mi powiedzieli. Bardzo chciała w to wierzyć, ale

nie była pewna, czy nie oszukuje samej siebie.

Za oknem deszcz stukał monotonnie. Zazel głośno sapnął przez sen, po czym przewrócił się na drugi bok i chrapał dalej. Lorraine dopiła mleko i objęła ramionami kolana. Nagle poczuła się bardzo młoda i przeraźliwie samotna; do oczu napłynęły jej palące łzy.

Wicher wył wśród poszarpanych skał bezimiennego masywu, a zamieć smagała je śniegiem. Jedenaste dominium astralne było lodowatym, nieprzyjaznym miejscem, częściowo skutym przez wieczną zmarzlinę. Lecz drewniana chatka, w której mieszkał siwobrody karzeł Ergyl, wzniesiona pod osłoną bocznego grzbietu góry, okazała się ciepła i przytulna. Na ławie przy piecu wylegiwał się skrzydlaty kot. Udawał, że śpi, ale tak naprawdę nieufnie śledził zmija jednym w półprzymkniętym złotym okiem.

Ergyl, zasuszony mały jegomość z nosem jak purchawka, pobierał myto od podróżnych wędrujących szlakiem do miejsca na zboczu góry, gdzie znajdował się portal – potężne kamienne wrota. Znał mowę magów, słabo, ale w wystarczającym stopniu, by dało się z nim porozmawiać. Pochwalił się, że zna języki jeszcze dziesięciu ludów zamieszkujących sfery, dodał jednak, że nader rzadko widuje przybyszy z krainy ludzi. Za dodatkową złotą monetę niechętnie zgodził się, aby zmija przeczekał zawieję pod jego dachem.

Niezrażony mrukiwością Ergyla, Brune wypytał go o wrota. W promieniu kilku mil od wielkiego utrwalonego portalu nie należało ryzykować dematerializacji, wiedział więc, że będzie musiał tam dojść na własnych nogach. Karzeł zapewnił go, że wrota nie wznoszą się na szczycie masywu, gdzie nie sposób byłoby w tych warunkach dotrzeć, lecz ledwie kilkadziesiąt kroków od jego chatki, i obiecał wskazać drogę, gdy tylko zamieć przycichnie. Poczęstował też zmija grzanym piwem o zielonkawej barwie i dziwnym korzennym smaku.

Wicher wył. Śnieg sypał, tworząc coraz głębsze zaspy. Kot rozciągnął się wygodnie i mruczał głośno. Ergyl w milczeniu pykał fajkę. Krzyczący grzał dłonie przy piecu, przy którym, rozwieszona na sznurku, suszyła się jego podbita futrem peleryna – skradziona na Maalgos, podobnie jak kilka innych rzeczy.

W zanadrzu miał kawałek płótna zwilżony krwią martwego człowieka, a na ramionach, pod odzieżą, formuły ochronne – wypisane ostrzem noża na żywej skórze. I liczył, że – w połączeniu z odległością – to wystarczy, by go uczynić niewidzialnym dla srebrnych oczu. Zbiegł daleko, tak daleko, że teoretycznie nawet najsilniejsze zaklęcia tropiące nie powinny go tutaj wyśledzić, ale wiedział, że Elita chowa różne sztuczki w zanadrzu.

To, że ucieczka się udała, zawdzięczał czerni, tylko i wyłącznie. Tuż po uwolnieniu się z lochu był fizycznie słaby, ale pełen złudnej, sztucznej energii, którą dał mu rozjątrzony dar, i czerń przejęła kontrolę, żeby utrzymać swe naczynie przy życiu. Brune nie do końca pamiętała, co działo się z nim bezpośrednio po śmierci srebrnego maga – tak jakby to ktoś inny

zdematerializował się z pustkowiec, gdzie pożar niszczył domostwo Mohellena, i uciekł daleko, daleko przez lodowate wiry kolorów poza przestrzenia, poza światami. Ktoś inny zmaterializował się w końcu na Maalgos, starożytnej metalowej wyspie pływającej po czerwonych morzach dziesiątego dominium astralnego, zbudowanej przez dawno wymarły lud żeglarzy. Wyspa była jednym potężnym, wielopoziomowym miastem, zamieszkanym przez chochliki, karły i półdemoniczne istoty; jej niższe poziomy, popadające w ruinę, stanowiły mroczny labirynt opuszczonych domostw i zaułków, gdzie kryły się dziwaczne stworzenia, często zbiegowie z innych sfer. Krzyżący zniknął w tym labiryncie jak kamień wrzucony w bagno.

Umiał znikać, umiał się przyciąć.

Gdy straż z Maalgos zaczęły poszukiwać nieuchwytnego cienia, który – jak głosiła plotka – załgał się w najstarszej części miasta, czaił się w opustoszałych miejscach i napadał na samotnych przechodniów, by wysączyć z nich siłę życiową, pozostawiając ofiary na wpół martwe, Krzyżący już wędrował przez śnieżne rubieże jedenastego dominium. Chciał dotrzeć do Etheri, królestwa sylfów, a najkrótszą i najpewniejszą drogą był portal znajdujący się na szczycie góry, u podnóża której mieszkał stary Ergyl w swojej chatce.

– Zamieć do rana ustanie – odezwał się karzeł, wyjmując fajkę z zębów. – Już przycicha. Słyszycie?

Brune odmruknął coś nieokreślonego. Dla jego uszu wichura brzmiała tak samo jak godzinę wcześniej, ale skłonny był wierzyć gospodarzowi na słowo. Oparł głowę o belki ściany, przymykając oczy.

Jego plany były bardzo proste. Przetrzeć. Przeżyć. Wyszukać miejsce, które posłuży mu za schronienie, przynajmniej przez jakiś czas. A w dalszej kolejności – znaleźć jakiś sposób, aby wyłamać się spod władzy Doliny Popiołów, już ostatecznie.

Dostał siedem lat wolności. I zamierzał je wykorzystać.

Epilog

W dominium dzieci powietrza, odległej Etheri, Latające Miasto – siedziba królowej Feanmuile i jej dworu – dostojnie żeglowało po oceanach chmur. Ogromna szybująca wyspa pełna białych pałaców, przypominających kunsztowne ozdoby z cukru i kremu, jakimi cukiernicy dekorują najwykwintniejsze torty. Ponad dachami i wokół wież przemykały sylfy o skrzydłach ptaków, motyli bądź ważek, uliczkami zaś przewalał się kolorowy tłum bezskrzydłych istot z innych części astralnego świata.

Z wnętrza wspartego na kolumnach ośmiokątnego budynku o fasadzie obrośniętej błękitnym bluszczem płynęły skoczne dźwięki fletni, harfy i bębnów. Mieściła się tam tawerna, jedna z wielu. Mrowie kłębiących się pod sklepieniem błędnych ogników rzucało drżące światło na twarze gości. Dominowały piękne oblicza sylfów, ale dało się też dostrzec owłosione, pokraczne pyski leśnych duchów, stwora o wielbłądziej mordzie, chłepczącego spienione piwo z dużej misy, oraz dwie sinoskóre mormolyke o płonących żółto oczach. Siedzący zaraz przy wejściu gruby gnom, przypominający ulepioną byle jak glinianą figurę, zaczął wchodzących, oferując im na sprzedaż ozdoby ze srebra i półszlachetnych kamieni. Muzykanci, odziani od stóp do głów w brokaty, nosili złote symbiotyczne maski, zaś wśród nielicznej grupki tańczących prym wiodły dwie duże, przytupujące żwawo kurze łapy.

Nad szynkwosem w charakterze ozdób wisały wypolerowane czaszki stworów nieznanych ziemskim zoologom, o krzywych, długich jak szable rogach i kilku oczodołach. Właścicielka tego przybytku, wielka i gruba, odziewała się w kolorowe jedwabie na nedgvarską modłę, lecz była półkwi demonem – posiadała dwie głowy, jedną ludzką, drugą tygrysią, i pojedyncze poczarne skrzydło koloru spatynowanej miedzi, najeżone długimi kolcami.

Na galerijce kilka sylfów gawędziło nad szklanicami kwiatowego nektaru, a przy następnym stoliku cztery gnomy o długich, sięgających podłogi brodach grały w karty, pijąc wino. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że opodal powietrze pod sklepieniem faluje jakby od gorąca, a kręcące się w chaotycznym tańcu błędne ogniki omijają to miejsce.

Naleah zawisała w powietrzu, niewidzialna, obserwując tłum, chłonąc bijący z dołu melanz aur, zapachów i emocji. Przesunęła językiem po wargach, smakując chłodne, dymne oddechy sylfów, przywodzące na myśl powietrze w zimowy ranek, lekko mdlącą waniliową woń lubianych tutaj świeczek zapachowych oraz bardziej prozaiczne nuty – półwierzęce jaźnie opitych piwem leśnych stworów, mocno przyprawione potrawy. Sylfy żywiły się nektarem i kadzidłem, lecz przybysze z innych sfer mogli w tawernie zjeść chleb, zupę i pieczone mięso – lub też surowe, wedle gustu. Dobre, świeże, bynajmniej niedostarczane z daleka. W Latającym Mieście gnieździło się mnóstwo gołębi i nie istniał zakaz polowania na nie.

Mrużąc oczy, córka Spalonego Władcy znów popatrzyła w kierunku swego nowego podopiecznego. Siedział w najciemniejszym rogu sali, nad niedopitym kubkiem wina, od niechcienia kreśląc kawałkiem węgla znaki na kartce. Chudy mężczyzna, brzydki jak siedem nieszczęść, o ziemistym, zniszczonym obliczu, na którym wypisane były lata hulanki i podłości.

Naleah wiedziała, że poza sylwetką i oczami nic w jego wyglądzie nie jest prawdziwe. Mimo to nawet ona nie wyczuwała jego prawdziwej aury, przygaszonej i stłumionej tak, by przekonująco stwarzać wrażenie wieku i wyniszczenia trunkami.

Musiała przyznać, że ten śmiertelnik naprawdę posługuje się iluzjami jak mało kto.

Uśmiechnęła się w duchu, gdy przedarł kartkę na pół, po czym znieruchomiał, wpatrując się w jeden punkt, a jego źrenice na mgnienie rozbłysły żółto. Na podwyższeniu harfista zadrżał i zmylił ton, choć nie on był celem zaklęcia.

Jeden z siedzących na galeryjce gnomów zakaszłał, rozlewając nieco wina. Podczas gdy jego towarzysze śmiali się głośno z czyjejś nieudanej zagrywki, on drżącą dłonią odstawił kubek, odłożył trzymane w drugiej ręce karty i z trudem chwycił oddech, nie rozumiejąc, czemu zaczyna mu się kręcić w głowie. Do unoszących się w tawernie zapachów dołączyła słaba, lecz coraz wyraźniejsza woń nadchodzącej śmierci.

Lecz nikt się jeszcze nie zorientował.

Mag spokojnie wstał, nasunął kaptur na głowę i skierował się do wyjścia. Naleah, niewidzialna, niewyczuwalna dla jego zmysłów, poszybowała za nim.

Towarzyszyła mu, gdy szedł ulicami Latającego Miasta, i później, gdy zdematerializował się, podążając na spotkanie ze zleceniodawcą w czwartym dominium astralnym.

Po tym, co stało się z Mohellenem ar Vanth, świat ludzi stał się dla Krzyczącego w Ciemności zbyt mały i zbyt niebezpieczny, przynajmniej na najbliższych kilka lat. Ale istniały jeszcze sfery. Sfery, których rubieże sięgały daleko w głąb obcych wymiarów. Gdzie czekały cuda i dziwy, niebezpieczeństwa, ale też potencjalne sojusze, doświadczenie i wiedza. I gdzie niespecjalnie lubiano srebrnych magów.

Będzie się rozwijał. Będzie działał. A Dolina Popiołów będzie go strzec. Dyskretnie, z odległości, nie ingerując, jeśli nie okaże się to bezwzględnie konieczne. Był zbyt cenny, by pozostawić go zupełnie bez opieki.

– Jesteś nasz – wyszeptała z uśmiechem Naleah, patrząc, jak zmij materializuje się wśród zrujnowanych budynków, wznoszących się wysoko ku wstrętne żółtawemu niebu, i ruchem dłoni zmienia iluzję, przeistaczając się w nobliwego, zamożnie odzianego Nedgvarczyka z ciemnym znamieniem na policzku. – Zawsze będziesz nasz.